

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 4 (307) • ROK XXVI • KWIECIEŃ 2021



ROCZNICE
I PERSPEKTYWY

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



Podczas III powstania śląskiego oddziały polskie opanowały i utrzymały do końca walk Rozbark, który był wówczas samodzielną gminą (obecnie dzielnica Bytomia). Ulice wytyczające granicę pomiędzy Rozbarkiem a Bytomiem były linią walk, różne też były postawy lokalnej ludności wobec powstańczego zrywu. Pomimo poświęcenia powstańców, Rozbark ostatecznie został przyznany stronie niemieckiej.

Szczegóły str. 15



Drewniana tablica z takim ostrzeżeniem rzuca się w oczy przybyszom odwiedzającym mazurską leśnicówkę w osadzie Pranie nad Jeziorem Nidzkim. W latach 1950-1953 była to pracownia twórcza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. O niezwykłych fascynacjach jego wierszami opowiada Henryk Talar, znakomity aktor teatralny i filmowy, honorowy obywatel rodzinnej wsi Kozy w powiecie bielskim.

Szczegóły str. 28



Pochodzący z końca XIX wieku fort „Lisia Góra” wchodzący niegdyś w skład fortyfikacji twierdzy wrocławskiej ma szansę stać się historycznym skansenem i atrakcją turystyczną. Działania w tym celu podjęła śląska fundacja „Vestigium”. Rozległy obiekt został definitywnie porzucony w 1987 roku i od tego czasu niszczeje.

Szczegóły str. 32



Wśród licznych zabytków Jury Krakowsko-Częstochowskiej szczególnie miejsce zajmują relikty pozostałe po licznej tu niegdyś wspólnocie żydowskiej. Społeczność ta, będąca charakterystycznym elementem lokalnego kolorytu, zniknęła w wyniku tragicznych zdarzeń II wojny światowej. Zostały po niej cmentarze i miejsca kultu, z których część w 2005 r. połączono Szlakiem Kultury Żydowskiej. Na zdjęciu fragment cmentarza żydowskiego (kirkutu) w Żarkach.

Szczegóły str. 52

Nr 4 (307). Rok XXVI. KWIECIEŃ 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
WIESŁAWA KONOPKOWSKA
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JAN MIODEK
JULIA MONTEWSKA
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa O ŚLĄSK LOMPY
6 Krzysztof Korwin-Piotrowski RÓŻEWICZ I JEGO GLIWICKIE LATA
12 Alojzy Czech SPRAWA ŚLĄSKA W OCZACH AMERYKANKI
15 Paweł Parys ROZBARK PODCZAS III POWSTANIA
18 Ks. Henryk Pyka PRZY PUSTYM GROBIE
20 Agnieszka Ziełińska W WALCE Z COVID-19 KAŻDY MA ROLĘ DO ODEGRANIA!
ROZMOWA Z PROF. MARIANEM ZEMBAŁĄ
22 Piotr Skowronek PISANIE IKON ROZMOWA Z KS. PROF. DARIUSZEM
KLEJNOWSKIM-RÓŻYCKIM
25 Ryszard Bednarczyk O PROZIE EDWARDA SZOPY
28 Zbigniew Lubowski GAŁCZYŃSKI I... MATEMATYKA. ROZMOWA
Z HENRYKIEM TALAREM
30 Andrzej Jarczewski SZKOŁA PONIENORMALNA
32 ŚLĄSKIE TAJEMNICE Paulina Frątczak SZANSA DLA LISIEJ GÓRY
40 Marcin Hałas ODSZEDŁ EDWARD SZOPA
42 Antoni Wilgusiewicz ŚLĄZAK EKSPATRIOWANY. RZECZ O RYSZARDZIE
GANSIŃCU
49 Zbigniew Lubowski ZGASŁ PŁOMIENŃ OSTATNIEJ ZAPAŁKOWNI
52 Edward Wieczorek JUDAICA JURY
56 Wojciech Lipowski WYPEŁNIĆ NIEOBECNOŚĆ
60 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek SPOJRZENIE SKRABLISTY
NA „ADĘ” NABOKOVA

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 Maciej Melecki O MALARSTWIE AGNIESZKI CZYŻEWSKIEJ
69 GALERIA – AGNIESZKA CZYŻEWSKA, MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Marian Kisiel NAD PIEŚNIAMI
10 Marian Kisiel NOWE WIERSZE PROZĄ
44 Władimir Odojewski FRAGMENTY (przełożył Marian Kisiel)
58 Janina Barbara Sokołowska WIERSZE
74 Barbara Romer Kukulka NA KOSZUTCE

FELIETONY

- 9 Zygmunt Woźniczka WYBUCH III POWSTANIA ŚLĄSKIEGO 2/3 MAJA 1921
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek ALECH MU NAZDAŁA!
37 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski CHARYZMATYCZNY
PIOTR BECZAŁA
38 BŁYŃSKI i ZAPATRZENIA Marian Sworzeń JOSEPH ROTH, „LEGENDA
O ŚWIĘTYM PIJAKU I INNE OPOWIADANIA”
41 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich DEZYDERATA. FAKTY,
KONTEKSTY, ASOCJACJE
73 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko MUZYKA JAK CHLEB
78 BIAŁE KRUKI Jan Malicki AUTOGRAFY: NIEZBYWALNY SYMBOL BYTU

KSIĄŻKI

- 62 Marian Kisiel ULTIMA SCRIPTA
63 Piotr Skowronek OSWAJANIE TOŻSAMOŚCI
64 Katarzyna Tałuc NIEZNANA KORESPONDENCJA
65 Andrzej Juchniewicz KONTUR PORTRETU
66 Jerzy Stasiewicz HIEROGLIFY DROGI
67 KSIĄŻKI NADEŚLANE

79 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Agnieszka Korusiewicz-Kowol, fotografia



Nad pieśniami

1

O, jak płaczą Twoje oczy, Panie. Nie wiemy, czy ze smutku, że jesteśmy tak bardzo samotni, czy z radości, bo właśnie zazieleniły się łąki, obietnica rychłego spotkania.

2

Co łączy Ciebie z nami, powiedz, Ty, który trwasz teraz w wiecznym milczeniu? Wpatrujemy się w mknące po niebie białe obłoki, jesteśmy pełni zachwytu dla tego biegu w ciszy.

3

Dziękuję, że się objawiłeś w porannym śpiewie kosa. Rozstałem się ze snem i wyszedłem popatrzeć na gotujące się do eksplozji pąki różanecznika. Widzę, że je musnąłeś promieniami słońca.

O Śląsk Lompy

JAROSŁAW KAPSA

Upodnóża Coglowej Góry rozciągają się Woźniki, miasto, które mimo przestrzennych przeobrażeń zachowało urok starego Śląska, z czerwonymi, ceglastymi domami, z podłużnym rynkiem zachęcającym do niedzielnego, zimnego piwa, spożywanego przy (nieistniejącym) dębowym stole, w (nieistniejącym) gasthauzie. Cmentarz jest kilkaset metrów na południe od rynku, jego okolicę przebiła niedawno autostrada. Tutaj obok uroczego, drewnianego, poczerńniętego starością kościoła, znajdziemy grób Józefa Lompy. Wtulony w śląską przestrzeń, u siebie, a więc na uboczu, zawsze opatrzony świeżymi kwiatami...

I Józef Lompa, urodzony w 1797 r. (rok starszy od Mickiewicza) w Oleśnie (Rosenbergu), słynącym z piękna drewnianej świątyni św. Anny, syn miejscowego sklepikarza i chłopki z Dobrodzienia (Gutentagu), dzięki ambicji rodziny ukończył katolickie seminarium we Wrocławiu, zyskując uprawnienia nauczycielskie. Przez trzydzieści lat był nauczycielem w Lub-szy, wydany z zawodu za „rewolucyjną” działalność krzewienia polskości, przenieść się musiał do sąsiadujących z Lub-szą Woźnik, gdzie zmarł w roku polskiego powstania – 1863. Był on, jak to określano archaicznie, budzicielem lub krzewicielem, dzieckiem czasu romantyzmu, gdy z gwar i mitów lokalnych wydobywano i konstruowano narody. Olesno, Dobrodzień, Lub-sza, Woźniki należały do Królestwa Prus; gdy w czasie wojen napoleońskich zabrzmiała Deutschlandlied, to oczywistym było, że to ziemie niemieckie. „Mieszkańcy kraju tego mieli dzieje różnej czyli odosobniającej kolei, są też przeto w mowie, obyczajach i charakterze różniąciami się od siebie. Zaczem w Łużycach językiem niemieckim i wendeńskim mówią, nachodzimy wreszcie Szląska, oprócz kilka dyalektów niemieckich, język czeski, morawski a w Szląsku górnym, język polski, przewagę trzymający. Podług pokolenia dzieli się mieszkańcy na Niemców, Słowianów i żydów. Niemcy stanowią ludność przemagającą, do nich zbliżają się Słowianie, żydzi zaś czynią liczbę daleko mniejszą” – pisał w kontrze do tego wiejski nauczyciel w wydanej w 1849 r. w Lublińcu, dla użytku szkolnego książce „Krótki rys geografii Szląska”. Mieszkańcy Śląska, poddani Króla Pruskiego, byli etniczną różnorod-

nością, w największym stopniu czuło się to na pograniczu.

„Woźniki (Woischnik) nad granicą Polską, miasteczko, mające 972 mieszkańców i przykomorek celny. Lasy pobliskie mają imiona niegdyś przez księcia Bernarda Opolskiego, miastu temu nadanych wsi: Pieniądz i Świętoda. W Koszęcinie, zamek piękny księcia Hohenlohe-Ingelfingen; w Glinicy, fabryka fajansu; przy Boronowie i Kochanowicach kopia rudy; przy Kubeczku łamią kamienie wapienne. Cieszowa, gdzie Synagoga żydowska. Rędzina z szklarnią. Przy Lub-szy, góra Grójec, przeszło 1000 stóp wysoka”. – opisywał Lompa w „Jeografii” swą okolicę. Wzgórze pod Lub-szą miało swój magiczny charakter, wspominał przez założyciela tutejszej szkoły, gdy opisywał swoją pierwszą pielgrzymkę do Częstochowy. „Wprost na południe wskazywał mi ojciec górę lasem zarosłą, mówiąc: oto! o trzy mile ztąd jest jedyny punkt, którego oko na Szląsku doścignąć może. Jest to obok wieży kościelnej wsi Lub-sze po prawej ręce góra Grójec zwana. Wtem odezwał się za nami dziad. Tak jest! na tej górze stał w dawnych czasach warowny zamek. Jedyna córka właściciela jego, nie chciała z rodzicami na nabożeństwo do kościoła chodzić. Matka jej rzekła przeto jednego razu gniewem uniesiona: «Bodaj żebyś się z tym zamkiem zapadła, nim z kościoła powrócę». Stało się tak, i sprawdziło: że błogosławieństwo ojcowskie dziatkom domy stawia; zaczem przekleństwo matki takie obala. Stroskany ojciec mówił: Lub-sza mi owa druga góra będzie, a wystawiwszy sobie na niej nowy gród, powstała przy nim wieś Lub-sza zwana”.

Pisząc o przykomorce celnej w Woźnikach używał Lompa określenia polska granica. Tak się utarło, choć Polski już nie było; grzbiet wzgórz, ciągnący się od Woźnik po Koziegłowy rozdzielał od wieków Królestwo Polskie, od – zaliczanego do Śląska Księstwa Siewierskiego i południowych obszarów Ziemi Lublińskiej. Polski nie było w sensie formalnym, Polska była symbolem, Polska była Jasną Górą. Dzięki wsparciu ziemian z Kongresówki Lompa w Warszawie wydał rzecz o dłuższym tytule: „Przewodnik dokładny dla odwiedzających święte od wieków cudami słynące miejsce w Obrazie Najświętszej Maryi Panny na Jasnej Górze w Częstochowie”. Pisał o mitycznej stolicy Polski. „Tu waleczni

bohaterowie swoje buławy i kosztowne wota w ofierze, na cześć cudami słynącego obrazu, jako znaki wdzięczności, za doznane łaski, w najgłębszej pokorze, na ołtarzu N. P. Maryi składali, zeznając: że za przyczyną tej Opiekunki i Matki miłosierdzia, której się polecili, cudów zwycięstwa i pomocy doznali. Cuda te zatwierdza niepojęty cud, że codziennie niezliczone tłumy ludu z rozmaitych krajów i narodów, jednym duchem ożywione, wszystkie jedną błogą myślą natchnione, opuszczając swoje domy i rodziny, nie uważając bynajmniej na daleką odległość, wielorakie trudy i niewygody, często tylko o chlebie i wodzie, pieszo, z pobożnymi pieśniami, tu pielgrzymują i ztąd z szlochaniem, łkaniem i gorącymi łzami, w sercu uspokojone odchodzą i jak najczęściej tu być pragną”.

II Pół wieku po śmierci Josefa Lompy decyzja o pielgrzymowaniu do Częstochowy była wyborem politycznym. Minął czas Kulturkampf, gdzie wszelkie pielgrzymowanie było ograniczone; dla władz niemieckich istotniejsze były kwestie wyboru narodowego. Ślązak, świadomy swej etniczności wybierał w zgodzie z tradycją Kalwarię Piekarską lub sanktuarium na górze św. Anny. Ten, który wędrował, legalnie lub nielegalnie, na Jasną Górę, czuł się bardziej Polakiem niż Niemcem, być może bardziej Polakiem niż Ślązakiem.

Cóż my, jako mieszkańcy Częstochowy, mogliśmy o tym wiedzieć? Górny Śląsk był dla nas bliską częścią Niemiec; dynamiczny rozwój przemysłowy pogłębiał kontrasty i kompleksy. Tam robotnik chodził w butach, mieszkał w mурowanym domu z ogródkiem i toaletą, stać go było na niedzielną kurę lub pieczeń wieprzową. Na przybywających z Kongresówki „za chlebem” zerkał taki Ślązak z wzdargą lub litością, a gdy zdarzyło mu się granicę przekroczyć wzdychał: chłopcy, jak wy możecie w takim dziadostwie żyć. Niechęć do Niemców silna była już przed I wojną światową; mimo że szanowano miejscowych Niemców, a i z tymi zwa kordonu robiono dobre interesy. „Swoi to swoi”, „interes to interes”, ale gromko śpiewano „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”, płakano nad strasznym losem dzieci we Wrześni (zapominając o dzieciach bitych w ruskich szkołach). Ta niechęć pogłębiła została doświadczeniem wojennym.

Okupujący Częstochowę Niemcy słuźnie zapracowali na opinie łotrów i złodziei; rządził ich pejcz, a kradli w końcu wojny wszystko co miało jakąkolwiek wartość. Kilka tysięcy mężczyzn z Częstochowy i regionu wywieziono na Górny Śląsk i dalej w głąb Rzeszy, do pracy niewolniczej. Mógł więc Kajzer ogłaszać „niepodległe” Królestwo Polskie, mógł szukać ochotników do „polnische Wehrmacht”, po praktyce doświadczeń z niemiecką kulturą, trudno było znaleźć sympatyków dla tych inicjatyw.

Niemcy to Niemcy, ale byli – przynajmniej w oczach częstochowian – mityczni Polacy-Ślązacy, ci, których przewodnik Lompy prowadził na Jasną Górę. Widzi się to, co się chce widzieć. Pielgrzymi z Olesna, z Bytomia, Kochłowic itd., stanowią dowód oczywisty: Ślązacy są Polakami, Śląsk jest ziemią polską, naszym obowiązkiem moralnym jest wyzwolenie tej ziemi z jarzma Teutonów. Kiedy w listopadzie 1918 r. rozsypał się „stary świat”, a na jego gruzach budziło się nowe; gdy budziła się Polska, to „kwestia śląska” była najbliższa sercom mieszkańców nadwarciańskiego grodu. Zwłaszcza, że łączyła się ona z poczuciem zagrożenia ze strony imperium, wydającego się – z lokalnej perspektywy – jeszcze niepokonanym. W nerwowej atmosferze oczekiwano, czy Niemcy przyjmą „dyktat wersalski”. Z ochotników-Polaków-Ślązaków formowano jednostkę wojskową – słynny 1 Pułk Strzelców Bytomskim; w Częstochowie ulokowano Ekspozyturę Komendy Naczelnej POW na Górny Śląsk. Tydzień przed zawarciem pokoju wersalskiego doszło do starć zbrojnych, pod Herbami i Lublińcem padły strzały z km-ów i artylerii. Tej nerwowej niepewności nie zakończyło podpisanie traktatu, jeszcze w lipcu 1919 r. samoloty niemieckie krążyły nad Częstochową.

III

Po stłumieniu I postania przybyła do naszego miasta grupa 90 uchodźców z powiatu bytomskiego, po niej transport 53 dzieci. Ogółem w Częstochowie i okolicach schronienie znalazło ponad 600 Polaków-Ślązaków, uciekających przed niemieckimi represjami. Wygłodzone latami wojny miasto nie tylko dało im schronienie. Powstały Komitet Niesienia Pomocy dla Górnego Śląska, z prezesem Rady Miasta Stanisławem Nowakiem i prezydentem Bantke-Stężyńskim w składzie, natychmiast rozpoczął działania pomocowe wysyłając 70 wagonów kartofli dla wygłodzonego Górnego Śląska. Rada Miasta wydzieliła z budżetu dotację na finansowanie pomocy, obciążono wszystkie przedsiębiorstwa „dobrowolnym” podatkiem – 1% dziennego obrotu – na potrzeby Śląska. Nie było w tym podziałów politycznych: kwesty na rzecz Ślązaków organizowali endecy, chadecy, a także zdominowana przez PPS Rada Robotnicza z Rakowa. Podobne ponadpolityczne było zaangażowanie w pro-



pagandowe wsparcie plebiscytu. Szefem miejscowego Komitetu Plebiscytowego został aptekarz Stefan Kozicki, w okresie od marca do maja 1920 r. zorganizowano dziesiątki wieców i odczytów, w tym także w miastach i miasteczkach podczęstochowskich: Brzeźnicy, Działoszynie, Gidlach, Pajęcznie, Radomsku, Wieluniu. Na apel „Gońca Częstochowskiego” zebrano 165 tys. marek na rzecz włączenia Śląska do Polski. Kulminacją działań propagandowych był okres od października 1920 do marca 1921; nie było dnia bez akcji agitacyjnej, najaktywniej działali harcerze. W dniu plebiscytu przygotowano punkty żywieniowe, herbaciarnie, punkty informacyjne dla podążających na Śląsk.

To wzmocnienie społeczne uwidoczniło się, gdy prasa doniosła o „krzywdzącej” decyzji Rady Ententy o podziale Śląska. W święto narodowe 3 maja 1921 r. na placu przed Ratuszem manifestowało ponad 30 tys. częstochowian. Na gorąco zdecydowano o utworzeniu Komitetu Obrony Śląska, po zakończeniu wiecu na odsiecz Ślązakom w kierunku na Herby wyruszyli dwa zbrojne oddziały ochotników, jeden pod dowództwem por. Franciszka Czarneckiego, drugi kierowany przez podchorążego Ondrasika.

Wspominał ten czas prof. Mieczysław Gładysz, powojenny dyrektor muzeum w Gliwicach i Bytomiu. W 1921 r. był uczniem częstochowskiego Państwowego Seminarium Nauczycielskiego i drużynowym utworzonej w nim V Harcerskiej Drużyny im A. Mickiewicza; przed plebiscytem wraz ze swoją drużyną zaangażowany był w organizowanie kwest i akcji pomocowych. „Gdy prasa miejscowa, d. 3 maja 1921 r., doniosła o wybuchu III Powstania Śląskiego, natychmiast podjęliśmy inicjatywę, aby wziąć w nim udział. Po napisaniu odezwy do kolegów, aby poszli naszymi śladami, jeszcze tego samego dnia wieczorem wyruszyliśmy w grupie 5 osób z Częstochowy

w stronę Starych Herb. (...) Z Częstochowy do Starych Herb szliśmy przez całą noc. O świcie przeszliśmy przez granicę i na drodze do Lublińca załadowano nas na wozy, którymi jechaliśmy w kierunku Lisowa. Stamtąd trzeciego dnia wyruszyliśmy w stronę Dobrodzienia. Po raz pierwszy ostrzeliwali nas Niemcy przy przystanku kolejowym w Pludrach. W nieustannej strzelaninie okrażaliśmy wieś tej samej nazwy, a w kilka godzin później opanowaliśmy ją we frontowym natarciu. Zginął wówczas od kuli karabinowej Ignacy Ziental, a Piotr Stasiak dostał się do niewoli. Jedynie szybkie przeciwnatarcie innego oddziału uratowało mu życie. Zdobycie wsi Pludry otworzyło drogę naszym oddziałom do Dobrodzienia, a następnie do Olesna. Kilku rannych i zabitych w tej bitwie przewieziono do Częstochowy” (za: B. Puczyński „Ziemia Częstochowska”, t. V, z. 1965 r.)

W walkach o Dobrodzień oznaczyły się oddziały ochotnicze Czarneckiego i Ondrasika. Cena zwycięstwa była wysoka, płacona krwią młodych ludzi. 5 maja na częstochowskim cmentarzu św. Rocha blisko 50 tys. ludzi żegnało poległych 16 ochotników. Był wśród nich uczeń Seminarium Nauczycielskiego Ignacy Ziental, uczniowie Państwowego Gimnazjum im. H. Sienkiewicza Jan Goliński, Kazimierz Gomoliszewski, Stefan Niekracz... Orleńta, którym nie dane było dożyć pełnoletności... Zginęły w rodzinnych stronach Józefa Lompy, walcząc o ten mityczny Śląsk Lompy, ten widziany z Jasnej Góry.

Widać dziś jeszcze na Garbie Woźnickim, po kształcie zabudowy, dawną granicę polsko-śląską. Strony piękne, polecam je wszystkim miłośnikom wędrowek. Przebiega tędy szlak śląskiej, drewnianej architektury sakralnej, kusząc takimi perłami jak kościół w Boronowie, Cieszowie, Koszęcinie... i ten woźnicki, w cieniu którego spoczywa Józef Lompa.

Różewicz i jego gliwickie lata

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Kilka miesięcy po śmierci Tadeusza Różewicza, 8 września 2014 roku otrzymałem od wdowy **Wiesławy** piękny album *Różewicz w obiektywie Adama Hawaleja* (wydany przez Wrocławski Teatr Współczesny) z dedykacją: *Panu Krzysztofowi, żeby pamiętał*. Nigdy nie zapomnę Różewicza... W tej książce oprócz zdjęć są wiersze pana Tadeusza, między innymi ten: *przysli zobaczyć poetę i co zobaczyli?* Znamienne i mocne są słowa poety: *słysz / jak byle kto mówi byle co / do byle kogo / bylejałość ogarnia masy i elity / ale to dopiero początek*. Kiedy obserwujemy, co dzieje się w XXI wieku, jak mass media i portale społecznościowe pokazują byle co – dociera do nas jeszcze silniej to *memento* i lęk przed zalewem bylejałości... A w *Uczniu czarnoksiężnika* Różewicz napisał (w nawiązaniu do metafory ogrody poezji): *Na razie podejrzewam, że za murami znajdują się nie „ogrody”, ale „śmietniki”. Ja spróbuję sadzić drzewa i kwiaty na „śmietnikach”. Czy to jest nihilizm? Nie. To trudna, brudna, zwykła robota*. Hawalej zrobił mu symboliczny cykl zdjęć, na których widzimy poetę wynoszącego kubeł, worki i torby na śmietnik. W 1989 roku Różewicz zadzwonił do Hawaleja i poprosił go, aby przyjechał do niego, do domu przy ulicy Januszowickiej i wyreżyserował swego rodzaju happening z wyrzucaniem śmieci.

Stara kobieta i góra śmieci

Kiedy jeszcze nie dane mi było poznać poety osobiście, zachowywałem się jego dramatami. Gdy studiowałem teatrologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, towarzyszył mi opublikowany przez Wydawnictwo Literackie dwutomowy wybór jego sztuk, dokonany przez **Józefa Kelere**, pod tytułem *Teatr*. Oprócz *Kartoteki* ogromne wrażenie wywarły na mnie sztuki *Odejskie głodomora*, *Pułapka* o Franzu Kafce oraz *Stara kobieta wysiaduje*, gdzie widzimy na scenie kawiarnię i śmietnik. Różewicz pisze w didaskaliach: *Przez otwarte okno wlewa się, wspanuje góra śmieci, wodospad śmieci i odpadków. Góra śmieci piętrzy się za oknem. Co jakiś czas porusza się i do kawiarni wspanuje się nowa porcja śmieci*. W odsłonie drugiej mamy *śmietnisko „jak morze”, od brzegu do brzegu. Śmietnisko aż po horyzont*. [...] *Olbrzymi śmietnik. Poligon. Nekropol. A jednak plaża. Plaża nadmorska*. [...] *W kilku miejscach wykopane „grajdolki”, jak na plaży. Kopczyki. Może groby*. Ten dramat został napisany w Gliwicach, ukończony w lutym 1968 roku, czyli tuż przed wyjazdem do Wrocławia. Stara Kobieta mówi: *Strumienie wyschły, wody klozetowe połączyły się ze źródłami*. Można by stwierdzić, że Różewicz napisał sztukę ekologiczną, ale nic bardziej mylnego! Czy jest to nasycona katastrofizmem wizja końca cywilizacji, ukazanie śmietnika historii i kultury? Stara Kobieta chce (musi?) obsesyjnie *rodzić bez przerwy*

na śmietniku... A pod koniec sztuki woła zagubiona i przerażona: *Synku, synku, gdzie jesteś?* Różewicz pisze w didaskaliach: *Zagłada do wszystkich koszy, dziur, pod stoły i krzesła*. [...] *Rozrzuca śmieci coraz szybciej z zaciekłością. Rwie i rozrywa ziemię pazurami*. Ta sztuka otwiera wiele możliwości interpretacyjnych. Wątek ekologiczny wybrzmiewa również, ponieważ ponad 50 lat temu Różewicz – profeta przewidział, co będzie się działo ze światem współczesnym, którego ludzie sprowadzają do samozagłady, ale jeszcze jest czas, aby to zatrzymać, jeśli otrząśniemy się z leżących. Ale śmieci – to także kultura naszych czasów, w której wartościowe wytwory ludzkiej myśli i wyobraźni są zasypywane śmietnikiem tandetnych podróbek, niby-twórczością i niby-autorytetami...

Nihilista – humanista

Różewicz nie był nihilistą, co kiedyś zarzucał mu **Julian Przyboś** – jego wcześniejszy ojciec duchowy. W *Odzie do turpistów* (1962) Przyboś wyklął go razem z **Grochowiakiem** i **Białośzewskim** (*Zmykajcie! Zarządzam niniejszym / deratyzację Waszych wierszy*), a następnie w artykule *Zapiski polemiczne* („Poezja” 1967, nr 6) umieścił taki okrutny pamflet: *Umarł Tadek umarł, już leży na desce, / pisze dla „Poezji” jeden wierszyk jeszcze! Bo w Tadziorze taka dusza, / Ze choć umarł, nogą rusza*. To musiał być ogromny cios dla Różewicza. Przyboś wcześniej odwiedzał go w Gliwicach, przyjaźnili się i rozumieli... Łyżkę dziegiu dołożył też **Jan Błoński**, który wcześniej wychwalał poetę, nazywając go *mistrzem kompozycji lirycznej* („Poeci i inni”, Kraków 1956), a już kilka lat później określił go jako *tragicznego nihilistę* (*Ścieżki do nikąd*, „Przegląd Kulturalny” 1963, nr 19).

Wielki – mały siwy spod 13.

Nie czas tu i miejsce na analizę wszystkich polemik, natomiast warto zauważyć, że Różewicz w tamtych latach był już entuzjastycznie przyjmowany w różnych krajach świata, jego twórczość tłumaczono na wiele języków, a jego sztuki były wystawiane z powodzeniem za granicą. Na pewno przeżył tę nagonkę na swoją twórczość, ale miał też zadośćuczynienie w formie docenienia poza Polską. Może dlatego nie przywiązywał później dużej wagi do nagród i odznaczeń, które otrzymywał w kraju. Zresztą nigdy nie chciał być pomnikowy. Gdy mówiono o nim *wielki poeta*, wprawiało go to w zakłopotanie: *kiedy słyszę ten przymiotnik – epitet – czy określenie (?) „wielki”, kurczę się jakoś i przypominam sobie tzw. Anegdotę z ulicy Januszowickiej, gdzie mieszkalem 25 lat (?) pod nr 13. – „jakaś” dziennikarka zrobiła wywiad chyba z „sąsiadem” spod 15. – właścicielem magła – pytała, czy widuje, czy zna „wielkiego” poetę T. R. – „znam, znam – odpowiedział*

– to ten mały siwy... spod 13., chodzi do parku, widuje go” w ten sposób „wielki – mały (siwy)” składa się na zewnętrzny obraz waszego wielkiego dolnośląskiego (i górnośląskiego) poety z Radomska... (Konstancin, styczeń 2005 r., w: Margines, ale... Wrocław 2010 r.)

Poeta w ogrodzie i śmierć matki

Pamiętam, jak pewnego razu w 2010 roku, w ciepły słoneczny dzień przyjechałem „na herbatkę” do Różewiczów. Drzwi otworzyła mi uśmiechnięta pani Wiesława. Wręczyłem jej kwiaty w doniczce, wiedząc, że woli takie, bo dłużej może się nimi cieszyć. Uwielbiała kwiaty i dbała o ogród: sadziła w nim, kopała, podlewała. Powiedziała do mnie: *Różewicz jest w ogrodzie, gdzieś tam go pan znajdzie*. Schodzę ze schodków, idę w prawo do wielkiego ogrodu – i nigdzie nie widzę poety. Patrzę na drzewa, aż wreszcie odwracam się i widzę w kącie, przy żywopłocie, skurczoną postać w niebieskim kapeluszu „wędkarskim”. Powiedział do mnie słabym, łamiącym się głosem *Tu jestem. Niech pan sobie weźmie krzesło*. Ja mówię: *Możę stać*. A on na to: *Nie lubię, jak ktoś nade mną stoi*. Wziąłem ogrodowe krzesło, które stało przy murze domu i usiadłem. Różewicz zaczął mówić z uśmiechem: *Wie pan, dlaczego zostałem poetą? Bo miałem dwóch wspaniałych braci: Janusza i Stanisława. Kobiety się za nimi oglądały, bo byli przystojni i wysocy, a ja byłem niezauważalny. Dlatego zacząłem pisać wiersze i podczas wszystkich spotkań ze mną pojawiała się wiele pięknych młodych kobiet, które chciały autograf albo wspólne zdjęcie*. Pani Wiesława przyniosła nam do ogrodu pyszny kisiel ze świeżymi owocami. Rozmawialiśmy o Gliwicach, o przyjacielu **Wojtku Pszoniaku** (o którym właśnie wtedy kręciłem fabularyzowany film dokumentalny *Z Gliwic do Paryża*) i o wiełoletniej przyjaciółce poety, tłumaczce z Pragi, **Vlaście Dvořáčkovéj**. *Była to niezwykle serdeczna, mądra kobieta, tłumaczka pierwszego wydania za granicą tomu poezji Różewicza W środku życia (wyboru z pierwszych dziesięciu tomików jego wierszy)*. Powiedziała mi, kiedy pojechałem ją odwiedzić w Pradze jesienią 2008 roku: *Przed świętami Bożego Narodzenia Tadeusz przyjechał do Pragi, bo nie mógł się pogodzić z myślą, że będzie przeżywać te święta w Gliwicach, w domu, gdzie zawsze była jego matka*. W lipcu 1957 roku zmarła w Gliwicach ukochana matka poety **Stefania Różewicz**, pochowana na cmentarzu niedaleko Teatru Miejskiego (w tamtych czasach – Operetki Śląskiej). *Kiedy wychylałem się z okna mojego gabinetu, widziałem ten cmentarz i wysokie drzewa rosnące wokół niego. Poeta nie mógł sobie znaleźć miejsca po tych traumatycznych przeżyciach, które opisał w Dzienniku gliwickim. Różewicz prosił mnie, abym czasem zapalił zniczą na grobie jego matki. W ostatnich latach życia już nie miał siły, aby przyjeżdżać do Gliwic*.



Wiesława Różewicz, Tadeusz Różewicz, Krzysztof Korwin-Piotrowski

Kamienica przy Zygmunta Starego 28

Pani Wiesława zawsze mówiła do mnie o swoim mężu „Różewicz”, nigdy „Tadeusz”, co mnie zdziwiło, ale wynikało to z jej ogromnego szacunku dla niego i jego twórczości. Nigdy nie robiła mu wyrzutów, że często wyjeżdża, a poeta zniknął z domu na tygodnie i miesiące, wyjeżdżając na zagraniczne stypendia i do przyjaciół, gdzie mógł w spokoju pisać. W gliwickim mieszkaniu, w kamienicy przy ulicy Zygmunta Starego 28, nie miał ciszy. Mieszkał z żoną, teściową, matką i dwoma synami: **Kamilem** i **Jankiem**. Życie domowe toczyło się głównie w kuchni, a w salonie zamykał się Różewicz i pisał. Czasem odwiedzał go tam brat, wybitny reżyser filmowy **Stanisław Różewicz**. Napisał z **Kornelem Filipowiczem** scenariusze do takich obrazów brata jak: *Trzy kobiety*, *Miejsce na ziemi*, *Głos z tamtego świata*, *Piekiło i niebo*. Razem ze Stanisławem pisał natomiast scenariusze do jego filmów: *Świadek urodzenia*, *Echo*, *Samotność we dwoje*, *Drzwi w murze*.

Doktor H.C. i porcelanowe wiersze

Tadeusz Różewicz przyjaźnił się na Górnym Śląsku z historykiem literatury **Zdzisławem Hierowskim** oraz cenionym przez niego poetą, dziennikarzem i społecznikiem **Tadeuszem Kijonką**. Cenił poetę, tłumacza i krytyka literatury prof. **Mariana Kisiela**, który zajmuje się jego twórczością. Różewicz publikował swoje teksty w miesięczniku „**Śląsk**”. W styczniu 1999 roku otrzymał tytuł doktora honoris causa **Uniwersytetu Śląskiego**. Na tę okoliczność przygotował wykład, w którym stwierdził między innymi: *Wiersz jest zjawiskiem częstym, poezja jest zjawiskiem bardzo rzadkim... poezja, która, w przeciwieństwie do wiersza, nie ma początku i końca. Mówił o „porcelanowych wierszach”, które są piękne, ale nieżywe. Sam pisał w gimnazjum sonety czy oktostychy, ale po traumatycznych przeżyciach z czasów II wojny światowej już nic nie było takie samo, więc powojenne wiersze, tworzone „w ruchu”, przestały być „piękne”.*

Gliwickie lata Tadeusza Różewicza

W piątek 13 listopada 2009 roku w gliwickim Kinie „**Amok**” (w ramach festiwalu „*Camera Silesia*”) odbyła się premiera filmu dokumentalnego *Gliwickie lata Tadeusza Różewicza* w mojej reżyserii (scenariusz napisałem z wieloletnią asystentką poety **Marią Dębicz**, zajmującą się międzynarodową recepcją jego twórczości i utrzymującą żywe kontakty z tłumaczami na całym świecie). Film został wyprodukowany przez **Gliwicki Teatr Muzyczny** (producentem był dyrektor **Paweł Gabara**), a sfinansowany przez samorząd Gliwic (projekt wsparła Rada Miasta, ponieważ poeta był **Honorowym Obywatel** Gliwic). Natomiast w lutym 2010 roku odbyła się premiera w **TVP 2** i – równocześnie – w **Teatrze Studio am Salzufer w Berlinie**, który nosi imię Tadeusza Różewicza, a jego dyrektorem jest aktorka i reżyser **Janina Szarek**. Potem miałem pokazy tego filmu między innymi: w **Stacji Naukowej PAN w Wiedniu**, na **Uniwersytecie Alberta w kanadyjskim Edmontonie**, w galerii sztuki w **Nowym Jorku**, w **Teatrze Dramatycznym w Warszawie** (z okazji 50-lecia prapremiery „*Kartoteki*”) oraz w teatrach **Polskim i Współczesnym we Wrocławiu**. Odbyło się też kilka emisji w **TVP Kultura** i **TVP Polonia**.

Gliwice – Wiesława – Kamil – Jan

Zależało mi i Marii Dębicz na tym, aby pokazać, jak ważny i bogaty był gliwicki okres twórczości Różewicza, który trwał ponad 20 lat, do 1968 roku. Poeta wspomina w naszym filmie: *Zaczęłam studiować historię sztuki na UJ-cie jesienią 1945 roku i zamieszkałam w Krakowie. Z początku przez kilka tygodni u Przybosa, potem zwolnił się maleńki pokój na Krupniczej 22. To był wtedy właściwie Olimp polskiej literatury: od **Szaniawskiego** i **Galczyńskiego**, poprzez **Kisielewskiego** i **Andrzejewskiego**. [...] Wiesława miała mieszkanie w Gliwicach z Czerwonego Krzyża, gdzie zamieszkała ze swoją mamą, młodszą siostrą, młodszym bratem... Przejżdżał z Krakowa do swojej narze-*

*czonej. Podróż była uciążliwa, trwała kilka godzin z przesiadkami: ... a ja, no cóż, jeździłem... Jak jeździłem? Do Katowic, a z Katowic tramwajami kombinowanymi przez Chebzie, Chorzów, koło huty tramwaj szedł, przez Rudę Śląską, w Zabrze przesiadałem się w Dwójkę bodaj i podjeżdżałem na Zygmunta Starego, gdzie tramwaj zakręcał, bo koło domu Wiesławy była pętla wtedy. 15 lutego 1949 roku wziął ślub cywilny w Gliwicach. Ale tak naprawdę to stałem się nie w czterdziestym dziewiątym roku mieszkańcem Gliwic, tylko w czterdziestym szóstym: część studiów spędzałem na Zygmunta Starego. A potem się urodził Kamil, a potem jeszcze Jan – poeta. Kamil przyszedł na świat 7 marca 1950 roku, a Jan – 6 października 1953 roku. Kamil skończył studia historyczne na **Uniwersytecie Wrocławskim**, a Jan – polonistykę we Wrocławiu, a następnie reżyserię dramatu w **PWST w Krakowie**. Poznałem Jana, kiedy reżyserował w **Teatrze Zagłębia w Sosnowcu** *Historię o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim*. Jako redaktor TVP Katowice realizowałem reportaże z premiery w 1993 roku. Dyrektor teatru **Jan Klemens** wyreżyserował w Gliwicach dwie sztuki Różewicza w **STEP-ie (Studentckim Teatrze Poezji)**: *Świadkowie albo nasza mała stabilizacja* (z Wojtkiem Pszonakiem w głównej roli – prapremiera w grudniu 1962 roku) oraz *Spaghetti i miecz* (prapremiera w grudniu 1964 roku). Tadeusz Różewicz został kierownikiem literackim tego teatru.*

Historia Kartoteki

Dzięki **Kartotece** Różewicz stał się dramaturgiem znanym i cenionym na świecie. Tak mówił mi, jak do tego doszło: *Próbowałem napisać sztukę w stylu Leona Kruczkowskiego, powiedzmy w realizistycznym. To była sztuka o **Marianie Buczku** [„Będą się bili”], ale tylko dwa akty napisałem... A potem napisałem drugą sztukę „*Ujawnienie*”, która wyprzedziła „*Kartotekę*”, ale została oceniona ujemnie jako drobnomieszczański psychologizm i odrzucona. Potem przeczytałem „*Dwa teatry*” **Szaniawskiego**, **Witkacego** wcześniej, i doszedłem do wniosku, że w tej poetyce nie da się nic więcej zrobić. I zacząłem pisać „*Kartotekę*”, potem ją przerzywałem, nie chciało mi się pisać... Pamiętam, że Stanisław przyjechał. Mieliśmy taki duży piec w Gliwicach, który był piękny, ale nie grzał, bieda była... i wtedy ja Stanisławowi czytałem fragmenty. On mówi: „Pisz, skończ to, to jest ciekawe, to jest dobre”, bo ja nie byłem pewien. Dla mnie bardzo ważne były eksperymenty na papierze. Wiedziałem, że tekst musi być rozpisany – stąd didaskalia, jak ją wystawić... A czy jakiś teatr przyjmie, czy nie przyjmie... Z „*Kartoteką*” były bardzo długie pepyetye, to nie było tak, że z entuzjazmem przyjęto debiut, ooo nie. To były komplikacje, nawet takie, że małe honorarium, bo krótka sztuka – niepełnospektaklowa. Prapremiera w reżyserii **Wandy Laskowskiej** odbyła się w **Teatrze Dramatycznym w Warszawie** w marcu 1960 roku. Nie zamierzałem iść na premierę, nie chodziłem na premiery. Na próby czasem chodziłem – to mnie ciekawiło – albo na któreś przedstawienie po premierze. Szedłem sobie i **Zosia** – to była zresztą narzeczona **Janusza** w okresie*

konspiracji, młodości – mówi: „Gdzie ty idziesz?” a ja mówię: „Na spacer idę”. „A przecież jest twoja premiera, tu grają”. Ja mówię: „No wiem”. „No to jak to?”. I ja mówię: „No to chodźmy”. Potem był bankiet. Ja odmówiłem urządzania bankietu na swój koszt. Był taki zwyczaj, ale nie miałem za co – honorarium było takie niskie – i pamiętam, że **Henryk Fogler** – on wszystkie recenzje z teatrów krakowskich pisał – powiedział mi: „Jak to, Tadeziu, to ty nie urządziłeś przyjęcia dla zespołu i aktorów? Słuchaj, musisz ci powiedzieć, że z ciebie dramaturg chyba nie będzie”.

Grupa Krakowska, Wajda i Kutz

Nagrałem do filmu także między innymi Andrzeja Wajdę i Kazimierza Kutza. Przyboś wprosił Różewicza do neoawangardy – drugiej Grupy Krakowskiej, do której należeli między innymi: **Tadeusz Kantor**, **Jerzy Nowosielski**, **Kazimierz Mikulski**, **Andrzej Wróblewski** i **Andrzej Wajda**. Poeta zbliżył się więc mocno do środowiska artystów plastyków. Andrzej Wajda powiedział mi: *Różewicz był moim poetą, mojej młodości, kiedy chodziłem w 1946 roku do Akademii Sztuk Pięknych. Mam jeszcze z tamtego czasu egzemplarz „Czerwonej Rękawiczki”, jednego z pierwszych jego tomików poetyckich. Różewicz mówił to, co myśmy chcieli wtedy namalować, a potem zrobić w filmie... [...] Nigdy nie udało mi się zrobić w całości „Kartoteki”. Zrobiłem taką próbkę w filmie, który się nazywa „Marzenia są piękniejsze” – o filmach, których nie zrealizowałem i o spektaklach, których nie zrealizowałem. Postawiłem łóżko na skrzyżowaniu alei Jeruzolimskich i ulicy Marszałkowskiej. Bo w jedną stronę kroczy aż do Moskwy, a w drugą stronę aż Berlina. To jest nasz los, my jesteśmy na tej strasznej płaszczyźnie, no i to łóżko, gdziekolwiek by nie stało, to zawsze stoi na przeciagu. Żaluję, że nie udało mi się zrobić „Kartoteki” właśnie w ten sposób, że nagle tramwajem jedzie ten chór starców, który jest chórem jakiejś młodości czy dzieci, bo w tej chwili nasz Bohater znajduje się na jakimś skrzyżowaniu... No i ten*

Pałac Kultury, który jest z tyłu, za jego plecami, nieśmiertelny, nie do ruszenia – to wszystko stwarza jakąś inną scenierię, której teatr nie może dać.

Kazimierz Kutz dodał też coś bardzo ważnego o Różewiczu: *On do „Kartoteki” doszedł przez własne doświadczenie, ponieważ można powiedzieć, że ludzie, którzy podczas wojny strzelali, zabijali albo byli na cynglu innych i uszli z życiem, są ludźmi roztrzaskanymi wewnątrz. To są ludzie, którzy mają zniszczoną naturalność emocjonalną i to jest źródło, i przyczyna jego poetyckości.*

Odchodzenie poety

Pamiętam, jak w styczniu 2010 roku przyjechałem do Różewicza, aby pokazać mu gotowy film przed emisją w TVP. Kamil wziął ode mnie płytę DVD i włożył do odtwarzacza. Usiedliśmy z Różewiczem na wersalce i obejrzelśmy cały film. Wzruszał się, kiedy widział zaprzyjaźnione osoby, takie jak: kompozytor **Krzysztof Penderecki** (który w swoim *Dies Irae* wykorzystał przetłumaczony na łacinę fragment wiersza Warkoczyk), bratanek **Paweł Różewicz** (który zagrał jedną z ról w filmie *Świadeństwo urodzenia*), wspomniana już tłumaczka z Pragi **Vlasta Dvořáčková**, mieszkająca we Florencji córka wybitnego włoskiego tłumacza **Carla Verdianiego** – **Barbara**, córka tłumacza **Michaela Bába** – **Krisztina**, mieszkająca w Budapeszcie (tragicznie zmarła kanclerz Uniwersytetu Filmowo-Teatralnego), dyrektor Teatru Studio am Salzofu **Janina Szarek**, wdowa po pisarzu i tłumaczu **Henryku Beresce** – **Gilda**, urodzony w Gliwicach pisarz z Berlina – **prof. Olav Münzberg**... *Uśmiechał się, gdy widział Wojciecha Pszoniaka, urodzonego w Gliwicach Piotra Lachmanna, Andrzeja Wajdę, Kazimierza Kutza. Uznał za bardzo dobre to, że jego wiersze czytał Jerzy Trela, a wspomnienia i fragmenty prozy – Jan Peszek. Powiedział mi: Wie pan, ja nie lubię siebie oglądać, a zwłaszcza słuchać. Jestem stary, nieatrakcyjny. Mój głos jest słaby i mało dźwięczny.*

Wolę, jak oni to robią, to profesjonaliści. A jednak przecież to, że Różewicz czyta w moim filmie kilka swoich wierszy, jest ważne i symboliczne, zwłaszcza ten Z życiorysu: rok urodzenia / miejsce urodzenia / Radomsko 1921 [...] pytasz o ważniejsze / wydarzenia daty / z mojego życiorysu / spytaj o to innych / mój życiorys / kończył się / już kilka razy / raz lepiej raz gorzej.

Jego życiorys zatrzymał się **24 kwietnia 2014 roku**. Byłem na kremacji we **Wrocławiu**, a potem na mszy pogrzebowej w **Karpaczu**. Siedziałem z bliskimi w malutkim kościółku ewangelickim – **świątyni Wang**, na malowniczym wzgórzu, z widokiem na Snieżkę. Urna została umieszczona w ziemi obok grobu zaprzyjaźnionego z poetą **Henryka Tomaszewskiego**, a mszę odprawili – jak sobie zazwyczaj Różewicz w testamentacie – ksiądz katolicki i pastor ewangelicki. Pierwsza dedykacja, jaką otrzymałem od poety, jest datowana na 21 października 2006 roku. Podarował mi album *Tadeusz Różewicz w Karkonoszach* z fotografiami **Zbigniewa Kulika**. Tam przebywał podczas swoich 85. urodzin. Karpacz był jednym z jego ulubionych miejsc...

Gliwickie dni Różewicza

Właśnie w październiku 2006 roku zrealizowałem **Dni Tadeusza Różewicza w Gliwicach**. Jego wiersze interpretował mistrz słowa Jerzy Trela, a znakomity **Kwartet Śląski** grał muzykę Krzysztofa Pendereckiego i **Grażyny Bacewicz**. Wyreżyserowałem dwa krótkie dramaty Różewicza: *Dzidzibobo* w wykonaniu **Barbary Lubos** i **Artura Święśa** oraz *Czego przybywa, czego ubywa* w interpretacji **Wincenciego Grabarczyka** i **Romana Michalskiego**. **Andrzej Dopierała** zaprezentował wybrane przeze mnie wstrząsające fragmenty *Dziennika gliwickiego*, w których Różewicz opisywał swoje przeżycia związane z umieraniem matki. **Anna Polony** przedstawiła monolog z dramatu *Stara kobieta wysiaduje*. Zainscenizowałem też w Ruinach Teatru Miejskiego w Gliwicach fragmenty *Kartoteki*, napisanej w Gliwicach w latach 1958–59 i *Wyszedł z domu*. Wystąpili: **Bogumiła Murzyńska** i **Andrzej Pieczyński**... Zaprosiłem jeszcze **Janusza Olejniczaka** i **Ewę Dąłkowską**. Zorganizowałem konkursy kompozytorski i plastyczny, inspirowane twórczością Różewicza.

Nie zapomniałem, Pani Wiesławo. 27 września 2014 roku, kilka miesięcy po śmierci Różewicza wyreżyserowałem na **Scenie Bajka w Gliwicach** spektakl *Matka i Syn odchodzą* z **Ireną Jun**, **Danielem Olbrychskim**, **Małgorzatą Długosz**, **Anitą Maszczyk**, **Pawłem Staszczyszynem** i chórem Gliwickiego Teatru Muzycznego pod dyrekcją prof. **Krystyny Krzyżanowskiej-Lobody**, pokazywany też na **Różewicz Open Festiwal w Radomsku**. Ciąg dalszy nastąpi...

Krzysztof Korwin-Piotrowski – scenarzysta i reżyser telewizyjny i teatralny, dyrektor artystyczny Fundacji **ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego** w Warszawie.



Tadeusz Różewicz, Mieczysław Chudzik, Krzysztof Korwin-Piotrowski

Wybuch III powstania śląskiego 2/3 maja 1921

ZYGMUNT WOŹNICZKA

Na mocy decyzji wielkich mocarstw na Górnym Śląsku miano przeprowadzić plebiscyt, który miał zadecydować o przynależności państwowej tego terytorium. W lutym 1920 roku w Opolu zainstalowała się Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa, która miała czuwać nad przebiegiem plebiscytu. Na jej czele stał francuski generał Henri Le Rond. W Bytomiu w hotelu „Lomnitz” działał Polski Komisariat Plebiscytowy, który był oficjalnym organem rządu polskiego. Komisarzem plebiscytowym został Wojciech Korfanty, a pierwszym wice komisarzem był Konstanty Wolny.

W końcu kwietnia 1921 doszło do apogeum napięcia i czas ostatecznych decyzji. 29 tegoż miesiąca Korfanty otrzymał informację, że Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa wysłała do Paryża do Rady Najwyższej Koalicji dwa projekty podziału terenu plebiscytowego: angielsko-włoski i francuski. Francuski przyznawała Polsce część przemysłową, natomiast angielsko-włoski tylko kilka powiatów rolniczych. Można było przypuszczać, że Rada Najwyższa zaaprobuje projekt angielsko-włoski lub w najlepszym wypadku podejmie decyzję kompromisową, która nie mogła być niczym innym jak porażką Polski. Przekreśliło by to szanse na rewindykację Górnego Śląska. W tej sytuacji z powstaniem nie można było już czekać. Generał Le Rond poinformował bowiem Korfante, że decyzja Rady Najwyższej o niekorzystnym dla Polski podziale regionu plebiscytowego może zapaść już 4 maja 1921 roku. Ponadto, jak informował polski wywiad, Niemcy oczekiwali polskiego powstania 4 maja 1921. W tej sytuacji, aby mieć szansę na zwycięstwo, należało zacząć walkę wcześniej.

Sytuacja na Górnym Śląsku była napięta. Korfanty obawiał się, że może dojść do samorzutnego wybuchu strajku robotników, co mogło doprowadzić do wybuchu powstania bez uzgodnienia z przywódcami Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. Bał się, że straci kontrolę nad wydarzeniami. W tej sytuacji Korfanty opuszcza Górny Śląsk i wieczorem 1 maja w Sosnowcu wydaje dyrektywę o proklamowaniu strajku generalnego 2 maja 1921. Strajk generalny ogarnął cały Górny Śląsk, a w tym samym czasie Rząd Polski na tajnym posiedzeniu oświadczył, że kategorycznie sprzeciwia się „wywoływaniu ruchu zbrojnego

na Górnym Śląsku”. Polecono Korfante, aby „dolażył wszelkich starań i środków, by do tego nie dopuścić”. Witos poinformował o tej decyzji rządu Korfante z siedziby Sztabu Generalnego w Warszawie przez aparat Hughesa. Rozmowa miała miejscami dramatyczny charakter. Korfanty mówił Witosowi: „W tej chwili jestem już niewolnikiem wypadków. W tej sytuacji zmuszony jestem wziąć na siebie odpowiedzialność, ale rząd może mnie zdezawuować i odpowiednie części dzi-



siejszej depeszy do mnie w razie potrzeby przesłać do wiadomości Najwyższej Rady. W każdym razie rząd uczynił wszystko, aby do ruchu zbrojnego na Górnym Śląsku nie doszło, ja ze swej strony siedłem w tym samym kierunku, lecz horrendalne prepozycje Komisji stanowią taką prowokację ludności, że nikt jej pohamować nie jest zdolny”.

Rozmowa się skończyła, była północ. Do pokoju Korfante w pałacu Dietla w Sosnowcu, gdzie mieściła się Komenda POW, wchodzi Komendant POW Górnego Śląska płk. Maciej Mielżyński. Informuje, że oddziały nie są odpowiednio przygotowane do walki. Decyzje o podjęciu powstania podejmował Korfanty z ciężkim sercem. Konstanty Wolny

przebywał blisko Korfante i ostatecznie przekonał go do rozpoczęcia III powstania śląskiego. Tak to opisuje ppłk. Maciej Mielżyński: „Zażądałem od Korfante podpisania rozkazu rozpoczęcia powstania 3 maja o 2 rano. Korfanty wahał się [...], poczem Wolny odezwał się do Korfante – «Wojtek: Kiedy powie działasz a, to powiedz i b – nie ma co się wahać». Poczem Korfanty podpisał rozkaz rozpoczęcia powstania”. Jednocześnie złożył na ręce premiera rezygnację z urzędu komisarza plebiscytowego.

Jak wspomina dr Włodzimierz Dąbrowski, osobisty sekretarz Korfante, go, po podpisaniu rozkazu obaj wychodzą z budynku. Jest już po północy. Budzą śpiącego szofera:

– Jedziemy! – wołam do niego. – Powstanie się zaczyna!

– Co się zaczyna? – Pyta szofer i niedowierzająco na nas spogląda.

Motor pracuje silnie i hałasliwie. Przejedźdżamy po cichych ulicach Sosnowca samochodem. Po chwili odzywam się do posła Korfante:

– Panie Pośle, dzisiejszy dzień i wieczór, w którym zapadły decyzje, których rezultaty są nieobliczalne, będzie prawdopodobnie należał do jednych z najcięższych dni w życiu Pana...

– Tak – powiedział Korfanty – dzień dzisiejszy zaliczę do najcięższych chwil w moim życiu politycznym.

Było późno, panowie położyli się spać. O godzinie 3:30 nad ranem 3 maja 1921 zadzwonił telefon. Jak wspominał Dąbrowski dzwonił płk Mielżyński:

– Proszę zawiadomić posła Korfante, że miasto Bytom w naszych rękach. Były lekkie potyczki koło koszar. Akcja w powiecie bytomskim i katowickim rozwija się znakomic!

– Zatem wspaniały sukces.

Siadam koło telefonu i czekam. Po chwili telefonuje Nowina-Doliwa [ps. Mielżyńskiego-Z.W.].

– Tarnowskie Góry zajęte! – Zakomunikowałem posłowi Korfante radosne wiadomości.

Po krótkim wypoczynku wsiadamy nad ranem do samochodu, który pędzi na teren walki! Pierwszy dzień udanej rewolucji! Wybuchło trzecie powstanie śląskie. Z tą chwilą ukonstytuowała się na Górnym Śląsku Naczelna Władza na czele z Wojciechem Korfantem jako dyktatorem. Jej siedzibą były Szopienice. Zaczęły się ważne dla Górnego Śląska dni.

Nowe wiersze prozą

MARIAN KISIEL

Karły

Andrzejowi Buszy

Cieszcie się karły, nadchodźcie, oto umarł ostatni wojownik. Niech wasze piski przerażą tych, którzy się pochowali po domach. Nie ma już przeszkód, nadchodźcie, niechaj się wypełni. Młaszczcie po drodze, niech jadło się boi waszych zębów i brzucha. Oto umarł ostatni wojownik, cisza zapadła i nie słychać werbli. Którzy pragnęli śmierci wojownika, niechże teraz wyteżą swe uszy, bo nadchodzicie.

Ona

Czytaliśmy o niej, była opowieścią. Chcieliśmy ją zrozumieć, ale nie umieliśmy. W milczeniu idącym przez lata, monumentalnym jak słupy morowe, nagle się zjawiła, obnaża spróchniałe zęby.

Elegia

Gdzie jesteś, pyta drzewo; właśnie się zazieleniło, by rzucić większy cień. Dlaczego nas podlewa czyjaś obca ręka, niepokoją się piwonie; w tym roku chcą zakwitnąć pięknie. Kot, który nas nawiedza, dziwi się, że od dawna nie przychodzi ten śmieszny staruszek. Wszystko jest jak dawniej. Jak dawniej, jak dziwnie brzmią te słowa.

Wiersz o miłości

Czy możesz mnie pokochać, zapytał kornik drzewo. Mogę, odpowiedziało drzewo, wpij we mnie swoje usta. – Czy zechcesz mnie pokochać, zapytała rzeka kamień. Chcę, odpowiedział kamień, obejmij mnie swoim nurtem. – Czy zdołasz mnie pokochać, zapytała ziemia ciało. Tęsknię za tobą, rzekło ciało, szczelnie mnie sobą przykryj.



rys. Bogna Skwara

rys. Bogna Skwara



Dom na Fontance

Ciemne schody, pokoje, kuchnia bez wyrazu. Garnki, walizki, pogrzebacz, nic nadzwyczajnego. I łóżko, i stół, kilka krzeseł. Fotografie na ścianie, jakieś obrazy. O czym tu mówić, o jakiej namiętności? Jakie ciało zakryła ta suknia poezji?

Milczenie

Że zamilkł, zorientowano się później. Jakże mógł przestać mówić ten, który zawsze mówił? Przestały cieszyć bon moty, tym bardziej półsłówka, bo już nie mówił ten, który przewodził rozmowie. (Gdy jest w milczeniu, do kogo, milcząc, mówi; i z kim się sprzecza, nie używając figur? Oderwała się głoska „a” od jakiegoś wyrazu. Chciała coś wyznać, nie może).

Charlottenburg

Nie dotykaj mnie. Rani mnie twój dotyk. Uśmiecham się, ale to jest grymas. Oto przebiegła obok nas wiewiórka, patrzymy na nią osobno. Wiesz, tyle piękna było wokół nas. Chciałabym je zapamiętać, jak te wspaniałe dróżki w Charlottenburgu. Jakaż to była emanacja piękna!

Poemat o śmierci (Karsawin 1,13)

Poeta jest dzieckiem. Ze swoich mąk, z oplakanych łzami upadków uplata sobie wieniec. Nakłada go, bawiąc się, śmiejąc się najczystszy na świecie śmiechem – śmiechem przez łzy. Śmieje się dziecko: błyszczą mu oczy, a z policzków jeszcze nie zeszyły wielkie, gorzkie łzy. Poeta ze swoich skarg składa swoją pieśń: śpiewa całym światem, który stał się w nim radością. Ale poeta nie wie, i nawet o tym nie myśli, z jakiego powodu cieszy go błyszczący łzami, niczym kroplami rosy, upleciony przez niego wieniec, z jakiego powodu tak piękna jest pieśń zrodzona w skardze.

Sprawa śląska w oczach Amerykanki

ALOJZY CZECH

Wspomnienia Dorothy Adams *Ame-rykańska Polka z miłości do męż-czyzny i jego kraju* (Ośrodek Karta, War-szawa 2021) ukazały się w serii „Świa-dectwa XX wieku” i są niezwyklej relacją z jej kilkunastoletniego pobytu w Pol-sce międzywojennej. Nic lepszego re-cepji krajowych przemian nie mogło się przydarzyć. Wspomnieniowa relacja jest bardzo pochlebna. Do tego stop-nia, że nawet wydawca zastrzega, iż nie wszystko przebiegało tak pomyślnie. Nadto napisana z dramaturgią i dużą dawką emocji. Bo też dotyczy wyda-rzeń rodzinnych, które zawsze ciepłej się odbiera niż sprawy publiczne. Tu zaś mamy ich splot trudny do rozdziele-nia. A to za sprawą Jana Kostaneckiego (1902–1937), małżonka Dorothy, dyplomaty i naukowca, pochodzące-go w dodatku z wybitnej i patriotycz-nej rodziny. Do poznawczych zwią-zków z Polską doszło jednak za sprawą Śląska, który stał się tematem pierw-szych zainteresowań Dorothy. Ciekaw jest ewolucja postrzegania tak re-gionu, jak i kraju przez osobę począt-kowo obojętną, potem coraz bardziej zaangażowaną w jednoznacznie pro-polski punkt widzenia.

Pochodząca z Nowego Yorku, wycho-wana w Bostonie, wykształcona w żeń-skim Goucher College, Dorothy Adams (1901–1964) należała do Bezpartyjne-go Stowarzyszenia Ligi Narodów w Bal-timore. Stany Zjednoczone nie przy-jęły członkostwa Ligi Narodów, choć organizacja była pomysłu prezyden-ta Wilsona. Jej zwolennicy zrzeszali się na zasadzie dobrowolności i mo-gli brać udział w pracach Międzyna-rodowej Unii Stowarzyszeń Ligi Na-rodów. Dorothy Adams z tego tytułu przebywała dużo w Europie. W lipcu 1925 roku przyjechała do Warszawy na IX Kongres tych Stowarzyszeń. Mia-ła wtedy nikłe pojęcie o Polsce. Wie-działa tylko, że to małe państwo, któ-re swój byt zawdzięcza międzynarodo-wym decyzjom. Konferencji towarzy-szyło zwiedzanie atrakcji stolicy, jak też zabytków Krakowa. Organizatorzy bardzo starali się umilić czas przyby-łym gościom. Uprzedzając w stosun-ku do Polski nastawienie Dorothy nie zostało mimo to zbyt ułagodne. Postrzegała kraj jako biedny, nie po-trafiący dać sobie rady z wyzwaniem, które na niego spadły.

Uczestnicy konferencji w większości wracali przez Pragę do Genewy. Do-rothy po drodze zawarła bliższą zna-jomość z wieloma znaczącymi delega-tami angielskimi. Zrodził się pomysł zbadania, jak funkcjonuje wciąż sporna i żywo kontestowana granica niemiec-ko-polska, zwłaszcza na Śląsku. W tym celu polecono jej studia w Londynie w celu zapoznania się z dokumenta-cją dotyczącą sprawy śląskiej oraz opi-

niami z nią związanymi. W jesienno-zimowych miesiącach lat 1925/1926 została słuchaczką London School of Economics and Political Science, jed-nocześnie studiując materiały Brytyj-skiej Komisji ds. Górnego Śląska znaj-dujące się w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych. Opiekun-em i mentorem Amerykanki został Philip Noel-Baker (1889–1982), wte-dy wykładowca prawa międzynaro-dowego w londyńskiej uczelni, zara-zem aktywny działacz Ligi Narodów, obecny przy jej powstaniu, uczestnik Konferencji Paryskiej w 1919 roku, także srebrny medalista w lekkoatle-tyce na średnim dystansie Olimpiady w Antwerpii. W 1959 roku za cało-kształt działał na polu międzynarodo-wym otrzymał pokojowy laur noblowski. Nie trzeba dodawać, iż prezentował brytyjski punkt widzenia na ple-biscyt i podział regionu.

Bardziej jednakże oddziaływały spotkania i rozmowy ze współ-słuchaczami. Liczni zagraniczni stypen-dyści London School of Economics mieli swój klub, w którym mogli się spotykać niezależnie od narodowo-ści. Gdy słuchacze grupy niemieckiej dowiedzieli się, iż Amerykankę inte-resuje granica niemiecko-polska, za-praszali ją, by zaświadczać, iż „du-chową obelgą” (s. 18) i upokorzeniem wielkiego narodu jest, że Górny Śląsk został w części przekazany narodowi małemu i mniej wartościowemu. Nie ulegało w tym kręgu żadnej wątpli-wości żądanie jego zwrotu, albowiem „nie wolno trzymać wielkiego narodu w okowach” (tamże). Specjalnie Do-rothy to nie dziwiło, gdyż podobne na-stawienie miały opinie pochodzące ze źródeł brytyjskich.

Powszechne było nawiązywanie do stanowiska byłego premiera Davi-da Lloyd George’a (1863–1945), któ-ry uważał za niedorzeczne przekaza-nie Polsce bogatych złóż śląskiego wę-gla. „Polska jest zbyt ubogim krajem, by wydobywać takie zasoby – twierdził – podczas gdy Niemcy są zbyt wielkim narodem, by odbierać im możliwość dostępu do surowców” (s. 17). Inni zaś poplecznicy zgodnie tłumaczyli, że le-

piej dla Polaków będzie, gdy za swoje produkty rolnicze dostaną dobry to-war od Niemców. Poza tym, Polsce nie można zaufać, iż poradzi sobie z wy-dobyciem bez niemieckiego kapitału, urzędów ani myśli technicznej. Kon-frontując te opinie z nowymi zestawie-niami statystycznymi, przyszła amery-kańska Polka ze zdumieniem zauwa-żała, iż wydobyć w kopalniach ślą-skich przyznanych Polsce nie tylko nie zmniejszało się, ale nawet rosło w stosunku do okresu przedwojenne-go. Zresztą po jakimś czasie przestało budzić jej zdziwienie, iż często te same dane wykorzystywane były w argu-mentacji obu wykluczających się stron.

Podczas tych towarzyskich spotkań w międzynarodowym składzie zwraca-ła się do nielicznych Polaków – na-wiasem mówiąc Górnoślązaka w tym kręgu się chyba dopatrzeć nie sposób – dlaczego nie przeciwstawiają się mocno słyszalnej propagandzie na rzecz Niem-ców? W odpowiedzi słyszała najczę-ściej, iż szkoda na to pieniędzy, a kraj dopiero co odzyskał swą niepodległość ma inne ważniejsze potrzeby. Kierując się docieklivością i zamiarem napisa-nia obiektywnej rozprawy, postanowiła rzecz zbadać na miejscu. I tu zaczyna nakładać się na plany zawodowe wą-tek osobisty. Jednym z niewielu Pola-ków w Londynie był Jan Kostanecki, poszerzający po doktoracie na UJ studia ekonomiczne, którego już spotka-ła wśród organizatorów warszawskiej Konferencji sprzed roku. Wtedy jed-nakże dał się poznać raczej jako wy-trawny znawca historii malarstwa i ar-chitektury. Między młodymi zaczynało iskrzyć, jakkolwiek myśl o poważnym związku Dorothy z uporem wypycha-ła ze świadomości. „Ależ ja nie mogę zostać Polką. Jestem na wskroś i cał-kowicie Amerykanką. Wychowano mnie na unitariankę. Przeraza mnie [polski – A. Cz.] katolicyzm i nie bu-dzi zaufania. Zadławiłabym się nim” (s. 29). A jednak cała zawartość jej wspo-mnień jest wielkim hołdem złożonym krajowi, który wybrała na swoją dru-gą ojczyznę.

Eksperymentem niejako rozstrzy-gającym co dalej, miała być podróż

studyjna na Górny Śląsk. Kostanec-ki zaoferował pośrednictwo w aranżacji wyjazdu, Dorothy je przyjęła, zakładając, iż poznanie rodziny potencjalnego męża wzmocni albo zniweczy dalszy bieg tego związku. Pojechała sama. Jan został w Londynie, by nie wpływać na postrzeganie relacji rodzinnych, środowiska towarzyskiego, jak też recepcji miasta i kraju. Dom Kostanekich w Krakowie jako żywo przypominał jej bostońską rezydencję rodziców. Budynek w stylu kolonialnym, półmrok wewnątrz, ciężkie kotary zasłony, komody z ekspozycjami antycznych waz, twórcza atmosfera (Kazimierz Kostanecki był profesorem medycyny, byłym rektorem UJ, prezesem PAU) i duch dobroczynności (Janina z Blochów, wiceprzewodnicząca Związku Komitetów Parafialnych Opieki nad Ubogimi, któremu przewodził kardynał Adam Sapieha). W dodatku pełna akceptacja jej osoby przez przyszłych teściów, jak też zbierającego się u nich *high society* nie mogły pozostać bez znaczenia. Żadnych przeszkód w zakresie komunikacji na płaszczyznach językowych. Pomyślała wtedy, że gościnna i życzliwa atmosfera nie była tylko rezultatem dostatku materialnego.

Na Śląsk przyjechała pociągiem osobowym. Po drodze zauważała charakterystyczne zmiany w krajobrazie. Katowicki dworzec przypominał jej starą South Station w Bostonie – kryte perony, rozjazdy prowadzące w wielu kierunkach. Na zewnątrz czekał samochód przysłany przez inż. Aleksandra Ciszewskiego (1878–1941), spowinowaczonego z Kostanekimi naczelnego dyrektora Zakładów Hohenlohe S.A., pierwszego Polaka na tak wysokim stanowisku menedżerskim w górnośląskim przemyśle. Udali się do służbowego mieszkania dyrektora, po drodze przejeżdżając przez Katowice, „miasto przyjemne z imponującymi bankami i okazałymi gmachami użyteczności publicznej” (s. 62). Na miejscu córka Ciszewskiego Helena (zameżna Krzymuska 1904–1983) – w wieku niemal Dorothy – narzekała, iż w tych surowych przestrzeniach z wysokimi sufitymi mieszkają dwa lata i jeszcze nie zdołali uczynić ich bardziej przytulnymi. W oczekiwaniu na powrót ojca, przeglądały londyńskie katalogi modnych wystrójów wewnątrz. Dodajmy, iż ta wiktoriańska rezydencja była pałacem Rheinbabenów w Michałkowicach.

Wróciwszy na kolację, Ciszewski nawet nie usiłował ukryć, że nie interesują go plany badawcze Amerykanki. Zmartwił się, że nie była na dole kopalni i nie będzie w stanie zrozumieć usprawnień, jakich dokonał w krótkim czasie (od 1924 roku) na kopalni

SWIADECTWA
POLSKA XX WIEK

ADAMS

Amerykańska Polka

Z MIŁOŚCI DO MĘŻCZYZNY I JEGO KRAJU



Max (od 1936 – Michał). Wszystko zasiała energia elektryczna. „Oświetlenie, windy, pociągi i świdry przewyższają wszystko, czego dokonano w kopalniach Anglii” (s. 64). Zwiększono wydobycie o 25%. Następny rozmówca okazał się bardziej rozmowny, ale słuchaczka bardziej sceptyczna.

Dzień początkowo zszedł na objeździe granicy dzielącej Górnośląski Okręg Przemysłowy w towarzystwie konsula Niemiec w Katowicach Wenera von Grünau (1874–1956), który z zaangażowaniem pokazywał absurdy wytyczonego podziału. A to wejście do kopalni po jednej stronie, a po drugiej złoża; a to granica przebiega przez środek miejscowości, która w głosowaniu w połowie była niemiecka, w połowie polska. „Żadnej logiki... tylko czysta złośliwość” (s. 66) – powtarzał. Nie dodawał, że samo przekraczanie granicy nie było żadnym obciążeniem dla tysięcy robotników, ale w tle kryła się mocna opcja domagania się powrotu całego regionu do Niemiec. Po po-

łudniu konsul sypał przykładami zaświadczającymi o wyższości rozwiązań niemieckich na przykładzie szkół mniejszościowych, do których chętniej garnie się młodzież, jak również wskazywał na dzieło dobroczynności prowadzone przez zespoły małżonek urzędników szeroko pojętej administracji niemieckiej. Dorothy Adams przytomnie podnosiła, iż nowa szkoła mniejszościowa wzniesiona została przy dużym udziale władz wojewódzkich, które dotrzymywały warunków konwencji regulującej kwestie szkolnictwa na obszarze plebiscytowym. Tymczasem po drugiej stronie nie widać jakoś budowy szkół dla mniejszości polskiej. Konsul nie dawał za wygraną, twierdząc iż taka szkoła nie powstaje, gdyż nie byłoby chętnych do niej uczniów, co pośrednio stanowiło dowód wyższości niemieckiego systemu edukacyjnego, przyciągający także uczniów z rodzin nie-niemieckich. Warto przypomnieć, iż była to w wyborach samorządowych oraz do Sejmu

Śląskiego kadencja wysokich notowań przedstawicieli mniejszości.

Przebywając wśród niemieckich dam zajętych działalnością charytatywną, Dorothy pytała, dla kogo ona jest kierowana? Odpowiedź, ku zdziwieniu pytającej, była jednoznaczna: dla biednych rodzin mniejszościowych. Przypomina się tu ujawnione w trzecim tomie wspomnień narzekanie Zofii Kirkor-Kiedroniowej (1872–1952), mieszkającej od połowy lat 20. ubiegłego wieku w Siemianowicach, jak wiele trudu ją kosztowało rozruszanie pań z polskich rodzin urzędniczych do podjęcia akcji charytatywnych i zawiązanie stałych kół dobroczynnych, by przeciwdziałać liczным praktykom prowadzonym w niemieckim środowisku mniejszościowym. Z satysfakcją można współcześnie odnotować, jak bardzo już odeszło się od takich narodowych dychotomii. Organizacje charytatywne świadczą dziś pomoc bez oglądania się na deklarację narodowościowego typu.

Niewiele wniosły rozmowy z najważniejszymi postaciami śląskiej sceny politycznej: z dr Michałem Grażyńskim (1890–1960) „głównym zarządcą prowincji” (s. 68) [wtedy był przewodniczącym Śląskiej Rady Wojewódzkiej – A. Cz.] oraz politykiem i wydawcą Wojciechem Korfantem (1873–1939). Pierwszy z nich akcentował konieczność budowy szkół i dróg w województwie, bez przejmowania się głosami wrogiej propagandy, gdyż tego się nie zmieni. Na marginesie Dorothy podkreśliła punktualne przyjęcie, skromny wystrój biura z ludowymi kilimami na ścianach oraz wyłącznie grzecznościowe zainteresowanie jej projektem. Drugi opowiadał o zwyczajnych działaniach militarnych, dzięki którym możliwe było pozyskanie części uprzemysłowionego regionu.

Za to z satysfakcją wysłuchiwała opinii o pracy na Śląsku, której udzielił amerykański inżynier związany z grupą finansową Averella Harrimanna George Sage Brooks (1882–1950), kierujący zarządem koncernu Giesche S.A., nabytym w większościowym pakiecie przez Anaconda Mining Co. Dorothy pytała dlaczego Brooks zdecydował się przeprowadzić na stronę polską (wcześniej miał duży majątek w Niemczech). Odpowiedział, iż „o wiele łatwiej pracuje się z Polakami”, mógł zorganizować fabrykę z mniejszą ilością ludzi niż zatrudniali Niemcy, i nadal zwiększać wydajność. Był pełen wiary w kompetencje Polaków. „Są dobrymi inżynierami, są pełni inicjatywy i robią coś więcej niż ślepe wykonywanie rozkazów” (s. 69). Z takimi można budować. Dorothy przyjęła sądy Brooksa za obiektywną ocenę. Ktoś z zewnątrz wyrażał się wreszcie pozytywnie o Polakach, nie podnosząc jedynie waleczności na polu bitwy i odwagę w umiera-

niu. Posiadali ceniony w świecie zmysł praktycznego działania.

W rzeczywistości amerykański menedżer był dość ostrożny w poruszonych kwestiach. W skład zarządu olbrzymiej spółki, którą kierował, wchodził inż. Józef Dworżańczyk (1869–1931) jako wiceprezes ds. administracyjnych, pozostający bez większego wpływu decyzyjnego. Zarząd i kierownicze stanowiska były obsadzone kadrami amerykańską, dla której zresztą wybudowana została specjalna kolonia w stylu angielskim w południowej części Giszowca. Ale Polaków rzeczywiście przybywało. W 1929 roku pierwszym Polakiem kierującym Hutą Uthemanna został dr inż. Stanisław Micewicz (1888–1943), który pełnił tę funkcję aż do wybuchu wojny. Dyrektorem kopalni Giesche w latach 30. był udzielający się publikacyjnie inż. Alfred W. Kwieciński. W strukturach hutniczych pracował związany z Instytutem Śląskim dr Michał Alberg. Dyrektorem generalnym ds. sprzedaży był rezydujący w Warszawie Stefan Krasnodębski. Prawdą też jest, iż niemiecka kadra została z koncernu usunięta. Także wydajność pod okiem amerykańskich władz była znacznie powyżej przeciętnej w górnos Śląskim przemyśle, np. w kopalni Giesche osiągała najwyższy poziom wydobywania na Śląsku licząc na jednego zatrudnionego. Może to był wpływ amerykańskich metod organizacji pracy, a nie tylko kapitalistycznego wyzysku, na który w dobie PRL-u historycy z upodobaniem zwracali uwagę? Uzupełniając przyszłe działania Brooksa, wypada dodać, iż był mediatorem w przekształcaniu Górnos Śląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych, o tradycji niemieckiej sięgającej powstania II Cesarstwa, w Unię Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego, wchodzącej w skład Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan”, co nastąpiło w 1932 roku. Brooks był w Unii do 1938 roku pierwszym zastępcą, a prezesem przez cały okres działania – inż. A. Ciszewski.

Ostatnim z rozmówców Dorothy Adams był belgijski prawnik, przewodniczący Górnos Śląskiego Trybunału Rozjemczego w Bytomiu Georges Kaeckenbeek (1892–1973), sprawujący swą funkcję z ramienia Ligi Narodów w latach 1922–1937. Rozwiał on ostatecznie aspiracje o sensie dociekań Dorothy nad podziałem Górnego Śląska. „Granica polsko-niemiecka została wytyczona zgodnie z prawem. Dalsze związane z nią kwestie będą rozstrzygać tylko sądy” (s. 70). Nic nie da kolejne studium prawa. Będzie rozprawą, której pewnie nikt nie przeczyta. Jeśli zaś pojawi się napisany pod wpływem emocji propagandowy artykuł, korzyść z tego będą mieć

wyłącznie Niemcy. Oni dążą do rewizji granicy i każdy rozgłos w tej sprawie tylko im służy. Nie ma tu żadnego miejsca na dyskusję, „gdy w grę wchodzi reguły prawa i zasada samostanowienia” (tamże). Zapytał na zakończenie, skąd wziął się u niej pomysł zajęcia się sprawą śląską? Odpowiedziała, iż pod wpływem przyjaciół z Anglii. Uznał to za typowy kłopot mieszania się laików w procedury prawne, nawet gdy mają najlepsze intencje. Nic z tego nie wyniknie.

Dorothy zrezygnowała z pisania rozprawy o sprawie śląskiej. Tak tłumaczyła Janowi Kostaneckiemu swój krok: „Anglicy nie chcą książki dowodzącej, że służenie wytyczyli granicę. Najwyraźniej pragną zmobilizować światową opinię publiczną, by opowiedziała się za pokojowym zwrotem Niemcom wszystkiego, co utracili w wyniku wojny światowej” (s. 71). Szkoda, gdyż rzadko się zdarza mieć tak reprezentatywny krąg rozmówców, do którego doszli nie wymienieni już z nazwiska dyrektorzy i kierownicy kopalń i zakładów tak z jednej, jak drugiej strony granicy, sędziowie, prezes Izby Handlowej, a nawet biskup śląski. Reprezentanta ludu śląskiego – co rozumiałe – nie uwzględniała. Zresztą jak mogła by się z nim porozumieć? Mimo to, mogło to być interesujące studium. Trochę żal, że nie powstało. Natomiast w postawie i nastrojach brytyjskich łątwo dostrzec nabierające mocy stanowisko niesławnej polityki ustępstw.

Dla Dorothy natomiast uwaga z kwestii śląskiej przesunęła się na problemy Polski, której zmaganiom o utrwalenie swojej pozycji jako nowego państwa na arenie międzynarodowej gorąco sekundowała – co uwidacznia zasadnicza część udostępnionych właśnie wspomnień. Warto do nich zajrzeć: znajdzie się tam nie tylko ciekawe relacje i spostrzeżenia z życia stołecznych i krakowskich elit, ale także życie i obyczaje panujące w prowadzonym przez stryjka Jana (1861–1942) wzorowym gospodarstwie ziemiańskim w Charbicach koło Lutomeriska, dłuższy pobyt w sekretariacie Ligi Narodów w Genewie, misja dyplomatyczna we Wiedniu, by zbadać przesłanki do utworzenia przymierza państw naddunajskich, wyprawa z ks. prof. Konstantym Michalskim (1879–1947) do opactwa w Tyńcu, narodziny i chrzest syna, budowa domu przy eleganckiej ul. Frascati, wreszcie najbardziej przejmujący rozdział: katastrofa lotnicza w dniu 11 listopada 1937 roku pod Piasecznem, w której zginął mążzonek Dorothy – Jan Kostanecki i jego matka. To pełna emocji wspomnieniowa narracja, będąca interesującym spojrzeniem na dzieje międzywojnia, opowiadana przez cudzoziemkę, która pokochała Polskę. ■

Pprzed stu laty w Rozbarku mieszkało ponad 20 tys. osób. Według spisu powszechnego z 1910 roku 13 402 osoby posługiwały się językiem polskim, 323 polskim i niemieckim, 6691 mówiło po niemiecku. W wyborach komunalnych z listopada 1919 roku lista polska zdobyła 13 z 18 mandatów. Podczas plebiscytu, który odbył się 20 marca 1921 roku, spośród 11 564 uprawnionych do głosowania (razem z 641 emigrantami), za Polską padło 6146 głosów, zaś za Niemcami 5088. Zasadniczo Rozbark był polską gminą, jednak tak jak w innych miejscowościach Górnego Śląska podziały narodowościowe przebiegały w poprzek ulic, poszczególnych domów, czy rodzin.

Dla zilustrowania tego zagadnienia niech posłużę parę przykładów zaczerpniętych z akt powstańczych. Waleska Pietzka, Marta Kiera na widok pierwszych powstańców na Rozbarku wołały „Niech żyje Polska”, Małgorzata Schiwy ze szczęścia klaskała w dłonie, podczas gdy ich przełożona Marta Lehming, kierowniczka *Säuglingsheimu* (żłobka dla niemowląt), wyraziła się o powstańcach, że są to *Verbrecher und Räuber* (zbrodniarze i bandyci), a swoje pracownice określiła jako „tak zdemoralizowane ze się równają prostytutkom”. Mikołaj Wójcik abonował polskie gazety dla swej rodziny „aby się dzieci polskim duchem przenikły, lecz wszystko daremne”. Żona wyzywała go od „polskich świń” mówiąc mu: „Idź do Korfantego po chleb, albo na obiad [...]”. Franciszek Burzin irytował się, gdy jego sąsiad Wincenty Końdek śpiewał: „Jeszcze Polska nie zginęła, ale zginąć musi”. Niejaki Zyzik, zwłaszcza, gdy sobie podpił, śpiewał ze swoim bratem niemieckie pieśni patriotyczne, a rodzinę wyzywał od „Poloków” oraz „chacharów i polskich świń”. Hankowa i Kubicielowa też wymyślały na Polaków, szczególnie ta ostatnia, wyrażając się: „tym pierońskim Polokom nic nie domy, niech idą do roboty tak jak nasi hłopi, tych pieronow nie będziemy żywić, nie będzie moją stary dziód na nich robić”. Te słowa obraziły Stolarską i Obstożową, mieszkanki tego samego domu, gdyż czuły się Polkami. Roman Gansczyk był zaczepiany przez sąsiadkę Gawędzinę, która nazywała go „spikiem smarkatym”. A on nie mógł sobie pozwolić na tego typu docinki. Wziął udział w I wojnie światowej, walczył na froncie francuskim, a dostawszy się do niewoli wstąpił do Armii gen. Hallera. Później walczył na froncie bolszewickim, a potem poszedł do trzeciego powstania. Miał swój honor. W rodzinie kompanijnego Antoniego Dworaczka także doszło do podziałów. On z bratem służył w szeregach powstańczych po polskiej stronie, a inny z braci, August, siedział w Bytomiu i był *stostrupplerem* (członkiem niemieckich oddziałów szturmowych), natomiast matka Agnieszka i siostra Elżbieta wychodziły z Rozbarku do Bytomia „by się z nim widzieć, pieniądze od niego odebrać i z nim pogadać”, a to zdaniem Dworaczka było



Ulica Rycerska w Bytomiu, widok współczesny. Tędy w kierunku Rozbarku atakowały formacje niemieckie

Rozbark podczas III powstania

PAWEŁ PARYS

„zbyteczne”. Miały one „w domu siedzieć, a nie chodzić do Bytomia”. Podobne przykłady można mnożyć.

Wraz z wybuchem III powstania, w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku, Rozbark bardzo szybko został opanowany przez miejscowe siły powstańcze. Pierwszego dnia powstania stanęły tramwaje, jednak ich ruch przywrócono już nazajutrz, co też zostało sarkastycznie zauważone przez Józefa Goleń, kontrolera tramwajowego, który wyraził się: „jus szpiki wojna wygrały bo juś kolejka jedzie”. Pewien stary *szafner* (konduktor) utyskiwał, że powstańcy nie chcą płać za bilety tramwajowe, tłumacząc się tym, że mogą jechać za darmo, bo są... powstańcami. On jednak w ogóle nie przyjmował takich tłumaczeń. Owszem, uważał, że tramwaj jeździ, i to zarówno dla Niemców jak i Polaków, lecz każdy zobligowany jest do kupna biletu.

Powstańcy pod dowództwem Feliksa Wróbla weszli także do Bytomia, lecz po krótkim czasie wycofali się. Swoje siły skoncentrowali na obrzeżach miasta, które było w ten sposób cernowane aż do końca powstania, identycznie jak Katowice czy Gliwice.

Po zdobyciu Rozbarku i okolicznych gmin powstańcy utworzyli 1 kompanię, dowodzoną przez wspomnianego Antoniego Dworaczka, wchodzącą w skład I batalionu, dowodzonego przez Jana Lortza, 1 pułku piechoty Walentego Fojkisa. Na front wyruszyło około 170–180 rozbarskich powstańców.

Z chwilą opanowania gminy utworzono

także Straż Obywatelską w sile około 100 powstańców, zasadniczo starszych wiekiem, złożoną z miejscowych ludzi, w części także przez bytomian. Należy jednak zwrócić uwagę na pewien szczegół. O ile powstańcy rozbarscy mieszkali na wielu ulicach w różnych częściach gminy, o tyle powstańcy bytomscy rekrutowali się zasadniczo tylko z Szosy Królewskohuckiej (dzisiejsza Chorzowska), Szosy Tarnogórskiej (dzisiejsza Strzelców Bytomskich), Piekarskiej oraz Wielkiej Błotnicy (dzisiejsza Marszałka Józefa Piłsudskiego). Ci zaś ze względu na zaistniałą sytuację nie mogli powrócić do swoich domów i musieli nocować na Rozbarku, pełniąc tam zresztą swoje powstańcze funkcje i obowiązki. Pewna kobieta, babcia czternastoletniego wnuczka, przyszła zameldować na Rozbark, że uciekł on do szeregów powstańczych, lecz na razie niech nie wraca do domu do Bytomia, ponieważ rodzina jest szpiegowana w powodu swojego polskiego nastawienia. To oddaje charakter ówczesnej specyficznej sytuacji.

W lokalu Pawełczyka przy ulicy Kamieńskiej siedzibę miała także Komenda Miasta Rozbark, na czele której stanął „dowódca miasta” Teofil Czypionka. Na miejscowej kopalni „Heinitz”, jak w innych zakładach przemysłowych powiatu bytomskiego (i nie tylko), utworzono powstańczą straż przemyślową, złożoną z kilkudziesięciu osób.

Rozbark stanowił ciekawy casus. Z jednej strony został opanowany przez powstańców już pierwszego dnia powsta-

nia, wystawił miejscowe straże obywatelskie i przemysłowe, na jego terenie ulokowała się Komenda Miasta i przez to stał się jakby jeszcze bardziej polski. O ile właściwy front walk przesunął się hen w okolice Góry św. Anny, o tyle można powiedzieć, że był jednak lokalną strefą przyfrontową z racji bezpośredniego sąsiedztwa Bytomia, poprzez zwartą zabudowę i organiczne zrośnięcie obu miejscowości. Bezpośrednie sąsiedztwo przed III powstaniem (właściwie przed powstaniem) nikomu nie przeszkadzało. W uproszczeniu można powiedzieć, że w Bytomiu większość stanowili Niemcy, a na Rozbarku Polacy. Potwierdzają to przytoczony już powyżej spis ludności z 1910 roku i wyniki plebiscytu. Bliższe sąsiedztwo stało się jednak uciążliwe w okresie powstań śląskich, szczególnie podczas tego ostatniego, ponieważ mogło stanowić o „życiu i śmierci”. Dochodziło bowiem do niespodziewanych ataków niemieckich ze strony bytomskich *stosstrupplerów*, którzy ni stąd ni zowąd wybiegali z bram kamienic (np. z ulicy Rycerskiej lub od strony Pogody) i strzelali na oślep, by zademonstrować swoją siłę oraz by siać niepokój i permanentne poczucie zagrożenia u mieszkańców Rozbarku. Strzelano także z okien i z karabinów maszynowych ustawionych na dachach bytomskich kamienic, bezpośrednio przyległych do Rozbarku. To poczucie zagrożenia nie było bezpodstawne. Uległ mu, jeszcze pod koniec czerwca, stary Radzimirski, „który nakazał się całej familji ubrać, bo nie wiedzieli, czy tyś do uciecki nie przyjdzie, ponieważ cały dzień pogłoski szli, że Niemcy chcą na Rozbark się wdrzyć”. Do najpoważniejszego ataku doszło z 28 na 29 maja, kiedy siły niemieckie z Bytomia zaatakowały Rozbark, a na odsiecz powstańcom przybyli Francuzi. We wspólnym kontrataku napastnicy zostali rozgromieni.

Dlatego też cechą charakterystyczną panoramy ówczesnego Rozbarku były powstańcze posterunki Straży Obywatelskiej ustawione na wszystkich drogach wiodących do Bytomia. Miały one na celu ochronę miejscowej ludności przed wspomnianymi zagrożeniami, a także uniemożliwienie niekontrolowanego ruchu ludności pomiędzy obu miejscowościami. Baczono także, by do miasta nie przedostawały się transporty broni i amunicji, sprawdzano ponadto dowóz żywności. Wielu nie dostrzegало, lub nie chciało widzieć roli, jaką pełniła straż powstańcza, stojąca na rogatkach ulic. Wielu w strażnikach widziało zwykłych „darmozjadów”, zważywszy także na fakt, że niektórzy z nich zachowywali się niezbyt poprawnie. Śmiechowca powiedziała swojej sąsiadce Pruskiej, że jej mąż Wilhelm „powinien iść na front nie tu, bo tu nie ma kunsztu stać z giwerą”. Rozbarczanie wykrwawiali się wtedy na froncie pod Kędzierzynom, Koźlem, Zalesiem, Lichynią i Krępą.

Ludzie jednak musieli wychodzić lub wchodzić do Bytomia, aby dojść chociaż-



Kamienice na pograniczu obecnych dzielnic bytomskich Rozbark i Śródmieście podczas III powstania śląskiego były linią frontu

by do pracy. W tym celu należało się jednak zaopatrzyć w odpowiednie przepustki, które wydawała Komenda Miasta. Za interesowany, po wniesieniu niewielkiej opłaty w wysokości dwóch marek, mógł swobodnie przekroczyć granicę Bytomia. Na tym tle dochodziło jednak do licznych nadużyć i nieporozumień. Niektórzy przechodzili by wynosić żywność z Rozbarku do Bytomia dla członków swoich rodzin (niejaka Macugowa wynosiła mięso i słoninę). Zastanawiano się, czy więcej żywności jest w Rozbarku, czy może jednak w Bytomiu. Hankowa nie widziała jednak w tym żadnego problemu, „bo gdy nie ma chleba w Rozbarku” – mówiła – „idę do Bytomia kupić”. Inna kobieta wydała w tej kwestii salomonowy wyrok, że może i na Rozbarku jest więcej żywności, ale „żywność, która przychodzi na Rozbark nie jest z Polski, tylko z Wrocławia”. Braki w dostawach stanowiły pretekst do wyzywania na „polskie porządki”. Do Bytomia przechodzono także w celach szpiegowskich, jak Morawiec i Karwatowa, którzy codziennie wynosili wiadomości, „co się na Rozbarku dzieje”.

Należy zwrócić uwagę, że Bytom w pierwszych dniach powstania stał się miejscem schronienia dla osób przybywających tam z całego powiatu, które ze względu na swą orientację niemiecką czuły się zagrożone w miejscowościach opanowanych przez powstańców. Jako *flüchtlingów* lokowano ich na prywatnych kwaterach i wypłacano dodatkowo zapomogi finansowe. U wdowy Schmachtahn z Szosy Królewskohuckiej mieszkało sześć takich osób. Twierdziła ona, że nie wiedziała, że bierze na kwatery *stosstrupplerów*, że ma ich tylko „w kucie”, za co otrzymywała zresztą wsparcie z bytomskiego Niemieckiego Komitetu Plebiscytowego.

Po pewnym czasie okazało się jednak, że nie wszystkie przejścia zostały szczerze zabezpieczone i odpowiednio obsa-

dzone przez posterunki powstańcze. Tak było m. in. z bramą za kościołem św. Jacka, przez którą bytomianie nielegalnie przechodzili na Rozbark. Powstańcy zobligowali miejscowego proboszcza, ks. Strzybnego, by polecił bramę „zawrzyc”, jednak to i tak nie dało pożądanego rezultatu, bo ludzie pod osłoną nocy przekakiwali ogrodzenie, a Straż Obywatelska nie była w stanie należycie wszystkiego upilnować. Pierwszy i jedyny raz tylny plac kościoła św. Jacka stał się granicą strefy frontowej, oddzielającą dwa różne światy. Pomimo oporów księdza Strzybnego powstańcy zawiesili chorągiew na wieży kościelnej. Komendant Czypionka, „chcąc utrwalić w sercach żołnierzy moralność i przypomnieć znaczenie żołnierza względem kościoła, chciał dać dowód, że powstaniec nie jest, jak Niemcy twierdzą, bandytą, lecz uczciwym i honorowym obywatelem” i pragnął zamówić Mszę Świętą połową na dzień 26 czerwca. Proboszcz jednak oświadczył, że „mszy bez rozkazu władzy kościelnej we Wrocławiu odprawić nie może”. Strona powstańcza ironicznie zauważyła, że św. Wojciech nie patrzył na to, co może go spotkać ze strony Prusaków i pytała się, czy podczas „wielkiej wojny” księża także dostawali pozwolenie z Wrocławia, czy czcić „siege niemieckie” (zwycięstwa). Czypionka był przekonany, „że o ile [proboszcz – P.P.] z Wrocławia zezwolenie żąda, to go zapewne nie otrzyma”.

Zdarzało się jednak i tak, że insurgenci, pomimo surowych zakazów, przekradali się na terytorium Bytomia. Pewna ich grupa napadła na więzienie w Bytomiu przy ulicy Goja, plądrując zupełnie mieszkani nadzorczy policyjnego Henryka Zborowskiego. Miały miejsca także kradzieże w sklepach lub mieszkaniach obywateli bytomskich, czasem inicjowanych, jak później tego dowiedziano, przez Niem-

ców przebranych za powstańców. Chodziło o wzajemne demonstrowanie siły, a Francuzi czuli się zmuszeni do ciągłego studzenia zapędów obu stron. W skrajnych przypadkach objeżdżali miasto samochodem ciężarowym z umieszczonym na nim karabinem maszynowym.

Maj i czerwiec 1921 roku to okres związany także ze zwykłą codziennością. Organizowano wesela, jednak w Komendzie Miasta należało zaopatrzyć się w zezwolenie na przedłużenie zabawy, ze względu na obowiązującą godzinę policyjną. Chodzono do pracy, do sklepu, „na zolyty”, kłócono się między sobą. Jednak wszystko przebiegało w innej atmosferze, mianowicie niepewności, wzajemnych podejrzeń, oskarżeń, niedomówień. Zjawisko to dostrzegł wówczas adwokat Bruno Kudera z Bytomia. Pisał on: „pozwalam sobie zwrócić na to uwagę, że już od dawien dawna, właśnie takie kłótnie domowe [z byle powodu – P.P.] dawały ludziom sposób do różnych fałszywych dynuncjacji. Dawniej dynuncjował lokator swego gospodarza, że jest polskiem agitatore, dziś go dynuncjuje, że jest stostruplerem”. Bywali też „dobrzy” Niemcy, czyli tacy, którzy nie należeli do żadnych organizacji antypolskich. Po prostu byli Niemcami lub też częściowo sprzyjali Polakom. Takim był np. podkomisarz plebiscytowy Hoffmann, czy Dettmann, urzędnik z kopalni „Carsten-Centrum”, który „choć jest rodowity Niemiec, ale jest ulubiony od naszej wszystki ludności. Preto uprasza się nie ubliżać mu, i nie robić żadnych trudności”.

Większość ówczesnego społeczeństwa cechowało rozgorączkowanie na tle politycznym. Podziały na tle narodowym zaczęły się jednak wcześniej, jeszcze w latach 70. XIX wieku, tj. czasie kulturkampfu i kiełkowania uświadczenia narodowego. Do ich eskalacji doszło jednak na przełomie wieków, które swoje apogeum osiągnęły w latach 1919–1921, szczególnie zaś w okresie plebiscytowym i III powstania. Jedni czytali „zeitungi”, „blaty”, coraz bardziej skłaniając się do opcji niemieckiej lub się w niej utwierdzając. Inni natomiast abonowali „gazety”, „kuryery” i stawali się Polakami. Jaskowa z Rozbarku prawdopodobnie nic nie czytała; chciała mieć tzw. „święty spokój” i „o nic więcej się nie troszczyć”. Cóż jej po Niemcach lub Polakach? Ona za ścianą miała gorzszego wroga, sąsiadkę Stolarską.

Rozbarczanie jakoś nie chcieli, bądź nie mogli zauważyć, że razem przecież tworzą jedną społeczność, wiążą ich więzy pokrewieństwa, są sąsiadami, w większości pracują w tym samym zakładzie pracy (kopalnia „Heinitz”), ich dzieci bawią się na tych samych podwórkach, chodzą do tych samych szkół, wszyscy zaś wierzą w jednego Boga, tylko w inny sposób go wyznają. Większość była katolikami i chodziła na nabożeństwa do parafii p.w. św. Jacka, mniejszości ewangelicka i ży-

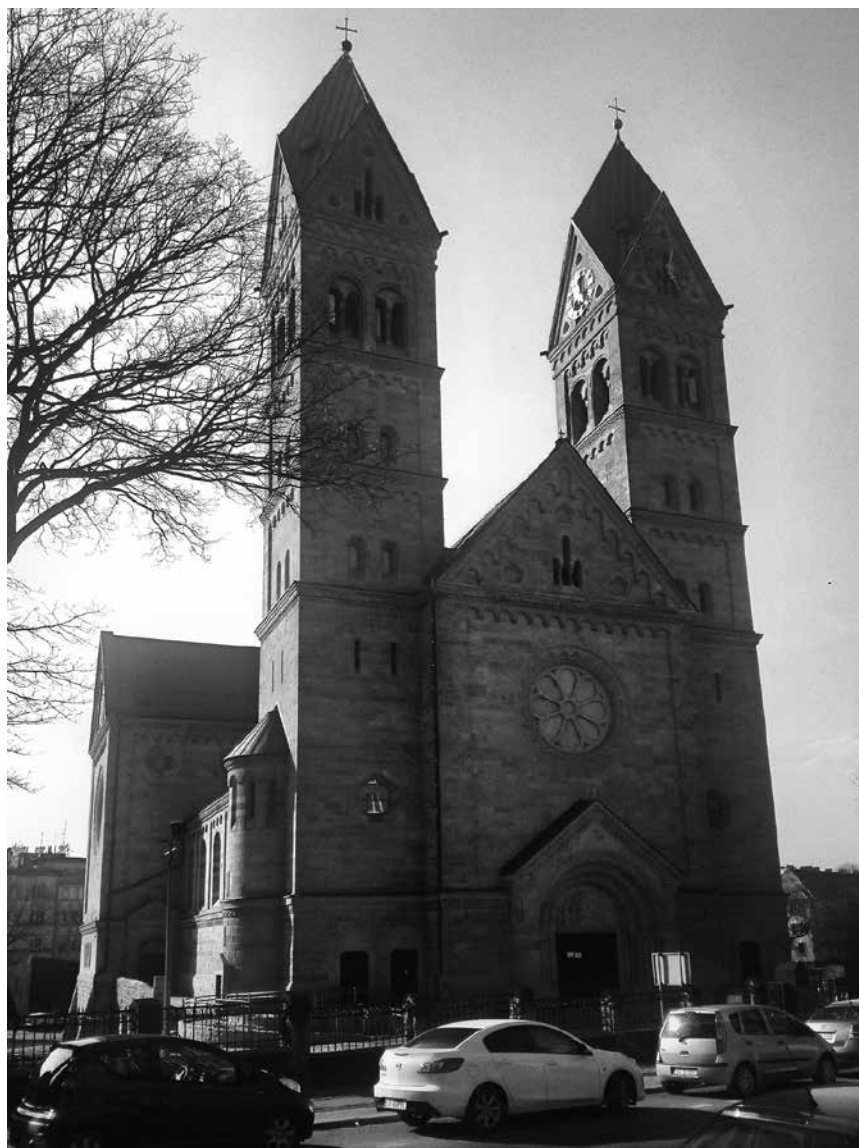
dowska, uczęszczały do kościoła ewangelickiego lub do synagogi, mieszczących się w pobliskim Bytomiu.

W dniu 5 lipca 1921 roku oficjalnie zakończyło się III powstanie śląskie. Międzysojusznicza Komisja Rządząca i Plebiscytowa ogłosiła ponowne objęcie całego górnośląskiego obszaru plebiscytowego. Powstańcy powrócili do swoich domów. Zaczęło się nerwowe oczekiwanie na ostateczne ustalenia. U Ludygów, Włodarczyków, Surowczyków, Szczyglów trwała żałoba. Ich synowie polegli na froncie. Wielu innych powróciło w blasku chwały z nominacjami na „Wstęgę Waleczności i Zasługi”. Z czasem otrzymali inne odznaczenia. Niektórzy jednak jeszcze w czasie powstania opuścili szeregi, ponieważ ich rodziny znalazły się w nędzy, bez wsparcia swoich żywicieli, a przysługujące zapomogi nie starczyły na opędzenie najpilniejszych potrzeb.

Po decyzji podziałowej Rozbark, identycznie jak sąsiedni Bytom, Miechowice, Bobrek czy Karb, znalazł się w granicach Niemiec. A Polska była na wyciągnięcie

ręki, dosłownie i w przenośni. Pobliskie Łągiewniki, Szarlej, Chorzów, Królewska Huta znalazły się po stronie polskiej. Wystarczyło wejść na wieżę kościoła św. Jacka i spojrzeć w stronę Piekar i miejscowego sanktuarium, które także przypadły Polsce. Hankowa, Kubicielowa, Jaskowa triumfowały. Nareszcie miały spokój z tymi „pierońskimi Polokami”. Ciekawe, co też stało się z młodym Zyzikiem, który uchodził za Polaka, gdyż należał do „polskich towarzystw”. Może po czasie musiał stać się Niemcem i wstąpił do niemieckich *vereinów* lub też szukał schronienia po drugiej stronie granicy, tak jak setki innych, w głównej mierze powstańców i ich rodzin, którzy przez swoją walkę i upór dali dowód ogromnego poświęcenia, wyrażającego się w pragnieniu przyłączenia do Polski. ■

Przy pisaniu artykułu korzystałem z materiałów byłego Archiwum Powstańczego z zasobów Wojskowego Biura Historycznego (byłego Centralnego Archiwum Wojskowego) w Warszawie-Rembertowie.



fol. Tomasz Bienek

Kościół pw. św. Jacka w Bytomiu – podczas III powstania śląskiego przez plac kościelny wiodła nieoficjalna droga ze strony polskiej na niemiecką lub odwrotnie. Widok obecny

Przy pustym grobie

Ks. HENRYK PYKA

Wychodzę z założenia, że zawsze należy szukać towarzystwa ludzi mądrzejszych od siebie. W takim właśnie towarzystwie pojechałem do Görlitz by obejrzeć najwierniejszą w północnej Europie kopię Grobu Chrystusa przeniesionego dzięki rysunkom Georga Emmericha z Jerozolimy do Saksonii. Fundator założenia kalwaryjskiego, syn zgorzeleckiego kupca jako pielgrzym jerozolimski nawiedził Grób Chrystusa przed wielkim trzęsieniem ziemi. Dotknęło ono Jerozolimę w roku 1555 i spowodowało wielkie zniszczenia także w obrębie bazyliki Świętego Grobu. Edikula Grobu Pańskiego znana z wczesnych peregrynacji przedstawiona jest na mozaice z VI wieku w bazylice Sant' Apollinare Nuovo w Rawennie. Równoczesną próbą przeniesienia tego najcenniejszego materialnego świadka Zmartwychwstania do Europy jest Grób Chrystusa w bazylice Sette Chiese i Santa Gerusalemme w Bolonii. Jego tradycja sięga V wieku, czyli czasów, kiedy pielgrzymek chrześcijan do Ziemi Świętej nie ograniczały islamskie restrykcje. To, co widział Emmerich pod kopułą Anastasis – budowlą osłaniającą niszę grobową, w której dokonał się cud Zmartwychwstania – powstało po zdobyciu Jerozolimy przez Krzyżowców. Na tym właśnie miejscu 15 lipca 1099 roku odspiewali oni uroczyste Te Deum.

Emmerich był jednym z wielu pielgrzymów, którzy w XV wieku wędrowali do Ziemi Zbawiciela. Nabożne pielgrzymowanie wpisane było w praktykę religijną kształtowaną przez *devotio moderna* – nurt pobożności rozwijający się w XIV i XV wieku wśród zamożnych i wykształconych mieszczan. Zachowały się pamiętniki, rysunki i opisy jerozolimskich stacji i pomników, do których docierali pielgrzymi. *Schilderung einer Pilgerreise*, czyli opisanie pielgrzymki z Konstancy do Jerozolimy Konrada von Grünenberga z roku 1487 zawiera obrazowanie Grobu Chrystusa w Jerozolimie, takie jak zmateriałizował je Emmerich w Kalwarii Zgorzeleckiej. W wydanym w roku 1590 dziele *Theatrum Terrae Sanctae* jego autor niderlandzki duchowny Christian Andrychomiusz zawarł topografię miejsc świętych i wyznaczył odległości stacji jerozolimskich. Na podstawie tego opisu budowano w Europie założenia kalwaryjskie, także to pierwsze w Polsce – Kalwarię Zebrzydowską ufundowaną w roku 1602 przez Mikołaja Zebrzydowskiego. Niemniej, mimo wielu

pisanych świadectw dzieło Emmericha w Zgorzelcu ukończone po dwudziestu latach budowy w roku 1505 posiadało jako założenie architektoniczne charakter wzorcowy. To nie było „opisanie”, lecz żywe doświadczenie miejsca świętego, które w Görlitz zasłynęło z licznych pielgrzymek do Grobu Chrystusa. Odległą w czasie próbą przeniesienia zgorzeleckiego wzorca do Polski jest realizacja nieistniejącej już Kalwarii Ujazdowskiej, powstałej w Warszawie z inicjatywy Augusta II Mocnego, króla Polski. Wytoczona w latach 1724–1731, rozpoczynała się istniejącymi do dzisiaj na Placu Trzech Krzyży dwiema kolumnami zwińczonymi połączonymi krzyżami. Wyznaczały one początek Drogi krzyżowej, na której znajdowało się 28 kaplic. Droga wiodła do Grobu Chrystusa znajdującego się niegdyś przy zamku ujazdowskim, który miał być przebudowany na kościół i klasztor. Pobożna fundacja króla dała początek Alejom Ujazdowskim w Warszawie. Jej projektant, architekt królewski Joachim Jauch z Drezna, finalny obiekt kalwarii ujazdowskiej – Grób Chrystusa – zaprojektował podług wzorcowego modelu, który widział w Zgorzelcu. On też po śmierci Augusta II zaprojektował w kościele kapucynów w Warszawie epitafium dla fundatora Kalwarii mieszczącym urnę z wnętrznościami monarchy.

Kalwaria zgorzelecka miała jednak znacznie wcześniejsze i bliższe oddziaływanie na podobne fundacje na terenie Śląska. Są to budowle unikatowe, ponieważ poza Śląskiem takich obiektów nie ma. Podobne zgorzeleckiej, wolno stojące kaplice znajdują się w Żaganiu położonym na pograniczu niziny śląsko-łużyckiej i wału trzebnickiego. Zaś na Górnym Śląsku w Głogówku i Potempie, wsi w powiecie tarnogórskim. Do ich powstania przyczynili się wpływowi mecenasi. Kaplicę Grobu Pańskiego w Głogówku, przyległą do murów zamkowych ufundował w I połowie XVII wieku hrabia Rzeszy, najwybitniejszy z rodu, Jerzy III Oppersdorff. Ten sam także jest fundatorem Domku Loretańskiego w tym mieście. W obecnym kształcie kaplica istnieje od 1714. Pielgrzymi odwiedzają obie fundacje powstałe z osobistej pobożności fundatora. Pobożny hrabia Jerzy Leonard Collona zakładając nad Małą Panwią kolejne kuźnie w Kolonowskim, Fosowskim i innych dziedziach miał na uwadze także dobro duchowe mieszkańców tych przemysłowych osiedli. Dlatego zatrudnił murarza

Marcina Grochowskiego, by ten wybudował na terenie jego dominium trzy kaplice: w Świbiu (1669), Potempie (1672) i w Tworogu (1676). Kaplica w Potempie powstała na podstawie pomiarów Grochowskiego, który pojechał do Głogówka, by kaplicę grobową już tam istniejącą obmierzyć i podobną tamtej wybudować w Potempie. Z tych trzech kaplic fundacja żagańska najwierniej powtarza wzorzec zgorzelecki. Jej fundator opat konwentu kanoników regularnych z Żagania Jakub II w roku 1587 wysłał do Zgorzelca mistrza budowlanego, aby tam dokonał pomiarów Grobu Chrystusa. Nie chodziło o jakąkolwiek budowlę, lecz o taką, która by tym pobożnym pielgrzymom, którzy do Ziemi Świętej pielgrzymować nie mogą Grób Pański w Jerozolimie przypominała. Opat Jakub zdecydował pobudować Grób Chrystusa na cmentarzu przy żagańskim kościele Nawiedzenia NMP, by wszyscy ci, którzy tam oplakują swoich zmarłych, przy tym grobie odnaleźli utraconą nadzieję. Powiększył nawet areal cmentarza przez zakup okalających go winnic, by także inni pielgrzymi przybyli z daleka nawiedzając to miejsce przy tym grobie mogli znaleźć pocieszenie. W Żaganiu powstały wszystkie budowle, które w Görlitz stanowią zespół Bożego Grobu. Zespół ten tworzą: Kaplica Świętego Krzyża, Kaplica Bożego Grobu i Kaplica Namaszczenia. Z tych trzech kaplic zachowały się do dzisiaj dwie ostatnie. Pobożność ludowa wiedzona religijną intuicją umiała kształtować osobliwe punkty podparcia dla zagubionego cierpieniem i rozpaczą umysłu. O dziwo te osobliwe zjawiska zachowały się na Śląsku i na terenie Łużyc dokąd także, dzięki ludziom lepiej ode mnie zorientowanym (czyli jak piszę na początku – mądrzejszym), zaprowadziły mnie pielgrzymie drogi.

Profesor Friedhelm Mennekes, uznany promotor sztuki współczesnej w Kościele i animator *Kunststation St. Peter* w Kolonii, w katowickim Muzeum Archidiecezjalnym promował niegdyś *Manresę* Josepha Beuysa. Życie tego niemieckiego artysty wyrażało się formami modelowanego filcu i łoju. Mennekes gościł także u nas z wykładem prezentującym Żytawską Biblię, czyli Zittauer Fastentuch – Wielką Zasłonę Postną z Żytawy z roku 1472. Prezentowana przez cały rok w kościele świętego Krzyża w Zittau zawiera aż dziewięćdziesiąt ilustracji ze Starego i Nowego Testamentu. Lata 80. XV wieku: wiel-



Kopia Grobu Chrystusa, Görlitz. Fot. ProfessorX

kie otwarcie w sztuce północnej Europy na tematy pasyjne poprzedzone adoracją „Piety” wystawianej od 1375 roku w Wielki Piątek po wieczornym nabożeństwie jako *Vesperbild*. W tym czasie powstała pierwsza w Europie Kalwaria Zgorzelecka i owo *velum quadragesimale*. Dla zasłon postnych używanych niegdyś także w polskich kościołach Niemcy używali terminu „Hungertuch” niekiedy „Schmachtlappen”. Służak tłumaczyłby „hadra gańby”. Bo też zarówno grób Chrystusa jak i owo *velum* ukrywały ludzką zbrodnię i tę wielką hańbę, którą okryli się sprawcy wystawiając na widok publiczny zbeszczeszczone Ciało Jezusa. Oglądałem niegdyś w „Paris Match” zdjęcie wydobytego z wody umęczonego i pohańbionego przez oprawców ciała księdza Jerzego Popiełuszki. Wstrząsające przeżycie, które trudno zapomnieć. Grób Chrystusa przechował owe *corpora delicti* – grobowe chusty, w które owinięte było jego umęczone ciało. To cenne dzisiaj relikwie: Całun Turyński, Sudarium z Owiedo, Chusta z Manoppello. Zasłona z Żytawy – unikatowe dzieło śre-

dniowiecznego malarstwa – jest jednak przede wszystkim dokumentem pedagogiki Kościoła i nie można inaczej – także Bożej Pedagogiki. Bo celem tych prezentacji było nie tylko okrycie zbrodni zawieszanej na Krzyżu, „wstydlivej bezradności” Umęczonego, ale i próba przemiany sprawców tej zbrodni. Dziewięćdziesiąt scen od stworzenia Świata po Sąd Ostateczny to przecież zawartość Biblii, księgi którą nazywamy Historią Zbawienia lub ocalenia człowieka. Chyba także ocalenia człowieka przed nim samym, od jego skłonności i niszczących go żądz.

To jedna z najkrwawszych scen Iliady denuncjująca ukryte od pradziejów w człowieku zło w postaci żądz mordy i niszczenia, po których następuje odwet, także ze strony pogwałconej natury: Achilles wpada w szał po śmierci Patroklosa i pragnie położyć trupem jak największą liczbę Trojan. Wypełniony stosami ofiar Skamander – dotąd spokojny, niewielki strumień – wylewa i wściekła rzeka rusza w pościg za Achillesem po równinie, by sprowadzić na niego zagładę. Tadeusz Róże-

wicz stając przed grobem Dantego w Rawennie słyszy słowa przewodnika wycieczki skierowane do tych ciekawskich, którzy przez dziurkę od klucza pragną zajrzeć do wnętrza grobowca genialnego poety. Przewodnik woła: „Idźcie dalej. Tam nic nie ma”. Czy faktycznie nic nie ma? Ten który czytał „Boską Komedię” staje w tym miejscu z nabożeństwem i zadumą. Z nabożeństwem wszedłem niegdyś do pustego Grobu Chrystusa w Jerozolimie. Pusta była niszka grobowa, w której spoczywało Ciało Ukrzyżowanego. Ta pustka powtarzała za słowami Ewangelii: „Nie ma go tutaj – Zmartwychwstał”. Kto rozważa Ewangelię ten rozumie sens tej pustki. Z takim samym nabożeństwem z jakim stanąłem w pustym grobie Chrystusa w Jerozolimie, a potem w Zgorzelcu i na innych miejscach: w Nysie, Miechowie, Przeworsku wędrowano do wszystkich tych innych miejsc w Europie. Były repliką tego jedynego miejsca na Ziemi. Pielgrzymowano, bowiem trudno żyć człowiekowi doświadczającego tego wszystkiego, co ostatecznie prowadzi do śmierci – bez Nadziei.

Pierwsze dwa przypadki zakażeń koronawirusem w Europie odnotowano 24 stycznia 2020 r. Dwóch mężczyzn właśnie wróciło z Wuhan z Chin. Przypuszcza się jednak, że wirus do Europy dotarł jeszcze w grudniu 2019. W Polsce pierwszy pacjent zachorował 4 marca ubiegłego roku. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że pandemia obejmie cały świat, a tak trudna walka z nią pochłonie tyle istnień. Na całym świecie zachorowało od początku pandemii ponad 150 mln osób, wyzdrowiało 130 mln, zmarło ok. 3,5 mln ludzi. W Polsce zachorowało dotąd prawie 3 mln osób, zmarło ok. 70 tys. ludzi, a wyzdrowiało 2,5 mln chorych. W Śląskiem w analogicznym okresie zachorowało 35 tys. ludzi, zmarło ok. 8 tys. Od kilku tygodni najwięcej zakażeń jest właśnie w naszym regionie, podobnie było wiosną 2020 r.

Przeciwno COVID-19 zaszczepiło się dotąd w całym kraju 11 mln osób, blisko 3 mln przyjęło dwie dawki szczepionek, ok. 8 mln jedną dawkę. Lekarze, biały personel, urzędnicy nadal prowadzą wojnę z koronawirusem, ale musimy ich wspierać stosowaniem się do restrykcji sanitarnych i szczepieniem się.

Panie profesorze mamy trzecią falę pandemii, na jakim jesteśmy jej etapie?

W mojej ocenie obserwujemy zjawisko jej opadania. Ku radości nas wszystkich. Dowodem tego jest kilka wskaźników, najbardziej wymierny z nich to spadająca liczba zakażeń COVID-19 i, co ważniejsze, malejąca liczba zgonów. Np. 29 kwietnia mieliśmy 8427 nowych zakażeń i 541 zgonów, każdy odpowiedzialny człowiek zwłaszcza lekarz powie, że to wciąż za dużo.

Co powinniśmy robić, aby te liczby zmniejszyć?

Musimy sobie uświadomić, co dokładnie jest przyczyną zgonu tych chorych, pamiętając, że COVID niszczy płuca (wywołuje krwotoczne zapalenie płuc), ale w wyniku działania koronawirusa niszczeniu ulegają też inne narządy: serce, trzustka, mózg, a chorym nie wystarcza już respirator. Jeszcze bardziej istotny, a wciąż niedoceniany, jest problem dostępności specjalistycznego leczenia w oddziałach szpitalnych z chorobami serca (zawał), z wadami nabytymi serca, (których szczególnie dużo jest u osób starszych), ale także dostępności zabiegów ogólnochirurgicznych, urazowych, ortopedycznych i onkologicznych. Żeby zredukować liczbę zgonów musimy maksymalizować liczbę szczepień. To jest sprawa fundamentalna.

Otwarcie władz państwa na możliwość szczepienia każdego obywatela naszego kraju spełniającego kryteria medyczne jest nie tylko oczekiwana, ale będzie stanowić zasadnicze przyspieszenie uzyskania tzw. odporności populacyjnej. Wytrąci też argumenty wciąż niestety obecnym, „internetowo-wykształconym” przeciwnikom szczepień. Pozytywne przykłady szczepień, które oglądaliśmy u ministra zdrowia Adama Niedzielskiego i jego bliskich budują i wzmacniają zaufanie i usuwają niemający nic wspólnego z nauką i medycyną hejt wiecznych kon-



W walce z COVID-19 każdy ma rolę do odegrania!

Z prof. dr. hab. n. med. **MARIANEM ZEMBAŁĄ**, dyrektorem Śląskiego Centrum Chorób Serca (ŚCCS) w Zabrze

rozmawia **AGNIESZKA ZIELIŃSKA**

testatorów, z których wielu kwestionuje nawet teorie Kopernika i Newtona, a których często może niepotrzebnie nazywamy „płaskoziemcami”, a ja nazwałbym ciepłej wyalienowanymi ze świata i życia rewolucjonistami. Dlatego cieszę się, jako lekarz i obywatel tego kraju, obserwując działania rządu. Często rozmawiam z moimi kolegami lekarzami z Berlina, Mediolanu, Barcelony i Nowego Jorku, Izraela, którzy mówią mi: „Jeżeli wyszczepicie 70 proc. społeczeństwa, wygracie z pandemią”. Kolega kardiochirurg z akademickiego Drezna, z Saksonii, powiedział mi niedawno, że Polska oglądana z jego perspektywy w czasie pandemii wygląda naprawdę nieźle na tle innych państw Europy, z wyjątkiem zbyt niskiego w jego ocenie poziomu społecznej akceptacji obowiązujących restrykcji. Na szczęście już nie wstydzimy się obrazów zatłoczonego Zakopanego, Sopotu, bałtyckich plaż, czy uroczystości. Zmądrzeliśmy wszyscy walcząc o życie i chroniąc się przed zabójczym wirusem. Tych faktów i wspólnych dokonań nie wolno nie zauważać. Wolno natomiast i należy podejmować kolejne wysiłki, aby w walce z pandemią wygrać medycznie, ekonomicznie i społecznie.

Maksymalizacja szczepień pozwoli uzyskać tzw. odporność populacyjną. Poziom

„wyszczepienia” musi wynieść ok. 70 proc. społeczeństwa i jest szansa, aby tak się stało jeszcze w tym roku. Wtedy tarcza, którą stanowią szczepienia plus izolacja i stosowanie innych restrykcji sanitarnych, pozwoli zredukować liczbę zgonów. Walka z COVID musi odbywać się też wspólnie z pogotowiem ratunkowym. Nie może być sytuacji, która się wydarzyła niedawno w jednym z dużych miast, że chory z objawami „ostrego brzucha” i podejrzeniem zapalenia otrzewnej „odbijał się” od przyjęcia w kilku oddziałach chirurgicznych, tłumaczących że są wyłącznie oddziałami chirurgicznymi COVID. Na szczęście nie odmówił pomocy oddział chirurgiczny w szpitalu powiatowym...

Jeśli mówimy o pewnej nadziei wychodzenia z pandemii, daje ją i to, że premier, minister zdrowia i prezes NFZ ściśle ze sobą współpracują przy tworzeniu ogólnopolskiej sieci: onkologicznej, medycyny sercowo-naczyniowej. Ja osobiście lekarz, nauczyciel akademicki, były minister zdrowia bardzo za to dziękuję. Takie sieci to nie fanaberie!

Opiszmy tę kwestię dokładnie.

Chodzi o to, by w każdym województwie powstały instytucje, które poprawią dostępność leczenia. Ministerstwo Zdrowia i NFZ z dużym zainteresowaniem przyjęło za brzońską propozycję powstania kolejnej sieci koordy-

nującej specjalistyczną pomoc dla ofiar COVID, ozdrowieńców, których stan zdrowia (w ocenie samych chorych wciąż) nie jest zadowalający. Z myślą o nich zaproponowaliśmy powstanie ogólnopolskiej sieci pod roboczym tytułem „COVID and Post-COVID Recovery Centers” także dla dzieci. Tym pacjentom nie będzie w stanie pomóc lekarz rodzinny, internista, bo to wymaga pogłębianej wiedzy specjalistycznej i uzupełniającej diagnostyki z wielu dziedzin.

Na Śląsku już opracowaliśmy założenia projektu „Zabrze Silesian Recovery Center”. Placówka będzie miała oddziały specjalistyczne, nastawione na powikłania post-covidowe: kardiologiczne, pulmonologiczne, pediatryczne, internistyczno-diabetologiczne (od roku obserwujemy przypadki ciężkiej cukrzycy zwłaszcza u młodych kobiet, które wcześniej nie chorowały, badania prowadzimy pod kierunkiem wybitnego diabetologa prof. Krzysztofa Strojka, konsultanta krajowego w tej dziedzinie). Będzie też oddział rehabilitacji kardiologicznej i pulmonologicznej wzbogacony o system poradni prowadzących telekonferencje. Taki model został już sprawdzony np. w Vancouver w Kanadzie. Lekarz rodzinny odbywa z chorym i specjalistami z poszczególnych ośrodków telekonferencje. Pacjent nie musi jechać kilkaset kilometrów na konsultacje. Idzie do lekarza rodzinnego, do którego ma 5 kilometrów i rozmawia ze specjalistami z całej Polski, którzy go wspierają.

Wróćmy do tematu szczepień. Co pan, panie profesorze, odczuwa słuchając kłamstw na ich temat?

„Myślę, że to, co wszyscy! Denerwują mnie. Codziennie rano wjeżdżając do szpitala zadaję pacjentom pytanie o szczepienia. Mówię: „Proszę państwa witam w naszym domu (szpital jest naszym domem!), nazywam się Marian Zembala i czuję się odpowiedzialny za ten szpital, jako lekarz i dyrektor pla-

cówki; dlatego pytam, czy się zaszczepiliście. Starsze osoby podnoszą rękę. Ku mojej radości. Jednak kilka dni temu trzech młodych mężczyzn nie zrobiło tego, więc chcę wiedzieć dlaczego. Pierwszy z nich mówi: „Mam to wszystko gdzieś! Nie wierzę w te głupoty”. Drugi: – „To wszystko jest bzdurą, nie wolno mam zabierać wolności”. Mówię: panowie drodzy, kilka dni temu w nocy zmarł w Zabrze młody człowiek (choć w Zabrzu mało osób umiera, nawet ofiar COVID, i mówię to z dumą). Żona tego mężczyzny powiedziała mi potem, że to był dramat, bo od zachorowania mąż przez 12 dni nie poszedł do szpitala. Zakaził całą rodzinę, żonę, dzieci i teściową. Starsza kobieta, która opiekowała się jego dziećmi, teraz w ciężkim stanie jest w szpitalu na południu województwa, ma niewydolność nerek i płuc. Ten mężczyzna na szczepienie nie wyraził zgody, nawet gdy żona zagroziła mu, że jeśli się nie zaszczepi, ona wystąpi o rozwód. Mówimy wszystkim pacjentom, że szczepienia są najlepszą tarczą ochronną.

Co nas czeka w pandemii jesienią?

Jestem umiarkowanym optymistą! Należy sądzić, że proces opadania pandemii będzie postępował. Potrzebne jest rozważne „luzowanie” obostrzeń i uwalnianie gospodarki, ale w sposób kontrolowany i prowadzony z udziałem polskich ekspertów. Nawiążę tutaj do doświadczenia barcelońskiego, gdzie niedawno otwarto możliwość większych spotkań, nawet koncertów, ale warunkiem było wprowadzenie tzw. paszportów szczepień. Przecież to nic trudnego i do zrealizowania także u nas, w Polsce. Tak jest w Izraelu, Nowej Zelandii, Szwecji, tak będzie np. w Dreźnie. Być może wprowadzimy system paszportów bezpieczeństwa i w Polsce. Jestem za otwarciem rynku dla wszystkich szczepionek, które przeszły testy EMA i są w Polsce dostępne. Absolutnie dla wszystkich! W Polsce monitorujemy zdarze-

nia niepożądane i robimy to bardzo solidnie, potrafimy wyłowić realne zagrożenie.

Czy w pana opinii, któraś ze szczepionek jest lepsza od innych?

Nie. Wspieram się tu opinią lekarzy i naukowców. Musimy pamiętać, że tylko ok. 30 proc. odporności człowieka, to ta związana z własnym organizmem. Pozostała część zależy od nabytych przeciwciał, które powstają tylko w wyniku szczepienia. Trzeba to monitorować, bo pandemia nagle nie zniknie. W małej skali będzie trwać dalej. Musimy się do niej przyzwyczaić i to mądrze, rozważnie z nią żyć, trochę tak jak np. do cukrzycy, która oczywiście nie jest chorobą groźną i nie rozprzestrzenia się jak wirus, ale gdy się ją lekceważy jest niebezpieczna i czasami śmiertelna. To samo jest z COVID-19. Jeżeli przestrzegasz zasad bezpieczeństwa i jesteś zaszczepiony jest i będzie dobrze, jeśli lekceważysz te podstawowe zasady zagrażasz sobie i innym. Mamy czas Komunii Świętych, ślubów i wesel można się spotykać i biesiadować, ale zawsze w wąskim gronie.

Nie trzeba też urządzać hucznych tańców, można rozmawiać, śpiewać, cieszyć się wspólnym spotkaniem i stanowczo reagować wobec wszystkich bez wyjątku biesiadników, którzy nie przestrzegają zasad, wypraszaniem ich od rodzinnego stołu, aby nie dopuścić do niespodziewanej wizyty policji (która ma dostatecznie dużo pracy). Zachęca do takiej wstrzeźliwości i rozsądku też Kościół i katolicki, i ewangelicki, i prawosławny. Nie gaście ducha, ale działajcie z rozumem! Także sam papież Franciszek bardzo racjonalnie podchodzi do tematu pandemii. Może dlatego, że jako dziecko stracił jedno płuco i teraz koronawirus byłby dla niego niezwykle groźny. Jak nigdy wcześniej potrzeba nam teraz rozważyć, odpowiedzialności, a także empatii i jedności, tylko wtedy wygramy z pandemią. ■

Prof. dr hab. n. med. **Marian Zembala** pochodzi z Krzepic w woj. śląskim. Tu ukończył szkołę podstawową i cenione w województwie liceum ogólnokształcące i to tamtejsi nauczyciele rozbudziili w nim zainteresowanie medycyną i nauką. Empatię, jak zapewnia wrodzoną, wyniósł z rodzinnego domu. W 1974 r. ukończył z wyróżnieniem Wydział Lekarski Akademii Medycznej we Wrocławiu, gdzie na Wydziale Chirurgii Serca pod kierunkiem prof. Wiktora Brossa i prof. Anatola Kustrzyckiego, ukończył specjalizację z chirurgii ogólnej.

Wybrał kardiologię jako swoją życiową specjalizację i aby się rozwijać wyjechał na staże zagraniczne najpierw do Leuven, a następnie na 5 lat do Holandii do Kliniki Kardiologii Uniwersytetu w Utrechcie, gdzie rozwijał się w zakresie kardiologii dorosłych i dzieci pod kierunkiem prof. François Hitchcocka. Tamże, we współpracy z prof. W. Rużyłto i prof. Kubicką zainicjował powstanie największego programu bezpłatnego operowania polskich dzieci z ciężkimi wrodzonymi wadami serca w klinice im. Królowej Wilhelminy w Utrechcie.

Za tę działalność (POLEN PROJECT) otrzymał wyróżnienie królewskiego rządu i uniwersytetu w Utrechcie.

Przyjął zaproszenie prof. Zbigniewa Religi do powrotu do Polski i pracy w Zabrzu w jego nowym zespole. Od początku powstania Zabrzeńskiej Kliniki wraz z dr A. Bochenkiem, J. Wołczykiem i młodymi ambitnymi kolegami tworzył nowy zespół, który znacząco poprawił obraz polskiej kardiologii i transplantologii serca, płuc. Pionierskie w Polsce zabiegi transplantacji serca wykonane przez prof. Religę i pionierskie w Polsce zabiegi transplantacji płuc, serca i płuc, wykonane pod kierunkiem prof. Mariana Zembali uczyniły zabrzeńską klinikę liczącym się w Europie referencyjnym ośrodkiem. To zasługa zespołu kardiologów i transplantologów serca płuc i wątroby, ale także współpracujących z nimi znakomitych kardiologów i anesteziologów.

Jako pierwszy Polak w historii został z wyboru prezydentem Europejskiego Towarzystwa Chirurgii Serca i Naczyń (ESCVS) oraz Europejskiego Towarzystwa Kardio Torakochirurgów (EACTS).

Jest nauczycielem akademickim Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, Doktorem Honoris Causa Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu i honorowym profesorem Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Pasje: teatr, poezja, żeglarsstwo. Był ministrem zdrowia w rządzie Ewy Kopacz w roku 2015.

Żona Hanna, której zawdzięcza wszystkie ważniejsze sukcesy życiowe i zawodowe jest farmaceutką. Mają 4 dzieci (Michał, Joanna, Paweł i Małgorzata) i 7 wnucząt.

Pisanie ikon

Z ks. prof. DARIUSZEM KLEJNOWSKIM-RÓŻYCKIM

rozmawia PIOTR SKOWRONEK

Jak rozpoczęła się przygoda Księdza Profesora z Ikoną?

Kiedy byłem studentem, musiałem wybrać jakiś temat pracy magisterskiej. Jeden z moich profesorów doradził mi, że mógłbym napisać coś o Trójcy Świętej w oparciu o ikonę Rublowa. W tamtych czasach mało kto zajmował się tematem ikon. W obcojęzycznej literaturze istniały różne publikacje, a że znałem język francuski i znałem Daniela Ange'a, to wybór padł na jego monumentalne dzieło o Trójcy, z jego interpretacją, która jest odmienna od interpretacji np. Evdokimova czy Greschnego. Moja mama jest konserwatorem zabytków, dlatego nauczyła mnie, jak się w średniowieczu tworzyło ikony, jakich procedur używano. To było w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. I właśnie tak się zaczęła moja przygoda z ikoną.

Ikona kojarzy się z duchowością Wschodu, prawosławia, tymczasem staje się coraz bardziej popularna w naszym kręgu kulturowym. Sprawdziłem dzisiaj. Na jednej z internetowych platform handlowych jest wystawionych sto ikon. Jak to się stało?

Coś takiego! Początki tego zjawiska są odleglejsze niż nasze życie, to znaczy można szukać przyczyny tego w momencie, kiedy w Rosji zaczęła się rewolucja październikowa. Wtedy bardzo duża emigracja arystokracji rosyjskiej, intelektualistów, także duchownych, znalazła się na Zachodzie Europy i w USA. Stworzono tam wówczas dwa bardzo ważne ośrodki teologiczne, mianowicie Instytut św. Sergiusza w Paryżu i Instytut św. Jerzego w Nowym Jorku. Zaczęli tam uczyć wielcy myśliciele, wykładowcy prawosławni duchowości chrześcijańskiego Wschodu. Jednocześnie w Kościele katolickim przed Soborem Watykańskim II bardzo mocno doszli do głosu teologowie, którzy odwoływali się do wschodnich Ojców Kościoła, greckich, a nie tylko łacińskich źródeł. To przefiltrowywało kulturę Zachodu, europejską, ale nie tylko, na tyle, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, dziewięćdziesiątych już na pewno, na zachodzie Europy powstawały ośrodki, w których ikona była studiowana, poznawana, celebrowana. Stamtąd dotarło to także do Polski. W latach dziewięćdziesiątych, dwutysięcznych powstawały już w kraju pierwsze ośrodki. Oczywiście my mamy też w Polsce prawosławie i ikona była obecna, ale cho-

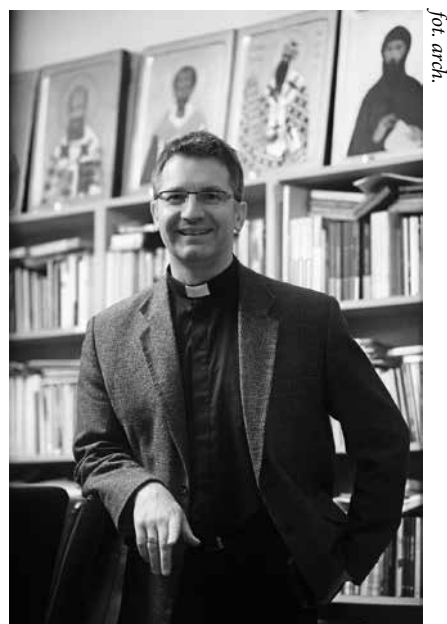
dzi o to, że powszechnie ikona bardzo mocno weszła do katolicyzmu. Trzeba było prawie stu lat takiej infiltracji i różnych kulturowych wpływów, żeby ikona stała się wręcz modna.

Do niedawna ikona była bardziej droгим artefaktem wieszanym w mieszkaniu przy innych „świętych” obrazkach. Czym właściwie jest ikona, dziełem sztuki czy możliwością obcowania z sacrum?

Jedno drugiego nie wyklucza. Jest i dziełem sztuki, i możliwością obcowania z sacrum. Trzeba wiedzieć, że Wschód chrześcijański ikonę traktuje jako niezbędny, ważny element liturgii. My na Zachodzie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie liturgię, niestety, bez obrazów. W tym względzie nastąpiła trochę protestantyzacja katolicyzmu. Natomiast w Kościele wschodnim jest to wręcz niemożliwe, żeby liturgia odbywała się bez ikony. Ikona na katolickim Zachodzie trafiła w potrzebę duchowości, ponieważ my jesteśmy, poprzez różne wydarzenia, rewolucje postmodernizmu, zgłodnieli duchowo i ikona wchodzi w tę przestrzeń, jako odpowiedź na nasz głód. Oczywiście wchodzi także różne azjatyckie propozycje medytacji oraz innych duchowości np. dalekowschodnich, ale to tylko świadczy o tym, że dzisiaj człowiek potrzebuje głębszego odniesienia do Pana Boga, czy do Absolutu. Nasze codzienne zabieganie nam nie wystarcza, więc ikona spełnia tę rolę, że jest z jednej strony czymś egzotycznym w zachodnich wystrójach mieszkań, jako pewnego rodzaju niebanalne dzieło sztuki, a z drugiej strony rzeczywiście jest takim odniesieniem do sacrum.

Jak powstaje ikona, ją się pisze czy maluje? Jaki jest warsztat, a jaki obrządek/obyczaj teologiczny weń wpisany?

Ikony się i pisze, i maluje. W polskiej tradycji językowej, gdy używa się pędzla, to określa się to słowem „maluje”. *Pisat' kartiny* – to jest rusycyzm w polszczyźnie, ale on jest uzasadniony teologicznie, ponieważ Sobór Nicejski II (to był rok 787) w swoich anatematyzmach wyraził, że „Jezus Chrystus jest możliwy do opisanania”, czy to przez ikonę, mozaikę, czy przez jakąkolwiek inną technikę. Także teologia, ta pisana w księgach, jest formą opisywania Jezusa Chrystusa. W związku z tym użyte zostało greckie słowo *perigraption* pochodzące od greckiego *grafé*, czyli od „pisania”, „opisywania”. Stąd iko-



Ks. prof. Dariusz Klejnowski-Różycki

nografie piszą, opisują to, kim jest Jezus Chrystus, święci, Kościół cały, Pan Bóg, za pomocą pędzla. Poprawne jest więc i „pisać” ikonę, i „malować”. Język polski zna to rozróżnienie, że jak używamy pędzla to malujemy i w tym nie ma nic zdroźnego. Pyta Pan jaki jest warsztat? Taki jak malarstwo tablicowe średniowiecza, czy nawet starożytności. Ikona w zasadzie jest jakby elementem architektury. To kawałek ściany. Dokładnie mówiąc deska jest zamieniona na kawałek ściany za pomocą różnych klejów, kredy, odpowiednich substancji tak, żeby można było w formie dwuwymiarowej przedstawić Pana Jezusa. Chodzi właśnie o dwuwymiarowość, bowiem ikona specjalnie unika pewnego światłocienia, unika realizmu i naturalizmu, który jest charakterystyczny dla sztuki mimetycznej Zachodu. Czyni to, żebyśmy wiedzieli, patrząc na ikonę, że jest to coś, co opisuje świat, który nie jest widoczny oczami. Stąd pewien schematyzm, geometryzacja, inność sposobu przedstawienia, żebyśmy wiedzieli, że to nie jest świat, który na co dzień spotykamy.

Można powiedzieć tak: prawdziwy ikonograf maluje duszę. Ale przecież dusza jest niewidzialna! No i właśnie na tym to polega. Na przykład gdybyśmy Pana zamęczyli, to jako męczennika namalowalibyśmy Pana ikonę. Ktoś popatrzyłby i powiedział: on jest niepodobny. No tak, dlatego że malujemy nie tak, jak oczy widzą, tylko świętość, która ma w ikonie swój specyficzny język, wyraz. Najczęściej jest to język sztuki bizantyjskiej, gdzie ikona doszła do pewnego szczytu swojego rozwoju, teologii także i sztuki.

Czyli można zatem symbolicznie powiedzieć, że wieszając ikonę, mamy w domu część świątyni?

Tak. Ikona pierwotnie stanowiła część ikonostasu i ewidentnie jest przeznaczona

na do liturgii. To wynika z wpisanej w nią teologii. My na Zachodzie mamy adorację Najświętszego Sakramentu. Wpatrujemy się w Pana Jezusa i Go adorujemy pod postacią chleba. Wschód chrześcijański powie tak: Chleb nie jest do oglądania, tylko do jedzenia. Nie widziałeś chleba? Tam nie widać Pana Jezusa, tylko widzisz chleb, a wiara Ci mówi: tam jest Pan Jezus. A do oglądania, do patrzenia, kontemplacji są ikony. One są najczęściej postawione właśnie jako ikonostas, czyli taki mur, za którym sprawowana jest Eucharystia, bo to, co jest sprawowane, tego nie widać, to trzeba oczami wiary zrozumieć, więc to nie jest do oglądania. Ktoś, kto nie jest wprowadzony w mistagogię niczego nie zobaczy, niczego nie zrozumie. Jest chleb tylko, wino i widać chleb i wino, więc oczami wiary ikona nas naprowadza, jako mur święty, na to, co się dzieje za nim. A za tym murem jest Niebo. Na razie, póki jesteśmy na ziemi, dla naszych zmysłów, ikona jest nam dana, jako okno na to Niebo. Jakbyśmy patrzyli przez okno. Ikona jest też nazywana przez niektórych autorów, teologów jako „okno na Boga”, „okno na Absolut”.

Ks. Profesor jest autorem *Rytuału Ikonograficznego*. Co to takiego?

Nie do końca ja jestem autorem. Tylko to redagowałem. Mianowicie razem z zespołem znajomych kleryków, teraz już księży, pozbieraliśmy te modlitwy, które w różnych tradycjach: ruskich, ormiańskich, gruzińskich, koptyjskich, bizantyjskich, rumuńskich funkcjonowały jako modlitwy na różnych etapach malowania ikony. Ponieważ teologia ikony jest taka, że w zasadzie malowanie ikony czy pisanie, jak kto woli, jest formą modlitwy i każdy element techniczny jej powstawania jest związany z określoną modlitwą.

O niektórych modlitwach mamy tylko informacje, że istniały, że się modlono na przykład przed lefkasowaniem, ale niekoniecznie dotrwały do naszych czasów ich teksty z różnych tradycji klasztornych. Niektóre po prostu odtworzyliśmy na podstawie informacji, że były przy danej czynności odmawiane. Inne próbowaliśmy dopisać, skomponować. Są też takie wprost przetłumaczone ze starych. Krótko mówiąc: pracowaliśmy tak, żeby utworzyć cały, kompletny zestaw modlitw do każdego etapu malowania ikony.

Często w cerkwiach całuje się ikony, tak jak u nas relikwie. Po co? Z jakich szkół ikonopisarskich wywodzi się współczesna ikona?

Powiem bardziej o przyczynie, czyli „dlaczego?”, a nie o celu, czyli „po co?”. Przywołany Sobór Nicejski II, który nas obowiązuje, zarówno katolików jak i prawosławnych, to jest ostatni so-

bór wspólny przed podziałem chrześcijaństwa. On określił, że jeżeli oddaje się cześć wizerunkowi, to przechodzi ona na prototyp, czyli tę osobę, którą ikona przedstawia. Sobór ten daje wprost nakaz czczenia ikon poprzez zapalanie świec, pozdrawianie, całowanie, kłanianie się przed nimi. To jest jakby praktyczna wskazówka, w jaki sposób my mamy czcić święte obrazy. Tam zostało użyte słowo *eikón*, które po grecku znaczy po prostu obraz. Tak samo na Zachodzie, kiedy będzie chodziło o jakiegokolwiek figuratywne przedstawienie Pana Jezusa, Matki Boskiej świętych, aniołów, my w podobny sposób również nie tylko możemy, ale powinniśmy czcić obrazy.

No tak, u nas są bardziej czczone relikwie, o których Pan powiedział, ale jest to konsekwencja historyczna. Wynika ona z tego, że na Sobór Nicejski II nie został zaproszony Karol Wielki, który wówczas rządził już w zasadzie całą Europą. Cesarzowa Irena, regentka, która zwołała ten sobór uważała go za barbarzyńcę. Do Karola Wielkiego dekrety soborowe dotarły dwa lata później w tłumaczeniu jakiegoś partacza na język łaciński i urażony władca wypracował kontrteologię na tyle, że zablokował recepcję Soboru Nicejskiego II na Zachodzie na prawie 1000 lat. W swoich Księgach Karolińskich pozwalał on na czczenie relikwii, które z biegiem czasu były oprawione w drewno, złoto i stały się bardziej formą figury niż płaskiego obrazu. Owszem Karol Wielki dopuszczał także obraz, ale na zasadzie Biblii Pauperum, jako komiksu biblijnego dla niewykształconych, nieumiejących czytać. Na Zachodzie zatem dominowały relikwie, rzeźby, a jeśli już obraz, to bardziej narracyjny, a nie kontemplacyjny i dlatego mamy to rozróżnienie do dzisiaj. Jeżeli Pan pojedzie na chrześcijański Wschód, zwłaszcza prawosławny, zobaczy pan tam przewagę obrazu dwuwymiarowego, natomiast na zachodzie raczej przewagę rzeźby. Te różnice obrazowania pochodzą właśnie z tamtych czasów, aż od Karola Wielkiego.

Jak właściwie nauczyć się pisać ikony? Czy można to robić np. tylko za pomocą Internetu?

I tak, i nie. Głównymi ośrodkami, gdzie się studiuje malarstwo ikonowe są Rosja i Grecja. Z tych ośrodków emanuje owa kultura poprzez osoby, które tam się uczą. Jednocześnie także na Zachodzie są znani ikonografowie pochodzący na przykład z Egiptu, czy z różnych tych części chrześcijaństwa, gdzie jakoś funkcjonuje prawosławie na przykład ze Stanów Zjednoczonych czy Francji. Tam też są ośrodki malarstwa ikonowego. U nas w Polsce też mamy szkołę ikonograficzną, prawosławną, czteroletnią, zawodową, wyższą w Bielsku Podlaskim. To jest jak najbardziej poważny

ośrodek studiowania malarstwa ikonowego. W zasadzie na wielu uczelniach artystycznych można by uczyć malowania ikon, ponieważ technicznie są tam osoby zdolne do tego i mogłyby przyszykłych adeptów przygotowywać, ale jest to niepopularne na Zachodzie. Ponadto wymaga zakotwiczenia w wierze. Nie do pomyslenia jest, żeby malował ikonę ktoś, kto jest niewierzący, nie związany z Kościołem, niepraktykujący, nie uczestniczący w życiu sakramentalnym. Dlatego samo to już ogranicza bardzo dużą grupę artystów. Można powiedzieć, że powstało także wiele różnych ośrodków, szkół ikonopisarskich najczęściej wokół jakiejś osoby, która maluje i uczy innych malarstwa ikonowego, ale jeśli chodzi o uczelnie, takie finansowane przez Kościół, czy przez państwo, to takich ośrodków w Europie jest bardzo niewiele. Trzeba także pamiętać, że dawniej ikony malowano w zakonach. Była to praca zespołowa i zakon się z tego utrzymywał. Zakonnicy kształcili się jeden przy drugim, ale raczej poza zakon to nie wychodziło. Dzisiaj jest wielka dostępność do warsztatu, wiedzy, umiejętności, więc pytanie: czy można się nauczyć malować ikony z Internetu? Odpowiedź brzmi – można. Niektóre są świetne. Jednak to jest tylko jedna strona medalu, sama technika. Malowanie ikon nie polega jedynie na odtwarzaniu. Prawdziwy ikonograf powinien umieć sam tworzyć ikony, nowe wzorniki ikon, bo przecież mamy nowych świętych np. Jana Pawła II. Nie wystarczy fotografii Jana Pawła II wyciąć i przykleić na złotym tle, żeby to była ikona. Ikonograf musi wiedzieć, na czym polega ortokoniczność, czyli prawidłowe przedstawienie postaci w ikonie. Tych umiejętności już nie zdobywa się w ramach uczenia warsztatu z Internetu.

Jeśli mamy do czynienia jedynie z takimi przekazami, które uczą wyłącznie techniki bez teologii, bez znaczenia symbolu, bez pokazania co można, a czego nie można, i dlatego się robi tak, a nie inaczej, i jakie to ma uzasadnienie na przykład w teologii, wierze Kościoła, wówczas malowanie jest wyłącznie rzemieślnicze, odtwórcze. Czy o to chodzi? Niektórym to wystarczy, tak samo jak w każdej dziedzinie, w której można robić rzeczy tylko odtwórcze. Trzeba pamiętać o tym, że ikona także się rozwija, że jakoś powinna się przemieniać. To nie jest tak, że zostały tylko wzory ze starożytności i średniowiecza i tylko je kopiujemy. No właśnie, dobry ikonograf powinien umieć rozwinąć ikonę. A to jest już „wyższa szkoła jazdy”.

Jak to się stało, że powstała Śląska Szkoła Ikonograficzna? Jaka jest jej historia, struktura szkoły? Kim są wykładowcy? Studiowałem ikonografię u Egona Sendlera, czyli Ojca Igora – bo takie przyjął imię. On się urodził na Śląsku pod Wro-



clawiem. Był Niemcem i jako dziecko z rodzicami wyemigrował do Francji, gdzie stał się Francuzem. Tam został jezuitą, studiował teologię i ikonografię w Rzymie. Tam też, we Włoszech i we Francji tworzył różne warsztaty ikonograficzne – i swoje atelier i swoich uczniów nie tylko z Europy. Ja się uczyłem u niego w Wersalu, kiedy studiowałem we Francji. Wcześniej miał swój warsztat w Meudon. No i tam, pod Paryżem przyjmował ludzi z całego świata. Kiedy przyjechałem do Polski już jako wykładowca na Uniwersytet Opolski razem z mamą pomyśleliśmy, że warto by robić takie warsztaty tutaj, w Polsce, a że jestem Zarbrzaninem, no to Śląsk był mi najbliższy. Początkowo warsztaty prowadzone w małych grupach rosły, ponieważ można powiedzieć, że dosyć dużo ludzi „połknęło bakcyła” i rozwijało się w tym kierunku.

Na pewnym etapie nie byliśmy już w stanie tego obsłużyć w małej grupie osób tylko przeorganizowaliśmy się i stworzyliśmy Wydział Śląskiej Szkoły Ikonograficznej. Czyli te osoby, które się najbardziej rozwinęły (często byli to również artyści, czy ludzie, którzy gdzieś, jakoś już się też uczyli sztuki, architektki), zebraliśmy siły i w różnych miejscach na Śląsku, tam, gdzie te osoby są w stanie prowadzić innych, stworzyliśmy ośrodki nazywane Wydziałami. Na czole wydziału stoi osoba, którą nazywamy technicznie Dziekanem albo Koordynatorem, jeżeli boi się tej nazwy „Dziekan” i uczy dalej malarstwa ikonowego. Aktualnie na Śląsku, przy czym to jest Śląsk

obejmujący Diecezję Opolską, Diecezję Gliwicką i Archidiecezję Katowicką, jest takich ośrodków osiemnaście. Ta liczba się zmienia nieustannie, bo niektórzy nie są w stanie, nie chcą, nie mogą dalej pracować. Różne bywają przeszkody i wówczas taki ośrodek naturalnie jakoś zanika, ale w innych miejscach powstają nowe, tak że sytuacja jest dynamiczna, rozwojowa i sam ledwo za nią nadążam.

Kto zostaje słuchaczem Śląskiej Szkoły Ikonograficznej? Czy jest jakiś profil studenta? Czy trzeba mieć zdolności plastyczne?

To wygląda tak, jak w Kościele katolic-

kim – zawsze jest więcej kobiet, ale nie z aż tak dużą przewagą, bo jest również sporo mężczyzn. Można powiedzieć, że najczęściej to już są dojrzały ludzie. To też zależy oczywiście od specyfiki danego ośrodka, ale gdyby patrzeć na średnią, na przeciętnego studenta to właśnie tak to wygląda. Najpierw jest student, potem jest młodszy ikonograf, ikonograf... jest jakaś hierarchia w tym względzie, sygnalizująca rozwój i te elementy, które trzeba spełnić, aby wejść na kolejny poziom rozwoju. W każdym razie to są ludzie najczęściej dojrzały. Są ośrodki, gdzie zdecydowaną większość stanowią przede wszystkim emeryci i są też takie, gdzie jest dużo młodzi. Kto może zostać słuchaczem? Proszę Pana, żeby poznać technologię malowania ikon, czym ona jest, może przyjść każdy wierzący chrześcijanin. Pozna, nauczy się, jak to działa, namaluje jakąś jedną ikonę. Jednak, żeby rozwijać się w tym i tworzyć, to po pierwsze trzeba tego chcieć, trzeba to lubić, bo to jest żmudna praca, to nie jest jedynie przyjemność. Ćwiczenie, malowanie, zdrapywanie, bo coś nie wychodzi... Widziałem dużo łez z tego po-

wodu i też załamań, bo nie wychodzi, chociaż by się bardzo chciało. Dlatego, żeby kontynuować, ludzie muszą jakby trochę ćwiczyć się w tym. Wiele rzeczy da się wyćwiczyć tak, jak w muzyce. Siedzi Pan przy fortepianie i ćwiczy. Tysiąc razy Pan powtórzy i w końcu coś zagra. Tak samo jest z ikoną i z każdą sztuką. Trzeba po prostu ćwiczyć i w każdej sztuce geniusz, talent jest ważny, ale bez ćwiczenia on nie ma większego znaczenia. Więc, czy trzeba coś umieć? No, dobrze jest coś umieć. Dobrze jest nie być daltonistą, być pracowitym. W każdym razie można wyćwiczyć wiele rzeczy i oczywiście łatwiej jest tym, którzy mają talent.

O tym, czym jest ikonostas już mówiliśmy, ale chciałem zapytać, gdzie na Śląsku, w Polsce możemy zobaczyć zbiory ikon?

Zachęcałbym każdego, żeby sobie wsiadł do pociągu, samochodu, autobusu i pojechał do Tychów. Tam jest ładny kościół pod wezwaniem Ducha Świętego, który wymalował wewnątrz Jerzy Nowosielski. To nie jest cerkiew, to jest kościół rzymskokatolicki. Mamy też w Tychach jeden z ośrodków naszej Śląskiej Szkoły Ikonograficznej – Kecharitomene. Można pojechać trochę, ale nie dużo dalej, bo do Krakowa. Tam jest fantastyczna kolekcja ikon w Pałacu biskupa Erazma Ciołka na Kanoniczej, między Wawelem a rynkiem.

To są piękne zbiory z ogromnych terenów Rzeczypospolitej, dzisiejszej Białorusi, Ukrainy, wschodniej Polski. Tam niedaleko, też na Kanoniczej, jest mała cerkiewka, na pierwszym piętrze, w zasadzie kaplica, też wymalowana przez Nowosielskiego. Jeżeli już ktoś chciałby pojechać troszeczkę dalej, to mamy w Polsce świetne Muzeum Ikon w Supraślu, będące oddziałem Muzeum Podlaskiego. Warto pojechać na wschód Polski, ponieważ to są piękne i unikatowe zbiory. W dodatku samo muzeum jest bardzo dobrze zrobione i można nasycić się w nim tą specyficzną atmosferą. Zachęcam do takiej wycieczki każdego. W pobliżu mamy także cerkiew w Sosnowcu, w Częstochowie jest cerkiew ikony Matki Boskiej Częstochowskiej, przy czym te cerkwieki nie są aż tak oszalamiające, jeśli chodzi o ikony, ale są w pobliżu i bardzo do takich wędrówek zachęcam.

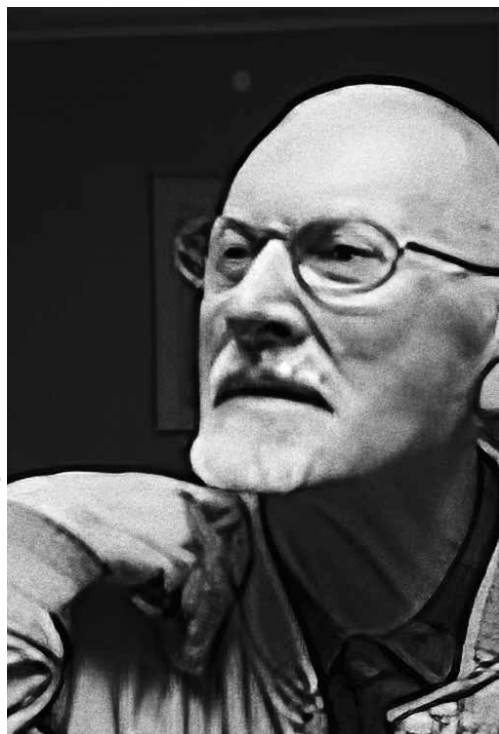
Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

Dariusz Klejnowski-Różycki – prezbiter diecezji gliwickiej, profesor Uniwersytetu Opolskiego, dr hab. nauk teologicznych w zakresie teologii dogmatycznej i ekumenizmu, sinolog, pianista, rektor Śląskiej Szkoły Ikonograficznej, dyrektor Instytutu Badań nad Teologią i Duchowością Dalekiego Wschodu, współzałożyciel Stowarzyszenia Sinicum im. Michała Boyma SJ, pomagającego Kościołowi w Chinach, cenzor kościelny diecezji gliwickiej. Studiował m.in. w Lublinie, Krakowie, Paryżu, Pekinie i Taipei. Autor publikacji głównie poświęconych dogmatyce, ikonie i Chinom.

„Gliniany stoję na tym kawalecie”

O prozie Edwarda Szopy

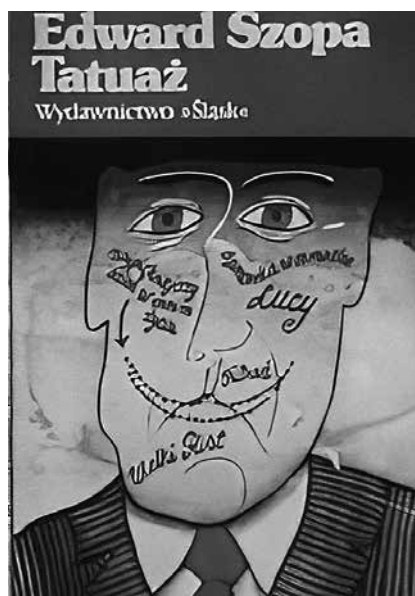
RYSZARD BEDNARCZYK



Edward Szopa zaczął późno pisać książki – jak sam przyznał – w okolicach trzydziestki. Zaczynał od wierszy. Jednak po wydaniu w 1971 roku tomu *Światłość lasu*, zadebiutował jako prozaik w 1980 roku książką *Tatuaż*, opublikowaną w katowickim Wydawnictwie „Śląsk”. Był to zbiór sześciu niezbyt obszernych opowiadań. Od strony narracyjnej widać, że autor od chwili debiutu polubił monolog wewnętrzny – wprowadzony do świadomości polskich literatów po przełamaniu socrealistycznego schematyzmu w 1956 roku i po udostępnieniu czytelnikom *Upadku Alberta Camusa* – zwany też strumieniem świadomości. Narrator równoznaczny był z bohaterem. Nawet w opowiadanku *Lucy*, narracji w trzeciej osobie o przygodach z mężczyznami biurowej koleżanki, daleko do wszechwiedzy, a bliżej do ograniczonego punktu widzenia urzędnika. W wypowiedziach narratorów, dość niespójnych, oddających chaotyczny tok myśli, dostrzegalna była od początku pisarska kreacja, widoczna także w całej twórczości Edwarda Szopy. Bohaterowie dywagujący o własnej psychice i ich postrzeganiu świata, obdarzeni byli wiedzą, jakiej nie mogli mieć szarzy ludzie, prostaczkowie, biuraliści, pijacy. Poza tym sposób opowiadania był nadmiernie filozoficzny, poetycki, pisany w stylistyce raczej obcej osobom ze społecznych – nawet urzędniczych – nizin. „Wczytywał się zapewne jak w miłosny sonet czy przynajmniej prozę eseistyczną” – charakteryzował współpracownika bohater i narrator noweli *Najpiękniejszy dzień w moim życiu*. Taki sposób nar-

racji rozpoczęty w pierwszej książce, kontynuował autor konsekwentnie w późniejszej twórczości.

W swoim debiucie za temat opisu wziął pisarz biurowy świat, dobrze mu znany, bo pracował wtedy jako urzędnik. Pozbawione szerszej wiedzy postacie, mające jakieś prototypy w rzeczywistości, ograniczają się do plotek, intryg, radości z drobnych awansów. Osią opisów w *Najpiękniejszym dniu w moim życiu* jest uzyskanie przez bohatera dyplomu ukończenia studiów. I ważna dla autora jest psychika bohaterów, gra emocji i konflikt charakterów. We wspomnianej noweli *Lucy* to chwila przyjazdu do pracy szwedzkiego dygnitarza, w domyśle jej amanta, czego autor do końca nie dopowiada, zawieszając zakończenie.



W opowiadance *Wielki Glist* narrator nakłada na siebie wydarzenia z dzieciństwa na epizody z pracy, co doprowadziło go do rozstroju nerwowego. Nieco wyłamały się z tego schematu opowiadania *Mojesz* i *Tatuaż*, traktujące o ludziach z marginesu społecznego. Najwyraźniej zadeklarował w ten sposób Edward Szopa przynależność do silnego po październikowej odwilży nurtu pisarstwa eksponującego mit lumpenproletariusza. Postacie z jego opowiadań, trochę wyobcowane ze środowiska, socjopatyczne, żyjące na styku z wyrzutkami społecznymi, wskazywały na wyraźny związek z prozatorskimi nurtami ukształtowanymi po 1956 roku.

Druga powieść *Biały ford* wydana w 1982 roku potwierdziła trend lokowania się twórczości Szopy w problematyce marginesu społecznego. W utworze tym pisarz rozwinął pomysł z opowiadania *Tatuaż*. Sytuacją wyjściową stało się przypadkowe spotkanie w barze mlecznym bohatera i narratora z Lukim, dawnym podopiecznym z ośrodka wychowawczego. W retrospekcyjnych refleksjach wspominał bohater zdarzenia z zakładu poprawczego i zażyłość, jaka wywiązała się pomiędzy nim a podopiecznym. Analizował postępowanie wychowanków, równocześnie rozliczał się ze swoim nieudanym życiem. Po rozstaniu z żoną, były klawisz z poprawczaka nadużywał wódki i zaprzyjaźnił z Lukiem. Sięgnął moralnego dna, ale wstrząsu doznał dopiero wtedy, gdy zrozumiał, iż to Luki włamał się do jego mieszkania i ukraść gotówkę. Recenzenci redakcyjni ocenili, że „w kreśleniu charakterów i po-

staw wychowanków schroniska autor zachował odpowiedni umiar – nie przeceniając znaczenia reedukacji, ani nie przecierając obrazu tzw. trudnej młodzieży”. Poza mimetycznym obrazem środowiska młodocianych przestępców, obecna była też w powieści symbolika godnego życia. Tytułowy białe ford był odzwierciedleniem amerykańskiego mitu o karierze od pycubuta do milionera. Niestety samochód, jak i marzenie Lukiego o lepszym życiu za oceanem, pozostały tylko mrzonką – także w przypadku wychowawcy i narratora.

Kontynuacją metody twórczej Edwarda Szopy zaprezentowanej w pierwszych książkach był następny tom jego opowiadań *Jubileusz*, opublikowany przez wydawnictwo Śląsk w 1986 roku. W pięciu tekstach – spoistych konstrukcyjnie z ciekawymi zwrotami akcji – występowała narracja pamiętnikarska, bardzo przypominająca satyryczną gawędę. Bohaterami opowiadającymi o wydarzeniach, opisującymi postacie i ich przeżycia oraz scenierię w oparach alkoholu, byli mężczyźni, życiowi rozbitkowie ze środowisk lumpów, niewykwalifikowanych robotników, urzędników. Redakcyjny recenzent trafnie zauważył, że Szopa w swojej prozie opisał „awans społeczny, który nie wywyższa, lecz grozi degradacją człowieka”.

Motywy przewodnim w krótkich prozach z tego zbioru stały się kobiety na ogół amoralne, ale fascynujące narratora erotycznie: Pani Gienia z noweli *Przechodni pokój*, która stała się spełnieniem pożądania; strywalizowany przez życie ideał kobiety w opowiadaniu *Mężczyźni pani Ruty*; bohaterka noweli *Pani Stefa* powabna piękność zamieniona w sekutnicę; panielki z klubu nocnego w *Wapnie pod powiekami* i nigdy niespełnione marzenie o inicjacji seksualnej.

Mocno rozbudował autor w tym tomie już znane z poprzednich opowiadań tematy biurowych intryg i typowo męskiej rywalizacji zawodowej. W *Nowym* biuralista o niewielkim stażu, Wincenty, z powodu intrygi albo żartu podpadł dyrektorowi, o którego względy tak zabiegał. W tytułowym opowiadaniu wyjątkowo napisanym w narracji trzeciosobowej, urzędnik Szreniawa w czasie wręczania przez dygnitarza z departamentu jubileuszowych nagród, dla kariery zamienił się w lizusa i donosiciela, niewiele się tym różniąc od reszty współpracowników. Doskonała znajomość środowisk doprowadziła, że prozaik obficie czerpał pomysły z własnej biografii, pracował bowiem w urzędniczym fachu.

Ze zrozumiałych względów utwory opublikowane przez pisarza przed 1990 rokiem, czyli okresem ustrojowej

transformacji, pozbawione były jakichkolwiek odniesień czy nawet aluzji do burzliwych politycznych wydarzeń lat 80. XX wieku. Nie przeszłyby przez cenzorskie sito. Jednak w przypadku Szopy raczej wynikało to z niechęci do interwencyjnego opisu bieżących zdarzeń oraz politykierstwa. Istotniejsza była dla niego szara egzystencja i, o dziwo, sztuka, co objawiło się w twórczości prozaika także po okresie ustrojowej transformacji.

Opublikowana w 1992 roku mikropowieść *Sobowtór* jeszcze mocno tkwiła w twórczej świadomości pisarza, ukształtowanej w czasach realnego socjalizmu. Jakby żywcem wzięty z wytycznych nowej powieści francuskiej monolog kobiety, będący retrospektywnym podsumowaniem jej swawolnego, nieudanego małżeńskiego życia, trwał zaledwie kilkadziesiąt minut, w czasie jej oczekiwania na peronie dworca kolejowego. Pociągiem chciała dojechać do Kurta, nowo poślubionego niemieckiego małżonka, który miał jej zapewnić dobrobyt i szczęście. Wyjeżdżając, rozpamiętywała chwile spędzone z Kacprem, alkoholikiem, podświadomie oczekując, że porzucony partner przyjdzie nie tyle ją pożegnać, co odwieść od wyjazdu.

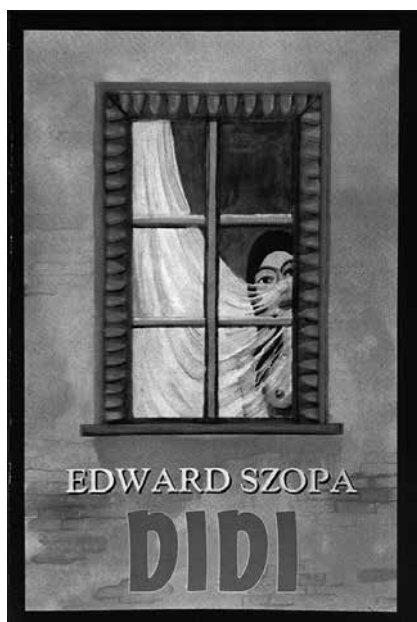
W ekspiacyjnych rozważaniach i wspomnieniach pomagała bohaterce jej siostra Magda, która odprowadziła ją na stację. Monologi siostry wplecione w narrację sprawiły, że chwila opowiadania zyskiwała polifoniczny charakter. Zdarzenia opowiedziane z punktu widzenia krewnej uzyskiwały kontrapunktowy obraz. To Magda zakłóca marzenie bohaterki o idyllicznym życiu u boku niemieckiego partnera, sugerując, że to wyjazd na saksy. Mikropowieść, w której pojawiło się wiele wątków, rozwijanych przez autora w następnych utworach, miała tragiczne zakończenie. Pijany pasażer, podobny do Kacpra, tak nachalnie zalecał się do bohaterki, że ta rejterując przed przypadkowym, niechcianym amantem, wpadła pod koła pociągu, którym miała pojechać do krainy szczęśliwości. Wszechobecny pech przesładowujący postaci z prozy Edwarda Szopy dominował także w tej minipowieści, będącej doskonałym studium psychologicznym frywolnej kobiety.

Pierwszosobowa narracja w kolejnej wydanej w 1994 roku powieści *Synagorlica* sprawiła, że nie ma pewności, czy tytułowy ptak istniał naprawdę, czy był tylko alkoholowym zwidem bohatera. Akcja prozy Edwarda Szopy rozgrywała się w ciągu kilkunastu godzin walki narratora z nałogiem. Gołąb w gnieździe za oknem był jedynym świadkiem zmagania Tomasza z alkoholem, ale także istotą opatrnościową, symbolem pokonania uzależnienia.

Pisarz doskonale opisał katusze fizyczne i psychiczne człowieka po odstawieniu wódki i dramatyczne konsekwencje braku silnej woli. Liczne retrospekcje z życia bohatera wzmocniły obraz jego upadku moralnego. W alkoholowym ciągu sprzeniewierzył się nawet pijackiej przyjaźni z kolegą od kieliszka, Faraonem. Piciem Tomasz doprowadził do śmierci pod kołami tramwaju swojego syna Przemka i odejścia życiowej partnerki Iwony, jedynej osoby pragnącej wyrwać go z nałogu. W zakończeniu powieści kobieta zniszczyła gniazdo synogarlicy, grzebiąc symboliczne nadzieje bohatera na wyjście z uzależnienia. Doskonałym opisem alkoholizmu – niejedynym w polskiej prozie – zachwylił się Jan Pieśczechowicz, pisząc: „Kolejne etapy trzeźwienia Tomasza, przeżywanie »czarnego kwiku«, przeplatane refleksjami, wspomnieniami czy gadulstwem listonosza rozegrał Edward Szopa znakomicie”.

Minipowieść *Didi* opublikowana w 1996 roku najmocniej utkwiała w realnym socjalizmie. Bohater monologował o swojej męskiej miłości i fascynacji dwiema kobietami oraz ochocie na posiadanie potomka. Marcin Hałas nie bez powodu, nazwał ten utwór Szopy „jednym z ostatnich romansów PRL-u”, ale od razu dodał, że na tle romansidel, powieść jawi się jako „mętne nudziarstwo”. Zaskoczeniem było ulokowanie akcji powieści w bułgarskim kurorcie, egzotycznym miejscu dla obywateli państw demokracji ludowej, do którego mogli wyjeżdżać na wczasu nieliczni wybrańcy. Jak w większości utworów autora, opisywane zdarzenia i przeżycia podszyte były autobiografizmem.

Poczet królewski, wydany w 1996 roku zbiór 26 opowiadań, był dość nietypowy w dorobku pisarza-realisty, jakim był Szopa. Trudno było orzec, czym gatunkowo były zamieszczone w książce utwory, baśniami czy ich parodiami. Świat przedstawiony w opowiadaniach zapełniony był bajkowymi postaciami: królami, błędnymi rycearzami, astrologami, smokami i duchami księżniczek. Wydarzenia, turnieje rycerskie, dworskie umizgi do satrapy, też miały baśniowy posmak. Jednak drwiąco podejście do tego świata fantastyki wskazywało, że to postmodernistyczne zabawy z konwencjami opowieści Szeherazydy jak również Hansa Christiana Andersena i braci Grimm. Czyż autor, traktujący na serio fantazmatyczny utwór, pisałby: „jak na postać z baśni okazał się nader nieporadny”? Czy wtrącałyby autotematyczne uwagi i zwracał się wprost do czytelnika? Jednak poza grą i humorem, wykorzystaniem baśniowych czy kronikarskich struktur, opowiadki okraszane były mnóstwem odniesień



do języka propagandy. Szczególnie widoczne to było w *Blaszany kogucik*. Trochę również w opowiadaniach *Dostojnik* czy *Bezkrólewie*, aluzji moralizatorskich odnoszących się do sarmackiej przeszłości Rzeczypospolitej. Zawarł zatem pisarz w błahostkach literackich nieco dramatycznego tonu. Miał więc i skłonności do bycia Stańczykiem z obrazu Jana Matejki, ale bardzo rzadko, bo na ogół w swojej prozie zachowywał tragiczną powagę, pochylając się troskliwie nad pogmatwanymi ludzkimi losami.

Tytułowe – najbardziej obszerne – opowiadanie ze zbioru *Sabat*, opublikowanego w 1998 roku to typowy dla autora monolog bohatera Kacpra, analizującego jeden z etapów swojego życia. Klamrą spinającą jego dywagacje była wiara w przesady i pomyślną wróżbę Romki, które porządkowały jego chaotyczne życie oraz stawały się punktem odniesienia w osiągnięciu celu.

Z powodu wiary w gusła, świat bohatera rozpięty był między dwoma biegunami; tajemniczym Albinosem, przynoszącym pecha i przyjacielem z lat dzieciństwa Darkiem, mężem opatrnościowym. To kolega nakłania rezygnowanego Kacpra w finale powieści do dalszej walki z losem i rzucenia się w wir interesów w okresie ustrojowej transformacji, mówiąc: „wrócisz tam bogaczem! Spełni się wróżba Cyganki spod namiotu cyrkowego”. Bo też życie narratora wcale nie było udane, przepełnione absurdalnymi zdarzeniami. Na studia egzaminy zdał dziwnym zrządzeniem losu, popisując się znajomością lektur. W gąszczu biurowych intryg i szykan przetrwać pomogła mu wiara w przesady. Pocięchą była świadomość, że ukarany został za podpisanie petycji w obronie kolegi aresztowanego przez ZOMO z powodu pechowej liczby 13 w dacie ogłoszenia stanu wojennego.

Po awansie na publicystę w czasopiśmie nadal był tłumaczony przez szefów, rozstał się z żoną i dla pociechy sięgnął po alkohol. Gdy nastał ekonomiczny wolny rynek, Kacper wyjechał do Stanów Zjednoczonych, by zostać „szczuropolakiem”. Nie ziścił się jego amerykański sen. Wrócił do Polski i w nowej sytuacji ustrojowej dokonał rozliczenia z samym sobą, ciągle wierząc w zrobienie kariery w biznesie. Po raz pierwszy Edward Szopa podjął w twórczości prozatorskiej temat rozliczeń z czasami realnego socjalizmu. W gawędzie Kacpra, niczym w spowiedzi dziecięcia PRL-u, odbijały się ówczesne polityczne dylematy.

Uzupełnieniem tytułowego opowiadania w książce były opowiadki z cyklu *Mój wujek*, pełne ciepłego humoru, a niekiedy obnażającej drwiny. Narratorem był mały chłopiec postrzegający świat dorosłych trochę naiwnie, ale w sposób złośliwy wychwytyjący słabości ludzkie. Na idola młodocianego bohatera wykreował się wujek, z pozoru bohaterski i męski zwolennik polowań, wędkowania, górskich wędrówek, w dodatku amant. Choć funkcję demaskatorki pełniła ciotka, narrator musiał sam przekonać się, iż jego heros był zwykłym fajtlapą. Doskonale bawił się prozaik w tych miniaturach słownymi gierkami oraz humorem sytuacyjnym czy postaci.

W powieści *Chińska róża*, która ukazała się w 2000 roku, pisarz rozwinął, obecną już w jego wcześniejszej twórczości, skłonność do oplatania akcji utworów wokół symboliki przedmiotów, postaci, zdarzeń i roślin. Tytułowy kwiat stał się totemem pozwalającym uporządkować bohaterowi jego życie. Edziuncio, czołowa postać tej prozy, zachorował na raka. Posadzona w doniczce róża stała się świadkiem jego nieszczęścia „jakąś kolejną ekscentryczkę do towarzystwa”. Ale związek bohatera z ozdobnym badylkiem zyskał także mistyczny, ezoteryczny charakter. Kwiat potraktował Edziuncio jako symbol powrotu do zdrowia, jak lekarzkę przynoszącą nadzieję. Doszukiwał się w obcowaniu z doniczkowym zieleńcem czegoś na kształt onkologicznej terapii i wiary w odrodzenie. Sławomir Matusz recenzując *Chińską różę* dostrzegł, że „utwór Szopy jest [...] książką o umieraniu, zmaganiu się ze śmiercią – proteście, buncie przeciwko całkowitemu unicestwieniu”.

Nie sposób jednak pominąć przemieszania konwencji obecnego w narracji powieści. Opowiadanie mieszało się z reporterstwem i poetyckością. Mocno reportażowy charakter miały zwłaszcza opisy podróży bohatera po Europie, Dalekim Wschodzie i Stanach Zjednoczonych. W tych fragmentach narrator przybierał pozę obywatela

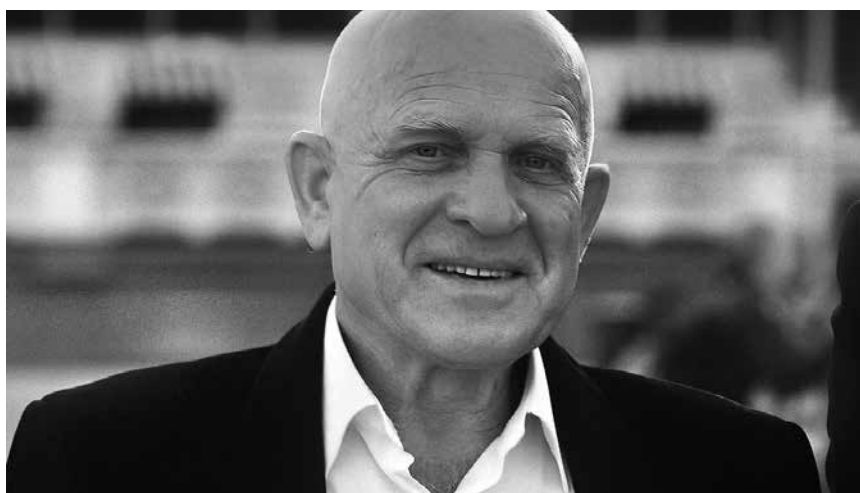
świata, dla którego Polska nie była pępkiem świata. Odżegnywał się od amerykańskich „szczuropolaków”, nazwanych tak przez Edwarda Redlińskiego. I choć autor *Chińskiej róży* opisywał rozterki rodaków w okresie ustrojowej transformacji, czynił to bez przekonania do doraźnych tematów publicystycznych czy politycznych. Powieść podobna była sobie bardziej jako opowieść o tęsknocie za czasem zataczającym koło.

Akcja powieści *Rzeźba z blizną* wydanej w 2003 roku działa się w piwnicy, gdzie znajdowała się artystyczna pracownia rzeźbiarza Stanisława Pietrusy. Główny bohater i narrator, *alter ego* pisarza, Edward, też artysta, pozował do kolejnego dzieła w kamieniu. Sytuacja stała się pretekstem do sporów pomiędzy modelem i twórcą o kształt powstającej figury. Edward domagał się nieskazitelnego przedstawienia swojego wizerunku. Zamarzyło mu się bowiem ustawienie jego świetlanego pomnika na placu w Bytomiu. „Ja gliniany, stoję, na tym kawalecie, na którym do niedawna zanośnięta się rozpaczą Śląska Pieta” – monologował Edward. Wizja rzeźbiarza, wynikająca z niedoskonałości materiału i dążenia do ukazania prawdziwego wyglądu i skaz charakteru modela, była inna. Artysta ukazywał niedoskonałość rzeźbionej postaci jako blizny, które pozujący chciał ukryć.

Dyskusje bohaterów zyskały szerszy wymiar, stały się rozmowami o powinnościach sztuki, powodem krytyki krakowskiego pomnika Adama Mickiewicza. „Mnie się też nie podoba, ale zdecydowały gusta dziewiętnastowieczne, kiedy to zachłystywano się alegorią przeciążoną naleciałościami historii” – opowiada narrator. Z krytyką artysty spotkały się także socrealistyczne rzeźby Zygmunta Koniecznego, zwłaszcza propagandowy pomnik przodownika pracy Wincentego Pstrowskiego. Rozmowy Edwarda i Pietrusy wzbogacane były przez dywagacje innych artystów odwiedzających pracownię. *Rzeźba z blizną* stała się powieścią o tworzeniu Gombrowiczowskiej gęby i być może upupianiu.

Dodatkowego smaku dodała prozie Edwarda Szopy obecność – w opisach topografii – ulic Bytomia, bo akcja powieści działała się w mieście zamieszkania autora. Gorzkie refleksje dotyczyły tego starego piastowskiego grodu i wielokulturowego miasta węgla i stali, które w czasach wolnego rynku popadło w ruinę po likwidacji przemysłu ciężkiego. Jednak wielka historia toczyła się jakby w tle i na marginesie rozważań o sztuce. *Rzeźba z blizną* potwierdziła, że Edward Szopa wypracował własny pisarski styl dostrzegalny w całej jego twórczości.

Świętujący niedawno swoje 75. urodziny Henryk TALAR, znakomity aktor teatralny i filmowy (pochodzący z Kózk. Bielska-Białej) udzielił w życiu wielu szczerych wywiadów. Muszę się przyznać, że mam nawet w domu specjalną teczkę z kilkunastoma „Talarowymi” wycinkami z różnych ogólnopolskich i regionalnych gazet z minionych lat, bo niemal w każdej z tych rozmów artysta wspominał o moim ojcu, nauczycielu matematyki, długoletnim pedagogu Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Bielsku-Białej. Na pewnym etapie swojego życia Talar był bowiem, co może dziś wydawać się nieco dziwne, uczniem i absolwentem TME.



Henryk Talar

Obrabianie skrawaniem

– *Nakłoniony przez rodziców poszedłem do tej szkoły na wydział obróbki skrawaniem. Stało się to przy mojej bezradnej, nieudaczonej zgodzie. Nie byłem orłem z matematyki, ale deklamowałem wierszyki na akademiach. Mój nauczyciel matematyki, Tadeusz Lubowski, powiedział mi: „Talar, możemy pójść na taki układ: na każdą lekcję przygotujesz jeden wiersz mojego ulubionego Gałczyńskiego. Dzięki temu będziesz miał zapewnioną minimum trójkę”. Pomógł mi też potem podczas egzaminu maturalnego – zwiernął się otwarcie Talar w zeszlorocznej rozmowie z Angeliką Swobodą (Gazeta.pl). Jej obszerny zapis został opublikowany w lutym 2020 r. („Czyściłem buty artystom, biegałem po sporty. W zamian mogłem ich podglądać na scenie”).*

Bardzo podobne wyznania padły z ust Talara w rozmowach z innymi dziennikarzami. Aktor za każdym razem odnosił się z wielką atencją do swojego dawnego pedagoga. Nigdy nie ukrywał, że jego późniejsza decyzja o wyborze kariery aktorskiej i przystąpieniu do egzaminu wstępnego na krakowską PWST zapadła m.in. za sprawą szkolnego nauczyciela matematyki.

Gałczyński i... matematyka

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Przedziwny świat poezji

Nie od rzeczy będzie wyjawić, że ojciec uwielbiał Gałczyńskiego. Uważał go za wybitnego poetę, a w domu często recytował jego wiersze. Jako dziecko słuchałem niejednokrotnie słów o „zaczarowanej dorożce, zaczarowanym dożkarzu i zaczarowanym koniu”. Zbiory wierszy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego zawsze zajmowały honorowe miejsce w naszej domowej biblioteczce. A literackie zainteresowania szły u taty w parze z wpajaniem mi elementarnych prawd matematycznych o trójkątach, bryłach, funkcjach trygonometrycznych i sposobach szybkiego rozwiązywania równań kwadratowych.

Niezależnie od wykonywania zawodu nauczycielskiego fascynował się na co dzień teatrem. Był prezesem Towarzystwa Miłośników Teatru, które korzystało z lokalowej gościnności Domu Kultury Włókniarzy, usytuowanego nie-

opodal zabytkowej siedziby bielskiej sceny. Z dużym powodzeniem próbował u wielu ludzi zaszcześcić miłość do teatru. Z okresu dzieciństwa zapamiętałem, że nasze skromne mieszkanie w jednej ze starych kamienic miejskich było miejscem częstych wizyt bielskich i krakowskich aktorów teatralnych, z którymi ojciec był mocno zaprzyjaźniony.

Tata nie żyje od ponad 40 lat, ale zdołał we mnie wzbudzić ogromną fascynację teatrem. Nie byłem jedyny w tym względzie. Przykład Henryka Talara jest tego widocznym świadectwem. W wyniku uporczywych starań udało mi się podczas tegorocznych Świąt Wielkanocnych przeprowadzić wreszcie planowaną od dawna dziennikarską rozmowę z nim, bo dodać chcę koniecznie, że nie poszedłem śladami ojca i nie zostałem kolejnym w rodzinie nauczycielem, lecz żurnalistą. Matematyka zawsze była jednak dla mnie – zgodnie z zapamiętanymi taty – prawdziwą królową nauk, niepodatną na żadne manipulacje polityczne ani próby fałszowania jej przez sezonowych ekspertów.

Z prawdziwym wzruszeniem rozmawiałem więc w świątecznym dniu kwietniowym z Henrykiem Talarą.

Kiedy i w jakich okolicznościach zetknął się Pan po raz pierwszy z moim ojcem?

– Od pierwszego spotkania z prof. Tadeuszem Lubowskim minęło ponad 60 lat. W tej sytuacji wybacalne będzie zapewne przestrajanie się we wspomnieniach z rzeczywistości w imaginację. W mojej pamięci tkwi on do dziś jako arystokrata ducha w muszce, obdarzony donośnym, mocnym głosem. Wraz z moimi kolegami z klasy 1a z Technikum Mechaniczno-Elektrycznego w Bielsku-Białej usłyszałem od naszej wychowawczyni,



Siedziba bielskiej szkoły technicznej

Henryki Wilczyńskiej, że za chwilę będziemy mieli pierwszą lekcję z nauczycielem matematyki, Tadeuszem Lubowskim. Na koniec powiedziała: „Nie za zdrzosczyć wam”. Jak trusie zamarliśmy w swoich ławkach...

Czy nie przejawiał Pan żadnych zainteresowań wiedzą matematyczną?

– Pamiętam, że chciałem bliżej zainteresować się matematyką, ale miałem też świadomość, że moje starania to zdecydowanie za mało, by zadowolić samego siebie, nie mówiąc już o usatysfakcjonowaniu wymagającego nauczyciela. Nie byłem wybitnym uczniem, ale myślę, że w swojej klasie należałem do grona... najwybitniejszych, chociaż różne wieści na ten temat krążyły. To oczywiście żart, bo w rzeczywistości byłem na matematycznym indeksie.

Czy wiedział Pan wcześniej o literackich fascynacjach szkolnego matematika twórczością Gałczyńskiego?

– Ani ja nie wiedziałem o poetyckich fascynacjach profesora, ani on nie wiedział o moich amatorskich podrygach recytatorskich. Nie było po prostu warunków ani możliwości, by chwalić się grą na organkach, gdy trzeba było uruchomić wiertarkę, frezarkę albo szlifierkę.

A jak doszło do zawarcia zaskakującego (nieformalnego) porozumienia: „szkolna recytacja wierszy Gałczyńskiego w zamian za przychylność nauczyciela matematyki”?

– Zdarzało mi się niekiedy uciekać ze szkolnych lekcji, by recytować wierszyki w śródmiejskim Domu Kultury Włóknarzy. W trakcie jednej z imprez w tej placówce zobaczyłem z przerażeniem na widowni naszego pana od matematyki. W programie tamtej imprezy była

recytacja wierszy Gałczyńskiego. Wiedziałem, że następnego dnia ma być w szkole lekcja matematyki. W domu nie mówiłem nic o swoim przerażeniu, sugerując tylko, że trzeba będzie może zmienić szkołę.

I co?

– Na każdą kolejną lekcję matematyki przygotowywałem w efekcie tamtego wydarzenia nowy wiersz Gałczyńskiego, a klasa decydowała, czy dostaję zaliczenie z matematyki. Czasami zdarzało się nawet, że otrzymywałem to zaliczenie z plusem. Profesor nigdy nie oponował, gdy recytowane przeze mnie wiersze Gałczyńskiego były coraz to krótsze. Pamiętam, że na maturze podczas egzaminu ustnego przy tablicy profesor podszedł do mnie i cicho szepnął: zetrzyj to!

Czy to miało rzeczywiście wpływ na podjęcie przez Pana doniosłej decyzji o wyborze studiów w szkole aktorskiej i całkowitej rezygnacji z wykonywania zawodu: „technik-mechanik obróbki skrawaniem”?

– To nie była doniosła decyzja. To był raczej taki skok na golasa do basenu, w którym nie było wody. Ale dziś bardzo sobie cenię, że prof. Lubowski zauważył Talar. To było takie dostrzeżenie człowieka w całej jego złożoności. Po latach traktuję to jako element decydujący o moim życiowym wyborze. Wystarczyło przecież nie lubić Gałczyńskiego, a wówczas musiałbym pójść zapewne do szkoły zawodowej, bez żadnej szansy na uzyskanie matury, a w konsekwencji – bez żadnej szansy na objęcie w przyszłości dyrekcji Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

Jak kształtowały się Pańskie późniejsze relacje z bielskim pedagogiem?

– Myślę, że Talar nie był obojętny profes-

orowi. Po emisji spektaklu „Eryk XIV” Augusta Strindberga w Teatrze Telewizji (grałem tytułową rolę w przedstawieniu) zatelefonował do mnie i pogratulował mi sukcesu. Powiedział, że bardzo się cieszy, iż nie zawodzę pod względem artystycznym. Było to w okresie, w którym kierowałem Teatrem im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. Uważam, że profesor już w bielskiej szkole wiedział, co robi dla Talara. Dzisiaj jeszcze raz mówię: dziękuję, profesorze!

Czy w Pańskiej wieloletniej karierze teatralnej i filmowej zdarzyły się przypadki powrotu do poetyckiej twórczości Gałczyńskiego?

– Może to dziwne, ale nigdy później nie myślałem o tym. Widocznie mój Gałczyński był tylko i wyłącznie dla Tadeusza Lubowskiego. I niech tak zostanie!

W mazurskiej osadzie Pranie nad Jeziorem Nidzkim znajduje się legendarna leśniczówka Gałczyńskiego, która w latach 1950–1953 była jego ulubionym miejscem pracy twórczej. Czy miał Pan okazję obejrzeć ją z bliska?

– Tak. Pojechałem tam jako uczeń SP nr 11 w Bielsku-Białej. Wziąłem udział w szkolnej wycieczce pod opieką nauczycielki, Bronisławy Wójcik.

A jak Pan ocenia twórczy dorobek Gałczyńskiego na tle dokonań innych polskich poetów?

– Gałczyński to jeden z najwybitniejszych polskich poetów, choć dziś trochę zapomniany. Ale jego czułość, jego prostota, jego muzykalność nie pozwolił losowi się „wymyszkować”.

Na koniec pragnę powiedzieć, że miło mi, iż mogłem rozmawiać z synem mojego bielskiego profesora sprzed lat. Tadeusz Lubowski odrzucił, lecz pamięć pozostała.

Bilans dotychczasowych dokonań

W zeszłym roku Rada Gminy Kozy (rodzinnej miejscowości Henryka Talara) przyznała zasłużonemu aktorowi tytuł honorowego obywatela tej dużej (13-tysięcznej) wsi w powiecie bielskim. Warto ponadto przypomnieć, że w latach 1997–1999 był on dyrektorem Teatru Polskiego w Bielsku. Z powodzeniem występował m.in. na deskach teatrów Szczecina, Kalisza, Częstochowy i Warszawy. Jego niektóre role filmowe i telewizyjne przeszły bez wątpienia do historii rodzimej kinematografii. Zsłynął świetnymi kreacjami w: „Soli ziemi czarnej” Kazimierza Kutza (1969), serialu „Polskie drogi” Janusza Morgensterna (1976–1977), nieśmiertelnej komedii „Kochaj albo rzuć” (trzecia część dziejów wiejskich rodzin Kargula i Pawlaka z 1977 roku) oraz w filmach „Prymas – trzy lata” w reżyserii Teresy Kotlarczyk (2000) i „Kler” Wojciecha Smarzowskiego (2018).

fot. Z. Lubowski



Leśniczówka Gałczyńskiego z pomnikiem poety na pierwszym planie

Szkoła ponienormalna (1)

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Rok szkolny 2021/22 będzie – miejmy nadzieję – normalny, a raczej: ponienormalny. Nic nie wróci w stare koleiny. W życiu – przeciwnie niż w logice – podwójna negacja nie działa. Zburzony dom można odbudować, ale to już będzie nowy dom, inny niż stary, bo tymczasem wszystko się trochę zmieniło i w technologii, i w naszych potrzebach, i w otoczeniu. Szkoła też nie będzie taka sama jak kiedyś. O wielu sprawach zdecydować przypadek, ale kierunek zmian w kształceniu młodzieży nie powinien być przypadkowy. Dalszym rozwojem możemy odpowiedzialnie sterować, a na pewno możemy o tym dyskutować już dziś, przed końcem roku szkolnego 2020/21.

Kubeł zimnego... optymizmu

Popandemiczną normalność należy prognozować z dużym wyprzedzeniem w tych dziedzinach, w których prognoza jest możliwa i potrzebna; gdy nie jest prorokowaniem, ale przygotowaniem. Piszę o tym z pewnym poczuciem *déjà vu*, bo już dobre dwadzieścia lat temu („Śląsk” nr 11/2000) opublikowałem optymistyczny artykuł pt. *Spółczesność informacyjna rodzi się na Śląsku*. Założyłem horyzont niezbyt odległy: rok 2010 i rozpatrywałem takie zagadnienia jak **teleedukacja, telepraca, m-biznes, teleopieka, telemedycyna, kultura** i in. Wydawało mi się, że wkrótce pokonamy wszelkie technologiczne ograniczenia i wykorzystamy internet do wielkiego skoku w epokę powszechnej dostępności wszelkich usług informacyjnych.

Niestety – u progu trzeciego tysiąclecia spoglądałem na świat oczami inżyniera informatyka, który widział rzeczywiste, czyli gigantyczne możliwości w technologii, ale nie doceniał rzeczywistej, czyli gigantycznej inercji tkwiącej w człowieku. A człowiek zbyt wielkich zmian nie lubi. Nawet zmian w dobrym dlań kierunku. Każda bowiem zmiana narusza czyjeś interesy i natychmiast wywołuje reakcję. Nieważne czy racjonalną, czy irracjonalną. Ważne, że przeciwną.

Zawody dobrej przyszłości

Górny Śląsk, który mógł wyznaczać trendy rozwojowe całej Polsce, zacukał się na problemie największego własnego obciążenia, jakim jest górnictwo. Moralne prawo do wypowiedziania się na ten temat daje mi pozycja byłego sztygara dolowego i autora przepelnionej miłością do górnictwa książki pt. „Szychtownica” (III wyd., Muzeum Śląskie 2014). W emocjonalnym sporze między obrońcami polskiego węgla a eurokratami stają zdecydowa-

nie po stronie górników. Ale nie o wszystkim mogą decydować emocje.

Zadaję pytanie następujące: czy chcemy, żeby nasi synowie i wnukowie wydobywali węgiel na powierzchnię, czy raczej chcemy na powierzchnię wydobyć górników, by tworzyli oni swoje własne biznesy, by realizowali swoje, a nie nasze, marzenia. Innymi słowy: jaką widzimy przyszłość dla Śląska. Czy będzie to wytykany palcami skansen surowcowy, czy kraina kreująca rozwój?

Pracowałem zazwyczaj na poziomie 780 lub 840 (KWK Bielszowice), ale często musiałem schodzić poniżej 1000 metrów. Znam panujące tam warunki, koszty wydobycia, konieczne predyspozycje i wymagane kwalifikacje. To nie są zawody dobrej przyszłości! Własnych synów ani wnuków bym tam nie wysłał. Owszem, za sto, dwieście lat, gdy wszędzie na świecie zostanie wybrany tani węgiel z płytszych pokładów i gdy nauczymy się efektywnie wydobywać energię z pokładów głębokich bez koniecznej stałej obecności człowieka na dole, wtedy – proszę bardzo – róbmy to. Teraz pozostawmy raczej pod ziemią rezerwę strategiczną w takim stanie, by w razie ekstremalnego kryzysu można było stopniowo przywracać wydobycie. Im niżej zejdziemy, tym będzie o to trudniej.

Kierunki kształcenia

Debata o przyszłości górnictwa ma charakter zewnętrzny i nadrzędny względem szkolnictwa zawodowego. Jeżeli bowiem na Górnym Śląsku mają być lokowane przemysły wysokiej technologii, to trzeba przygotować kadre, a jeżeli mamy nadal kopać węgiel – należy po-



Projekt okładki: Jerzy Rożałowski

rzędnie doinwestować szkolnictwo górnicze: od szkoły zasadniczej przez technika do politechniki.

Tego rodzaju dylematy mają podstawowe znaczenie dla organizatorów szkolnictwa. Bo obowiązkiem systemu kształcenia (od zerówki do doktoratu) jest przygotowanie młodzieży do dorosłości, w tym do pracy zarobkowej. W przeciwnym razie absolwenci zasilą armię bezrobotnych albo wyjadą z kraju, albo sami na jakichś kursach będą musieli się czegoś pożytecznego nauczyć, czyli ponownie ponieść koszty kształcenia, bo szkoła nie wykonała swojego podstawowego zadania.

Tak więc szkoła o przyszłości górnictwa nie dyskutuje, tylko przyjmuje do wiadomości decyzje polityczne, zawsze bardziej zależne od siły negocjatorów niż od siły argumentów. Ale z zawodami przyszłości jest więcej problemów. Skąd dyrektor szkoły ma wiedzieć, jakie kwalifikacje będą za kilka lat potrzebne uczniom rozpoczynającym dopiero naukę na poziomie ponadpodstawowym? Przecież nie może zarządzić – dla absurdalnego przykładu – że od tego roku zamiast krawców będziemy kształcić szewców. To są kosztowne decyzje. Trzeba zatrudnić innych nauczycieli zawodu, wymienić park maszynowy, zaadaptować nowe pomieszczenia itd. Tego nawet nie może nakazać starosta ani kurator, jeżeli nie da pieniędzy na reorientację publicznej szkoły.

Zanim jednak zastanowimy się nad sposobami wyznaczania popandemicznych kierunków kształcenia – gwoli uporządkowania tematu – przypomnijmy sobie, jak rozwiązywano lub jak rozwiązywały się podobne problemy w PRL i w III RP.

Lata tużpowojenne

Rok 1945 to nie tylko zniszczenia, ale też solidne – po wojsku – przeszkolenie techniczne wielu Polaków. Kadry robotnicze i średniego szczebla dysponowały umiejętnościami przydatnymi w odbudowie przemysłu. Brakowało jednak kapitału, a własność, która zachowała się w rękach prywatnych, została zmarnowana przez nacjonalizację.

Niemiecki okupant z premedytacją mordował wykształconych Polaków, a młodzieży nie pozwalał osiągnąć nawet matury. Do epoki powojennej startowaliśmy więc z zupełnie innego punktu niż państwo niemieckie, gdzie kadra wyższa zachowała się niemal w komplecie. W dodatku czas wojny to – realnie – „złote lata” rozwoju niemieckiej nauki technicznej i organizacji przemysłu. Również nieludzkie eksperymenty na ludziach dały istotny impuls niemieckiej nauce medycz-

nej, chemicznej i farmacji. Z kolei utraconych na wojnie robotników szybko zastąpili uciekinierzy ze wschodu, później *gastarbeiterzy*, a prawie nietknięty kapitał prywatny mógł powracać z bezpiecznych przystani i pracować jeszcze przed Planem Marshalla (1948) bez obciążeń na rzecz obrony kraju, zapewnionej przez USA.

Rozpatrujemy tu kwalifikacje pracownicze, nie kapitał. Należy więc odnotować relewantne aspekty gospodarki. Niemcy – z przemysłem częściowo zniszczonym, ale systematycznie odbudowywanym i znacznie mocniejszym niż przed wojną – mogły kontynuować **gospodarkę opartą na wiedzy i kapitale**. Natomiast Polska – pozbawiona swych elit i odcięta od Planu Marshalla – była zdolna tylko do prac prostych. Nadrobienie dystansu wymaga mądrze ukierunkowanej pracy wielu pokoleń. Pracy ukierunkowanej na rozwój, na przyszłość. Nie na tradycję, choćby najszlachetniejszą. Bo zmarniejemy.

W nowych granicach

W PRL znalazło się wiele zakładów, produkujących wcześniej na potrzeby zbrojeniowe Niemiec. Zostały one pozbawione narzędzi i maszyn, wywożonych na zachód, a po przejściu frontu – na wschód. Ze Śląska wywożono całe fabryki. Pozostały jednak warsztaty szkoleniowe, które nie uległy zniszczeniu. Spora część wyposażenia tych warsztatów zawczasu „zabezpieczyli” sami pracownicy, o czym później – w pamiętnikach – chętnie pisali. Załączek bazy szkoleniowej istniał i szybko wzrastał, a w wielu miejscach do pracy powrócili przedwojenni nauczyciele zawodu ze swoimi bezcennymi kwalifikacjami.

Druga połowa lat czterdziestych – pod rozpatrywanym względem – charakteryzowała się względnie dobrym dostosowaniem ludzkich umiejętności do odbudowy kraju i do nowych potrzeb gospodarki socjalistycznej, a władze państwa sprzyjały zasadniczemu kształceniu zawodowemu i pełnemu zatrudnieniu. Również w **latach pięćdziesiątych** – w miarę możliwości – dawano młodzieży takie wykształcenie, jakie było potrzebne ówczesnemu przemysłowi i kolektywizowanemu rolnictwu (przy narastającym zaniebawianiu usług). W **latach sześćdziesiątych** rządzący zdali sobie jednak sprawę, że ekstensywną gospodarkę socjalistyczną należy przestawić na nowe tory i odpowiednio zmienić kształcenie, zwłaszcza wyższe (np. na Politechnice Śląskiej zbudowano wtedy ogromny, wręcz wizjonerski Wydział Automatyki, Elektroniki i Informatyki).

Lata siedemdziesiąte

Dekada gierkowska charakteryzowała się znamieną ewolucją systemu kształcenia zawodowego. Powszechnie uświadamianym celem stało się powiązanie

tego systemu z potrzebami dynamicznie, choć tylko punktowo rozwijającego się przemysłu. W wielu ówczesnych programach kształcenia zawodowego wprowadzano nowe jakościowo treści, wynikające głównie z budowy licencyjnych zakładów przemysłowych jak np. FSM, Ursus, Huta Katowice, Piaseczno.

Względnie pewne dyrektywy, obowiązujące w rozwiniętej gospodarce Zachodu. Polegało to m.in. na tym, że na pierwszy plan nie wysuwano już pełnego zatrudnienia, lecz – nowość w systemie – koordynację fachowo przygotowanych zespołów pracowniczych (pełne zatrudnienie utrzymywało się samo z powodu niskiej wydajności ogólnej).

W latach siedemdziesiątych już nie tylko bogaty Zachód i Japonia, ale cały świat przeżywał szybki rozwój technologiczny. W każdym niemal domu pojawiała się pralka, lodówka, mikser, maszyna do szycia, odkurzacz czy radio tranzystorowe, a telewizor coraz częściej musiał być kolorowy. Powszechnym marzeniem stał się własny samochód! Te trendy zostały szczęśliwie w PRL zauważone i władze próbowały modernizować gospodarkę z dobrym (początkowo) skutkiem. Ktoś musiał te – potrzebne ludziom – dobra produkować, a najpierw: nauczyć się nowych technologii.

Opisywane przemiany zostały (wybiórczo) wzmocnione masowymi stażami i praktykami inżynierów, techników i robotników polskich w nowoczesnych fabrykach Zachodu. Rykoszet tych pozytywnych trendów uderzył w polską naukę, która dopracowała się już wówczas wartościowych teorii, ale nie zostało to docenione przez władze ze względu – jak zwykle – na niespójność kapitalistycznych wzorców z dominującą ideologią.

Lata osiemdziesiąte...

Starsi to dobrze i boleśnie pamiętają, a młodzieży trzeba powiedzieć, że nastąpił wtedy głęboki regres w zakresie nauki i polityki edukacyjnej, spowodowany m.in. zaniechaniem współpracy z przemysłem zachodnim, a na rozwój przemysłu krajowego brakło kapitału. Władze próbowały zaradzić kryzysowi stanem wojennym, ale w rozpatrywanej teraz dziedzinie postępował regres.

Należy też odnotować, że najlepiej wykształcona kadra przemysłowa, która już zetknęła się z nowoczesną organizacją wytwarzania, masowo opuszczała kraj, a jej cenne kwalifikacje służyły odtąd niepolskiemu pracodawcom. Dotychczas podkreślano aspekty polityczne i nie kojarzono masowych wyjazdów stażowych (lata 70.) z emigracją (lata 80.), która oznaczała nie tylko ilościową, ale i – czego nie doceniano – jakościową utratę siły roboczej w Polsce. Kolejna strata fachowych elit.

W **latach dziewięćdziesiątych i późniejszych** nie podejmowano w skali kraju znaczących pod względem społecz-

nym i gospodarczym działań na rzecz wzmocnienia roli kształcenia zawodowego, a zwłaszcza jego powiązania z rzeczywistymi potrzebami nowo formującego się rynku pracy. Wręcz przeciwnie; do połowy pierwszej dekady XXI w. zlikwidowano lub przekształcono ok. 8 tys. szkół zawodowych na podstawie kryteriów intuicyjnych – niekiedy trafnych – ale: nie dzięki informacji opartej na dowodach.

Należy jednak odnotować znamieny wyjątek – Międzygminny Ośrodek Doradztwa i Orientacji Zawodowej – pierwsze w Polsce obserwatorium rynku pracy, utworzone w roku 1993 dzięki samorządowej koalicji Gliwic, Zabrze, Knuruwa i Pyskowic. Twórcą MODiOZ-u był dr **Bohdan Łukaszewicz**, pod kierunkiem którego powstały pionierskie badania, analizy i projekty. Niektóre przetestowane w Gliwicach rozwiązania, np. **monitoring** zawodów deficytowych i nadwyżkowych, znalazły się w późniejszych ustawach, regulujących cały krajowy rynek pracy.

Przed pandemią

Do roku 2020 Polska nie dopracowała się jednak – **opartego na dowodach** – systemu podejmowania decyzji o kierunkach kształcenia (podażowa strona rynku pracy). Codziennie powstają nowe miejsca pracy, wymagające zatrudnienia pracowników o jakościowo nowych umiejętnościach zawodowych. Tymczasem wciąż dominuje pogląd, że – w edukacji – można finansować działalność dowolną, zgodną z przekonaniem osób odpowiedzialnych za szkolnictwo, a nie za gospodarkę.

Jednym ze skutków – lekceważącego polskie potrzeby – kształcenia zawodowego jest drenaż zasobów pracy, realizowany pod osłoną zwodniczo nazywanych systemów, jak **Eures**, **Europass**, a także **Europejskie Ramy Kwalifikacji**. Również inne koncepcje (np. European Labour Authority z rocznym budżetem 50 milionów euro) pomagają państwom rozwiniętym w wyciąganiu najbardziej aktywnych, młodych pracowników z biedniejszych regionów świata.

Cele tych systemów i programów brzmią bardzo szlachetnie, a niektóre skutki bywają (indywidualnie) pozytywne. Teraz jednak zajmujemy się skutkami społecznymi, uważanymi w Europie za uboczne, a w Polsce za coraz bardziej szkodliwe: obciążaniem krajów biednych kosztami edukacji i czerpaniem pożytków z pracy absolwentów w krajach bogatych. Ma to drugorzędne znaczenie, gdy chodzi o pracę na zmywaku i absolutnie pierwszoplanowe, gdy Polska traci lekarzy, inżynierów czy naukowców. Należy mieć na uwadze, że **Euresy**, **Europassy** itp. nie powstały w celu rozwiązywania problemów polskich. Przeciwnie. Każdy kraj dba o własne interesy. Ale... widzę, że strona się kończy, więc opowiem o tym za miesiąc.

Śląskie tajemnice cz. 36

Czy na Śląsku powstanie skansen XIX-wiecznej fortyfikacji?

Szansa dla Lisiej Góry

PAULINA FRĄTCZAK

Fort Piechoty nr 4 „Lisia Góra” we Wrocławiu jako instalacja wojskowa stracił militarne znaczenie jeszcze przed drugą wojną światową. Na przestrzeni dekad pojawiały się różne pomysły co zrobić z budowlą, która była jedynie kłopotem dla kolejnych gospodarzy. Wojsko Polskie pozbyło się obiektu jeszcze przed upadkiem PRL, przekazując go oficjalnie władzom miejskim Wrocławia, w praktyce pozbywając się problemu. Od tej chwili pozbawiony ochrony i realnie niczyj kompleks staje się pomału wysypiskiem śmieci, ale pojawiła się szansa, by diametralnie zmienić ten stan rzeczy.

XIX-wieczne fortyfikacje to dla obecnych władz miejskich – nie tylko w Polsce – spore wyzwanie. Monstrualne forty, uzupełnione mniejszymi obiektami, czyniły twierdze z takich miast jak Kraków, Przemyśl, Wrocław, Poznań, Warszawa, Toruń, Kłodzko, Nysa i wielu innych. Wiele z tych obiektów, jako przeszkody krępujące rozwój miejskiej aglomeracji, rozebrano jeszcze w latach 20. i 30. XX wieku, inne, zniszczone podczas II wojny światowej, podzieliły ich los po roku 1945. Nieliczne z różnym skutkiem wykorzystywano w celach gospodarczych – jako pieczarkarnie, hurtownie, magazyny. Pozostałe w znacznej większości pozostawiono własnemu losowi, choć w ograniczonym zakresie ich destrukcja niestety trwa nadal – o czym świadczy np. los fortu „Prądnik Biały” w Krakowie, rozebranego kilka lat temu. Napawają natomiast optymizmem losy tych, które znalazły troskliwych gospodarzy i obecnie stanowią nie tylko zabytek dawnej architektury, ale też ściągają turystów, czego dowodzi np. Fort Gerharda w Świnoujściu, funkcjonujący jako muzeum militarne oraz ośrodek lekcji i pokazów żywej historii. Reszta tego typu fortyfikacji trwa niejako w stanie zawieszenia – choć monstrualne ceglane i betonowe mury są zbyt potężną strukturą, by zniszczyli je przeciwni wandalowie, to jednak już dawno



fol. Paulina Frątczak / Fundacja „Vestigium”

złomiarze powycinali stalowe elementy ich wyposażenia jak np. drzwi pancerne, nigdy też nie wiadomo, czy nie znajdzie się inwestor o władnięty wzrzą wybudowania w takim zapomnianym miejscu galerii handlowej czy centrum logistycznego – oczywiście w miejscu rozebranego wcześniej fortu. W ostatnim czasie, los wydaje się uśmiechać do jednej z tego typu budowli we Wrocławiu.

– Zamierzamy podjąć wysiłki, aby objąć opieką wrocławski fort, a dokładniej schron piechoty „Lisia Góra” przy ul. Przejazdowej – wyjaśnia Wojciech Banasik, sekretarz Fundacji Ochrony Zabytków Dolnego Śląska „Vestigium”. – Gromadzimy odpowiednią dokumentację i będziemy jako fundacja występować do stosownych władz o możliwość dysponowania obiektem. W pierwszej kolejności mamy zamiar uprzętnąć jego teren i odpowiednio go zabezpieczyć, gdyż lata bez należytej opieki wystawiły teren tej budowli na pastwę losu. Wyrzucano tu śmieci, w pomieszczeniach fortu, stanowiących prawdziwy labirynt, ktoś podpalał opony, być może złomiarze opalali tam kable z izolacji. Ewidentnie widać, że od lat nikt nie interesuje się

stanem tej fortyfikacji, która mogłaby stać się prawdziwą atrakcją turystyczną i ciekawym zabytkiem architektury regionu.

Jak przyznają członkowie zarządu fundacji „Vestigium”, fort pomimo dewastacji otoczenia znajduje się w stosunkowo dobrym stanie, gdyż nigdy bezpośrednio nie brał udziału w walce. Być może najbardziej narażony na zniszczenie był w roku 1945, gdy podczas oblężenia Wrocławia Niemcy włączyli go w system obrony miasta, jednak Rosjanie nawet nie próbowali go zdobywać. W dniu kapitulacji twierdzy, 6 maja 1945 roku, dostał się w ich ręce bez walki. Dla zdobywców też nie przedstawiał on wielkiej wartości.

– Dawny Fort Piechoty nr 4, po opuszczeniu przez wojska sowieckie na początku lat 50. przekazany został po wstępnym rozpoznaniu saperskim stronie polskiej. Władze wojskowe początkowo nie były zainteresowane wykorzystaniem obiektu, toteż fort użytkowany był przez pewien czas przez PGR Sołtysowice. Dopiero w 1953 roku wykonano inwentaryzację budowlaną obiektu, który przekazany został Komendzie Wojewódzkiej Terenowej Obrony Przeciwnotniczej – mówi Wojciech Bana-



Jeden z obiektów Fortu „Lisia Góra”



Jeden z tzw. schronów pogotowia wchodzących w skład fortu



Zachowane w świetnym stanie obetonowane stanowiska strzeleckie



Ukryte pod ziemią korytarze fortu tworzą rozległy labirynt



sik. – W nieznanym niestety momencie dokonano daleko idącej przebudowy obiektów wchodzących w skład Fortu Piechoty nr 4, najprawdopodobniej na zapasowe stanowisko kierownika KW TOPL. Na potrzeby tej przebudowy, wtórnie podzielono wnętrza kazamat schronu głównego, zainstalowano urządzenia filtrowentylacyjne, służy gazoszczelne oraz kotłownię. Schron pogotowia na lewym barku przekształcono w schron agregatu prądotwórczego, wybudowano także nową bramę wjazdową.

Pomimo szeregu zmian, które zmieniły nieco pierwotny kształt otoczenia fortu, już w latach 80. przestał on być zupełnie potrzebny. W pierwszej kolejności wojsko zaprzestało konserwacji instalacji elektrycznej i wodnej oraz systemu wentylacyjnego, następnie teren zamknięto i pozostawiono własnemu losowi. Oficjalnie armia pozbyła się go jeszcze w latach PRL.

– W dniu 15 maja 1987 roku, Fort Piechoty nr 4 znalazł się we władaniu miasta Wrocławia. Od tego dnia rozpoczyna się w dziejach fortu okres dewastacji i zapomnienia – dodają pasjonaci z Fundacji „Vestigium”.

I tak było przez kolejne lata aż do tej pory. W roku bieżącym schron obchodzić będzie swoje 130 urodziny. Powstał jako jeden z pierwszych tego typu obiektów, gdy Prusacy podjęli decyzję o ufortyfikowaniu Wrocławia. Można przyjąć, że obiekt powstał w okolicy roku 1891, na pewno zbudowano go w pierwszym etapie budowy twierdzy, trwającym w latach 1890–1892, gdy wzniesiono szereg typizowanych schronów piechoty na prawym, północnym brzegu Odry. Jednym z wybudowanych wówczas obiektów, był Fort Piechoty nr 4. Było to efektem podjętej nieco wcześniej decyzji o rozpoczęciu we Wrocławiu budowy twier-

dzy pierścieniowej, która zapadła dnia 9 maja 1889 roku na skutek rozbudowy systemu bezpieczeństwa państwa niemieckiego po wstąpieniu na tron Wilhelma II. Rubież obronna twierdzy, oparta na budowach fortyfikacji stałej, w tym właśnie północnym sektorze miała umożliwiać przede wszystkim powstrzymanie marszu wroga przez Widawę i nieistniejący obecnie ciek wodny nazywany Czarną Wodą. Jednocześnie z budową fortyfikacji rozpoczęto budowę składów gromadzących materiał mobilizacyjny (tj. drut kolczasty, blachy faliste do budowy schronów polowych i półstałych oraz inne niezbędne materiały).

Przed pierwszą wojną światową dzieła fortyfikacyjne twierdzy wrocławskiej nie były obsadzone przez wojsko. Fortyfikacje dozorowane były przez przedstawicieli personelu inżynierskiego i fortyfikacyjnego, wnętrza natomiast wykorzystywane były dla zmagazynowania materiałów służących w ra-

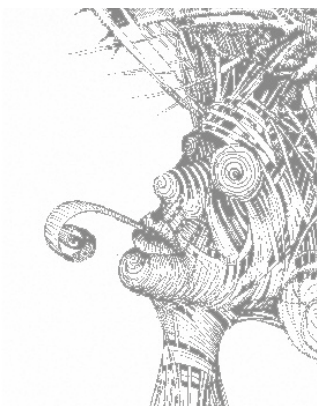
zie zagrożenia rozbudowie fortyfikacji. Na terenie obiektów gromadzono również sprzęt artyleryjski.

W roku 1915 zagrożenie rosyjskim natarciem zostało odsunięte od Wrocławia. W 1917 zagrożenie to zanikło całkowicie, toteż rozpoczęto demobilizowanie twierdzy i przywracanie krajobrazu do pierwotnego stanu. Roboty te w jakimś zakresie objęły również Fort Piechoty nr 4. W 1918 roku pierwsza wojna światowa zakończyła się porażką Niemiec i państw centralnych. Budowle fortyfikacyjne były już wówczas w dość znacznym stopniu zdekompletowane i zaniedbane. Po pierwszej wojnie światowej forty i schrony Twierdzy Wrocław wykorzystywane były jako magazyny wojskowe, nie podjęto właściwie żadnych działań zmierzających do wzmocnienia ich właściwości obronnych.

Co ciekawe, kompleks fortyfikacji Lisia Góra to nie tylko betonowe kazamaty i stanowiska strzeleckie.

– Ważnym elementem Fortu Piechoty nr 4 jest zieleń taktyczna, zarówno przeszkodowa jak i maskująca – wyjaśnia Wojciech Banasik. – W celu zamaskowania obiektu nasadzano krzewy na ziemnym przykryciu schronu głównego oraz schronów pogotowia. W partii zieleni wysokiej nasadzono szpaler grabów na wale szyi oraz akacje mające po osiągnięciu odpowiedniego wieku ukrywać urządzenia fortu przed rozpoznaniem zarówno naziemnym, jak i lotniczym. Na skarpach nasadzano głogi, mające wzbogacać przeszkodę przeciwpiechotną, wystawianą w razie mobilizacji, jak też optycznie deformować płaską linię ogniową obiektu. Dawna zieleń taktyczna, chociaż obecnie mocno zdziczała, stanowi integralny element urządzeń obronnych Fortu Lisia Góra i dbałość o tę roślinność także jest ujęta w naszych zamierzeniach dotyczących tego obiektu. ■





ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Alech mu nazdała!

Zaczął się od rozmowy z mieszkającym w Polsce Czechem Zdenkiem, który swoje imię etymologicznie łączył z *Zenonem*. Nie było to trafne skojarzenie. *Zenon* jest tworem greckiego pochodzenia, a jego pierwotne znaczenie łączy się z imieniem boga *Zeusa*. Najprawdopodobniej był to na początku *Zenodotos* „dar Zeusa”, a *Zenon* jest skróconym wariantem tego złożenia. Czeskiego *Zdenka* natomiast długo wywodzono od *Sydoniusza* – grecko-lacińskiego imienia pochodzącego od nazwy fenickiego miasta *Sydonu* (*Sydoniusz* – „człowiek z *Sydonu*”). Ostatnio jednak zdecydowanie zwycięża słowiańska koncepcja jego pochodzenia, dostrzegająca w nim podstawę – *de* – „działać” i przedrostek *z* – (mówi się o strukturalnej analogii *Z-de-nka* do rosyjskiego czasownika *s-de-lat* „zrobić”). Skoro jednak widzi się także w *Zdenku* potoczny wariant imienia *Zdeslav*, który potem przekształcił się w brzmienie *Zdislav*, w moim odczuciu – tak jak w polskim *Zdzisławie* i jego dawnym wariacie *Zdziesławie* – podstawą słowotwórczą jest tutaj prasłowiański czasownik *deti* „kłaść”, *zdeti* „położyć”.

By temat *Zdenka* wyczerpać, powiedzmy, że jego żeńskimi odpowiednikami są *Zdena*, *Zdenka*, *Zdeniczka*. Telegrafistka *Zdeniczka Święta* na przykład jest jedną z postaci „Pociągów pod specjalnym nadzorem” Bohumila Hrabala. To na jej gołych poślądkach dyżurny ruchu *Całusek* odbił wszystkie służbowe pieczęcie. Któż nie pamięta tej słynnej sceny z nagrodzonego Oscarem w roku 1967 filmu *Jirzego Menzla*?

Na rdzeniu *zdeti* – a mówiąc ściślej na jego polskim kontynuancie *zdać* – oparty jest dobrze znany w śląskich gwarach czasownik *nazdać* – „nakłaść ko-

muś, nawtykać, nawymyślać, nagadać komuś”, wariant formy *nawciepować* (*komuś*). Czytamy w „Małym słowniku gwary Górnego Śląska” Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowicz z roku 2000: „Aleś ji to nazdała!”, „Wiluś, musiołbych ci nazdać, ale ci przebocza”, „Niy mogłeś zaroz nazdać tymu chacharowi!”, „Nazdałach tyj klachuli, aży ji do piynt wlazło”, „Aleś mu nawciepowala, bydzie d(ł)ugo pamiynto!”, „Ale mi nawciepowoł, chyba już niy póda dó niego”.

Ilekróć zaś słyszę o *nazdaniu komuś* – „nawymyślaniu, nagadaniu komuś”, przypomina mi się opowieść w hrabalowym stylu jednej z moich ciotek. Podzieliłem się przed laty tą historyjką z widownią Domu Muzyki i Tańca w Zabrze w czasie finałowych zmagani konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku”. Otóż moja bardzo długo żyjąca ciotka w ostatnich latach swego życia była głucha. Kiedy więc zmarł jej mąż, poprosiła go we śnie, a przychodził do niej bardzo często, żeby jej u Pana Boga załatwił przywrócenie słuchu. Przyrzekł jej to. Kiedy jednak po paru tygodniach czekania ciotka słuchu nie odzyskała, w czasie kolejnego spotkania we śnie wyrażała mężowi swoje rozczarowanie i rozgoryczenie z właściwą sobie szczerością i ekspresją: „Alech mu nazdała! – opowiadała mi z przejęciem. A na koniec pedziałach mu: tuś był dupa i tames jest dupa!”. Zabrzańskie audytorium gruchnęło gromkim śmiechem!

Tak jak w języku ogólnym konstrukcje typu *alem mu nagadał*, *aleś mu nagadał*, *aleśmy mu nagadali*, *aleście mu nagadali* możemy zamieć na warianty *alem mu nagadałem*, *alem mu nagadałeś*, *ale mu nagadałiśmy*, *ale mu nagadałiście*, tak samo syntagma *alech mu nazdała*

może być zamieniona na *ale mu nazdałach*. Do owego zaś *nazdałach* możemy dołączyć typowe dla śląskich gwar postaci 1. osoby liczby pojedynczej czasu przeszłego i trybu przypuszczającego *musiołech*, *dostołech*, *napisołech*, *czytołech*, *widziołech*, *słysziołech*, *grołech*, *siedziołech*, *stołech* – *musiołbych*, *dostołbych*, *napisołbych*, *czytołbych*, *widziołbych*, *słysziołbych*, *grołbych*, *siedziołbych*, *stołbych*. To wygłosowe „-ch” – odpowiednik „-m” języka ogólnego – to pozostałość po prasłowiańskim aoryście, jednym z dawnych czasów przeszłych, znanym jeszcze pisarzom szesnastowiecznym pochodzącym z Małopolski i ze Śląska. Z literackiego języka wyszedł on z użycia w wieku XVII, ale w gwarach śląskich używany jest do dziś. To kolejny głęboki archaizm w mowie naszego regionu.

A skoro na początku dzisiejszego odcinka pojawiło się imię *Jirzi* w czeskiej postaci, dopowiedzmy, że kiedy przeszło ono do polszczyzny, zmieniło się w *Jerzy* (bo w naszym języku pierwotne połączenia głoskowe *-ir-*, *-irz-* zmieniały się w *-er-*, *-erz-*: *Jirzi* w *Jerzy* – tak jak *wirzba*, *wirzch*, *cierpieć*, *sirce* przeszły w brzmienia *wierzba*, *wierzch*, *cierpieć*, *sierce*, dzisiejsze *serce*). W dawnej czeszczyźnie wariantem *Jirzego* był *Jurzi*. On też do języka polskiego przyszedł, ale się w nim nie ostał. Zdążono jednak od niego urobiono serię zdrobnień *Jurek*, *Juruś*, *Jurczyk*, *Jureczek*, *Jurunio*.

Na Śląsku popularny jest *Jorg*, *Jorguś* (zwłaszcza w starszych pokoleniach), bliższy niemieckim formom *Georg*, *Joergen*, *Joerg*.

U początków zaś wszystkich tych postaci stoi grecki rzeczownik *georgos* – „rolnik, wieśniak”.

Charyzmatyczny Piotr Beczała

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI



foto Wit Hadlo

W Międzynarodowym Dniu Teatru, 27 marca 2021 roku większość teatrów była przepełniona smutkiem w związku z lockdownem i niemożnością obcowania z artystami. Natomiast Piotr Beczała był szczęśliwy, ponieważ miał 3 koncerty w Madrycie, gdzie otwarto teatry i sale koncertowe. Śpiewał w słynnej sali Auditorio Nacional de Música *Pieśń o Ziemi* Gustava Mahlera z niemieckim barytonem Matthiasem Goerne, a towarzyszyła im Hiszpańska Orkiestra Narodowa pod dyrekcją Davida Afkhama. Natomiast Wiener Staatsoper odwołała zaplanowany spektakl *Carmen* z nim jako Don José (transmitowany z Wiednia w lutym tego roku z Beczałą i gruzińską mezzosopranistką Anitą Rachvelishvili), a Teatr Wielki – Opera Narodowa nie może zaprosić w kwietniu na wznowienie wybitnego *Werthera* Masseneta z wielką kreacją Piotra Beczały w partii tytułowej (o którym pisałem po premierze w „Słasku” 10/2020, w portalu ORFEO i w amerykańskim wortalu muzycznym OperaWire). W maju ma zaplanowane kolejne koncerty w Teatro Real w Madrycie oraz w Pałacu Muzyki w Barcelonie. Sytuacja pandemiczna zmienia się tak dynamicznie, że obecnie najlepszym źródłem aktualnej wiedzy o jego występach na świecie stała się strona na Facebooku: www.facebook.com/PiotrBeczala, gdzie śpiewak zaprasza także na transmisje i retransmisje radiowe, telewizyjne oraz internetowe, między innymi z Metropolitan Opera i Wiener Staatsoper. W przyszłym roku ma powrócić na deski MET jako Książę Mantui w operze *Rigoletto* Verdiego i Leński w *Eugeniuszu Onieginie* Czajkowskiego.

Dane mi było poznać osobiście słynnego tenora kilka lat temu. Nie udaje, nie stwarza sztucznego dystansu, ma czarujący uśmiech, a równocześnie jest znakomicie zorganizowany i nie traci czasu na nieistotne rzeczy. W maju 2019 roku byłem w Filharmonii Podkarpackiej w Rzeszowie na finałowym koncercie Muzycznego Festiwalu w Łańcucie, wspaniale zorganizowanego przez prof. Martę Wierzbieniec. Grała Polska Filharmonia Kameralna Sopot pod dyrekcją maestro Wojciecha Rajskiego. Podczas koncertu w Rzeszowie wręczyłem Piotrowi Beczale Nagrodę im. Bogusława Kaczyńskiego „Złotą Muszkę” za wybitne osiągnięcia w dziedzinie wokalistyki operowej i propagowanie najwyższych wartości kultury

muzycznej na świecie. To pierwszy laureat tej nagrody, zainicjowanej przez wielkiego przyjaciela Bogusława Kaczyńskiego, wieloletniego dyrektora telewizji i prezesa Edipresse Polska, a także przewodniczącego Rady Fundacji ORFEO – Zbigniewa Napierałę. Statuetkę zaprojektowała wybitna artystka dr hab. Hanna Jelonek, dziekan Wydziału Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Jest to miniaturowa rzeźba z posrebrzanego brązu, z pozłacaną muszką i marmurową podstawą. Na rzeźbie wygrawerowane zostały fragmenty Poloneza As-dur op. 53, zwanego *Heroicznym*, Fryderyka Chopina.

Jak kiedyś Jan Kiepusza – chłopiec z Sosnowca, tak teraz Piotr Beczała, chłopak ze Śląska, urodzony w Czechowicach-Dziedzicach, podbija wszystkie najważniejsze sceny operowe świata. Studiował w Akademii Muzycznej w Katowicach, a jego profesorem był Jan Ballarin, śpiewak Opery Śląskiej w Bytomiu, a następnie przez około 20 lat – czołowy tenor Operetki Śląskiej w Gliwicach. Bardzo dużo dały Beczale kursy mistrzowskie, prowadzone przez wielkie indywidualności, takie jak Pavel Lisitsian (ormiański baryton, gwiazda moskiewskiej Opery Bolsoj) i Sena Jurinac (chorwacko-austriacka sopranistka, śpiewająca w Mediolanie, Londynie, Wiedniu czy San Francisco). Tenor wiedział, że w Polsce nie zrobi światowej kariery i z odwagą wyjechał za granicę. Zdał przesłuchanie do Landestheater Linz, a w 1997 roku został przyjęty do zespołu śpiewaków Zürich Opera, gdzie kreował wiele pierwszoplanowych partii w operach Mozarta, Belliniego, Pucciniego, Verdiego, ale także w operetkach *Wesoła wdówka* Lehara i *Zemsta nietoperza* Straussa.

A w 2000 roku zaczęła się jego kariera w innych teatrach operowych Europy. Zaśpiewał między innymi w: *Eugeniuszu Onieginie* i *Królu Rogerze* w Amsterdamie, *Napoju miłosnym* w Hamburgu, *Czarodziejskim flecie* w Paryżu, *Rigoletcie* w Berlinie, *Kawaleru srebrnej róży* w Brukseli. Kolejny przełom nastąpił w 2004 roku, kiedy został zaproszony do Covent Garden w Londynie, na Salzburg Festival i do opery w San Francisco. Wreszcie 15 lat temu, w 2006 roku zadebiutował w mediolańskiej La Scali i nowojorskiej Metropolitan Opera. Nadal często występował w ZÜRICHU i Monachium, ale otworzyła się dla niego kolejna ważna scena dla międzynarodowej kariery – Wiener Staatsoper, z którą jest mocno związany.

W 2018 roku został nagrodzony Operowym Oscarem – International Opera Award i jest obecnie uznawany za najlepszego tenora lirycznego na świecie. Mówi się o nim także jako następcy Luciana Pavarottiego. W ubiegłym roku w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej byliśmy świadkami wielkiego wydarzenia: kreowania partii Jontka w *Halce* Moniuszki, po wielkim sukcesie w premierze Mariusza Trelińskiego w Wiedniu. Śpiewak ze Śląska może teraz wybierać repertuar, a nawet decydować o premierach. Kilka lat temu powiedział dyrektorowi Theater an der Wien, że wystąpi na tej scenie pod warunkiem, że zgodzi się wystawić operę Moniuszki – i w końcu się to udało!

Po wspaniałej premierze *Werthera* czekaliśmy z niecierpliwością na przełożony z lutego na marzec koncert Piotra Beczały w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej, który w końcu się odbył, ale... bez udziału publiczności. Koncert był dostępny na VOD TWON od 5 do 7 kwietnia. Jak zahipnotyzowany słuchałem bardzo urozmaiconego repertuaru w najlepszym na świecie wykonaniu, z towarzyszeniem znakomicie grającej orkiestry TWON pod batutą Łukasza Borowicza. *E lucevan le stelle* z *Toski* Pucciniego zaśpiewał lekko, bez jakiegokolwiek wysiłku, a równocześnie oddał wszystkie emocje zakochanego człowieka, żegnającego się ze światem tuż przed zaplanowaną egzekucją. Słuchałem pełnych liryzmu i ekspresji, nieskazitelnych wokalnie, interpretacyjnie i dykcyjnie arii, z perfekcyjną wymową w obcych językach: *Nessun dorma* z *Turandot* Pucciniego, *Arii z kwiatkiem* z *Carmen* Bizeta czy *Mamma, quel vino è generoso* z *Rycerskości wieśniaczej* Mascagniego. Dużą część repertuaru wypełniły jednak polskie utwory. Po raz kolejny Piotr Beczała pokazał, że narodowy repertuar jest mu bardzo bliski. Zabrzmiały fragmenty dzieł Żeleńskiego, Moniuszki i Nowowiejskiego, a na koniec zaśpiewał niezwykle delikatnie i subtelnie pieśń Karłowicza *Pamiętam ciche, jasne, złote dni*, do pięknego wiersza młodopolskiego poety Kazimiera Przerwy-Tetmajera. Niech wreszcie powrócą jasne, złote dni bez codziennych komunikatów o tysiącach ludzi umierających na świecie z powodu szalejącego wirusa i obyśmy mogli bezpiecznie wrócić do teatrów operowych, podziwiając kunszt Piotra Beczały.

Joseph Roth, „Legenda o świętym pijaku i inne opowiadania”

MARIAN SWORZEŃ

Joseph Roth zostawił po sobie ogromny dorobek, od wielkich powieści po krótkie formy literackie – dzięki inicjatywie „Austerii” jest on od kilku lat systematycznie wznawiany. Kto sięgnie do tych książek spotka się z piarstwem żywym, wartkim, gwałtownym. Powieściowy świat Rotha to zasadniczo Austro-Węgry, ale już inaczej jest z reportażami i felietonistyką – tu rozrzut tematyczny i geograficzny jest znacznie większy: sięga nawet sowieckiej Rosji, do której udał się w roku 1926; w Polsce był wielokrotnie, śląc stąd teksty między rokiem 1924 a 1931.

Postanowiłem zająć się tylko jednym z jego utworów, bowiem w sposób idealny odpowiada zasadzie mego cyklu, a przedstawiam dzieła, w których ani

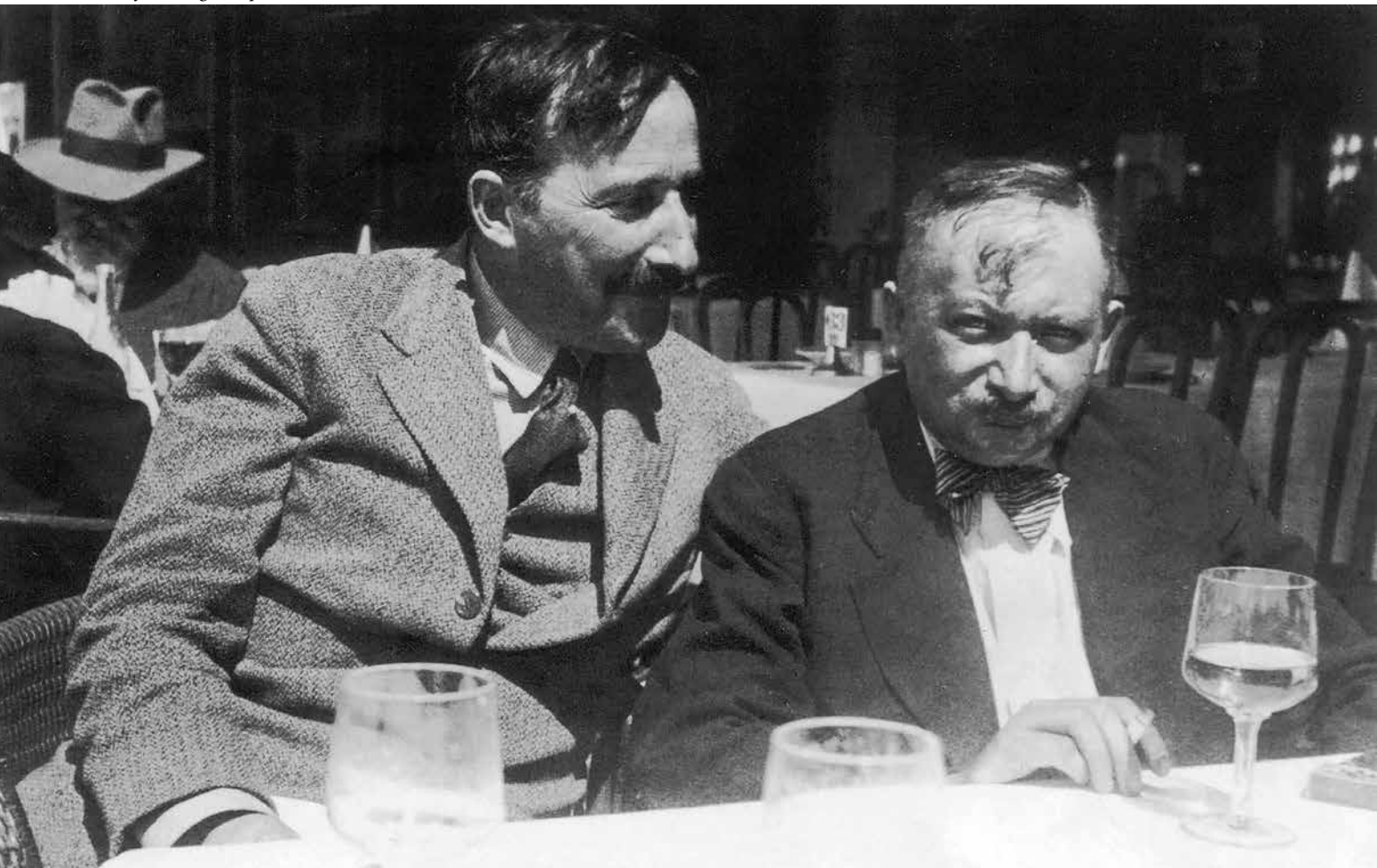
osoba twórcy, ani tytuł nie zapowiadają Śląska. Tak właśnie jest z „Legendą o świętym pijaku”, opowiadaniem, które ukazało się zaraz po śmierci autora (Roth zmarł w ostatnich dniach maja 1939 roku). Kilka rozdziałów „Legendy” wydrukowano na łamach prasy, a zaraz potem – staraniem holenderskiej oficyny – wydano jako książkę. Że nie stało się to w hitlerowskich Niemczech – to oczywiste, o Austrię nie ma co pytać, skoro zniknęła po Anslussie. Ostatnią ojczyzną pisarza była Francja, miastem odejścia – Paryż. Tam też – na przestrzeni jednego miesiąca – rozgrywa się fabuła „Legendy”...

Pierwsze wyrazy tytułu brzmią poważnie, zapowiadając średniowieczną hagiografię, ale ostatni – z trzaskiem

wyłamuje się z konwencji. Bo też słowo „pijak” oznacza zawsze upadek, bolesną kondycję, ludzki dramat, jednym słowem wszystko co przeciwne drodze do świętości. Jest ono więc swego rodzaju skazaniem na pobyt w celi, do której klucz został zgubiony, a więzień nie ma szans na pomoc. Nie wynika z tego bynajmniej, że ów uwięziony nie może stanąć wobec spraw wzniosłych i budujących, nie wyłączając cudu, którego jest świadkiem albo uczestnikiem. O tym opowiada Roth...

Rzecz dzieje się nad Sekwaną wiosną 1934 roku. Miesiąc wcześniej w stolicy Francji miały wydarzenia takie jak niedawno w Ameryce – demonstranci szturmowali parlament, padły strzały, były ofiary, doszło do zmiany władz.

Stefan Zweig i Joseph Roth, Ostenda, 1936 r. Fot. Lotte Altmann



Nasz bohater, Andrzej Kartak, nie miał jednak z tym nic wspólnego – jeśli z czymś walczył, to z ciężarem biedy i nałogu. Dni spędzał wśród nędzarzy takich samych jak on, spał pod mostami, żył z tego, co wyżebrał. Niedawno opuścił mury więzienia, nie miał bliskich, porządnego odzienia, dokumentów – nawet wspomnień. Aż tu zdarzyło się, że spotkany na bulwarze starszy mężczyzna zwrócił się do niego z ofertą pomocy – uczynił to w sposób delikatny, pytając Andrzeja wprost, ile mu potrzeba. Kiedy usłyszał, że starczy dwadzieścia franków, nieznajomy wręczył mu kwotę dziesięć razy wyższą. Nie dość tego – powiedział zaskoczonemu Andrzejowi, że zwrot pieniędzy nie wchodzi w grę, ale też zastrzegł, że gdyby obdarowany się upierał przy oddaniu, niech da ofiarę w kaplicy świętej Teresy. Wyjaśnił, że sam niedawno się nawrócił po lekturze żywota świętej z Lisieux, żyje skromnie, sypia również pod mostami. I zniknął.

Andrzej miał więc pieniądze. Poszedł do fryzjera, pozwolił sobie na dobry obiad, w lokalu poznał człowieka, który od ręki zaoferował mu płatną pracę przy przeprowadzce. Zamieszkał w pensjonacie, kupił portfel, przeczytał gazetę... Zaczęły wracać doń wspomnienia o ojcu – górniku, dziadku – chłopie, o dzieciństwie w maleńkich Olszowicach na Śląsku, o przybyciu za pracę do Francji, o harówce na kopalni, o zamieszkaniu u Karoliny, w której się zakochał, i, potem stając w obronie kochanki, zabił jej męża...

Zaczęli też pojawiać się ludzie, z którymi był kiedyś w różny sposób powiązany. Przypadkowo trafił na Karolinę – wspólnie spędzili kilka dni wspominając miniony czas. Spotkał też rodaka Wojtkę, z którym niegdyś pracował w kopalni. Znany piłkarz, Kaniak, chluba paryskiego klubu futbolowego, okazał się jego kolegą ze szkolnej ławy w Olszowicach – nadal pamiętający, że Andrzej kiedyś pozwalał mu odpisywać zadania, zafundował mu eleganckie ubranie i wynajął na cały tydzień hotelowy pokój z łazienką. Tym znajomościom towarzyszyły taksówkowe rozjazdy, posiłki w lokalach, alkohole wszelkiego rodzaju, wesołe kobiety, zabawy od nocy do rana. Kiedy poznał w hotelu tancerkę Gabby, oddał się namiętności, tracąc znowu pieniądze. Gdy po kilku dniach kochanka usłyszała od Andrzeja, że ma w planie spotkanie z małą Teresą – odeszła.

Cokolwiek się działo, Andrzej niezmiennie zamierzał stawić się w kaplicy i dać dwieście franków na tacę, traktując to jako sprawę honorową między sobą a świętą. Ilekroć jednak tam poszedł, było albo po mszy albo spotykał Wojtkę, kompana do picia. Nic dziwnego, że w końcu przyszedł dzień, kiedy An-

drzejowe środki się skończyły i tylko cud mógł dopomóc. I cud się wydarzył! Znowu pojawił się starszy pan z ofertą pomocy. Andrzej był uratowany, miał pieniądze.

Roth nie napisał tego wprost, ale przecież pomoc, której byliśmy dwukrotnie świadkami, była ewangelicznym daniem, takim, jakie zalecają święte karty – bez fanfary i liczenia na poklask, bez poniżającego wypytywania o szczegóły, bez baczenia lewicy na prawicę, bez czekania na podziękowanie, na zasadzie: „Potrzebujesz? Proszę. Daję ci dziesięć razy więcej niż chcesz”.

Minęło kilka dni, spędzonych jak poprzednio – w towarzystwie, z wydatkami, które nadwyrężyły kieszeń... Nadeszła kolejna niedziela... Andrzej, dotarłszy na miejsce po zakończeniu mszy, ruszył do biura. Miał ledwo parę groszy, ale oto policjant wręczył mu portfel w przekonaniu, że to jego zguba – w przegródce pugilaresu było dwieście franków. To, że pojawił się Wojciech, że wypili parę kieliszków, że ubył pieniądze – to nic nowego, była za to odmiana innego rodzaju: w lokalu siedziała ubrana na niebiesko panią, czekająca na przyście rodziców. Gdy Andrzej usłyszał, że ma na imię Teresa, zaczął rozmawiać z nią jak z prawdziwą świętą, dodając, że jest jej winny pieniądze. Ona, przecząc istnieniu jakiegokolwiek długu, wręczyła mu stufrankowy banknot. I wtedy Andrzej upadł nagle na ziemię blisko kontuaru. Kelnerzy i Wojciech, widząc jego stan, przenieśli go z lokalu do pobliskiej zakrystii. Za nimi podążyła Teresa. Tam w kaplicy wyzionął ducha.

Ostatnie słowa opowiadania brzmią: „Daj, Panie, nam wszystkim, nam pijakom, tak lekką i tak piękną śmierć”.

* * *

Zdecydowałem się na kilka dopowiedzeń. Czy dotyczą one spraw błahych, proszę osądzić...

W piątym rozdziale opowiadania czytamy: „Pochodził ze Śląska, z Olszowic”. Nie idzie mi wcale o to, że próżno szukać na Śląsku takiej miejscowości (owszem, jest za Krakowem), rzecz w czym innym. Oto fragment niemieckiego oryginału: „Er stammte aus Olschowitz, aus dem polnischen Schlesiens”. Roth – w roku 1939 – pisał o polskim Śląsku, ale nie ma tego w przekładzie. Drobiazg? Nie sądzę.

W opowiadaniu odnalazłem – cho-

Joseph
Roth

Legenda
o świętym pijaku
i inne opowiadania

ciaż być może sam nadałem mu taki charakter – niewielki, mocno zawaolowany polski akcent. Otóż częścią skromnego przyrodziewku Andrzeja, jeszcze nim kupił porządne ubranie, był „czernono-biały prążkowany krawat, zaciągnięty dokoła sfatygowanego kołnierzyka”. Skoro, pośród setek możliwych kolorystycznych kombinacji tej części garderoby, autor uczynił taki właśnie wybór, nie wydaje mi się on przypadkowy. Nie wiem również, czy detal ten został zachowany w filmowej wersji dzieła z Rutgerem Hauerem w roli głównej. Filmu tego, z roku 1988 i w reżyserii Ermanno Olmiego, do tej pory nie widziałem. Zamierzam tę zaległość w bliskim czasie nadrobić, zaś wynik „krawatowych” sprawdzić... zostawić wyłącznie dla siebie.

Na tylnej okładce książki widnieje fragment eseju Claudia Magrisa o twórczości Rotha. Magris, pisząc o „lekkiej śmierci” z „Legendy”, uznał ją – w ujęciu ogólnym, historycznym – za symboliczne pożegnanie z cywilizacją Mitteleuropy, bo „nie przypadkiem Andrzej pochodzi ze wschodu Polski”. Cóż! – jakby nie patrzeć, Śląsk nigdy nie leżał na wschodzie Polski. Nie przypadkiem błąd ten nie pochodzi od Rotha..

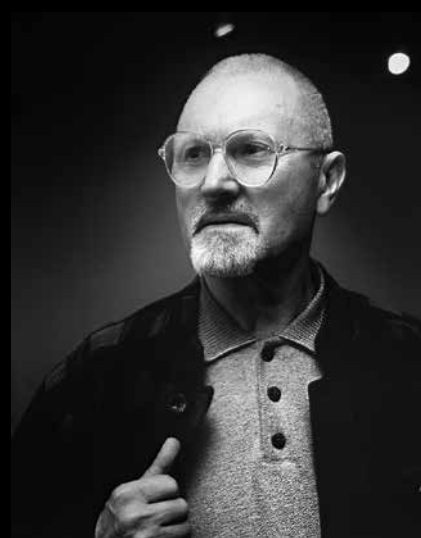
Tłum. Tadeusz Zawierucha. Wydawnictwo Austeria, Kraków * Budapest 2016, strony 224–259.

O Śląsku: 227, 233.

Odszedł Edward Szopa

W wieku 86 zmarł Edward Szopa – pisarz i reportażysta, autor kilkunastu książek, długoletni współpracownik miesięcznika „Śląsk”. Bardzo często pisał o tym, co przeżył i czego doświadczył.

MARCIN HAŁAŚ



Urodził się w małopolskich Muniaczkowicach dnia 6 stycznia 1935 roku, czyli – co często podkreślał – w Święto Trzech Króli. W jego książkach kilkakrotnie pojawiał się bohater o imieniu Kacper – alter ego autora.

Szopa studiował polonistykę w Opolu, tam debiutował jako poeta. Jak opowiadał: *– Tkwiłem w środowisku dziennikarzy i młodych, zapowiadających się literatów. To była taka zawodowa i towarzyska konieczność. Wszyscy byli przekonani, że również ja piszę wiersze. Kiedy pracowałem w „Dzienniku Zachodnim” w Opolu, jedna z koleżanek zapytała mnie: „Edziu, wysłałeś już teksty na Wiosnę Poetycką?”. Co było robić – tak zobligowany musiałem sprostać pokładanym we mnie nadziejom, napisałem wiersz i dzięki niemu zostałem laureatem wyróżnienia Opolskiej Wiosny Poetyckiej. Tak się zaczął Szopa jako poeta.*

Przyjechał na Śląsk i zamieszkał w Bytomiu. Na początku lat 70. był członkiem działającego w Bobrku Klubu Literackiego Słowień. Dzisiaj bytomski Bobrek ma opinię „trudnej” dzielnicy złomiarzy i patologii. Wówczas odbywały się cykliczne Bobrkowskie Biesiady Literackie, sponsorowane przez Dom Kultury tamtejszej huty, na które przyjeżdżała czołówka polskich pisarzy.

Debiutował w 1971 roku zbiorem wierszy „Światłość lasu”. Poezję szybko porzucił – zaczął pisać opowiadania, potem tzw. mikropowieści, ale w jego prozie pozostała skłonność do poetyckiego języka. Był także reportażystą, piszącym najczęściej i najchętniej o kulturze i jej twórcach. W latach 80. był etatowym dziennikarzem redagowanego w Katowicach tygodnika „Katolik”. Po 1995 roku został stałym autorem miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” i ta współpraca trwała dopóki nie zakończył swojej twórczej aktywności.

Pisał najczęściej o tym co sam przeżył, czego doświadczył. W tym sensie jego twórczość prozatorska była – używając terminu Stachury – „życiopisaniem”. Zbiór opowiadań „Biały fort” dotyczył problemów pracy z trudną młodzieżą, a właśnie w ośrodku dla takiej Szopa przez pewien czas pracował jako wychowawca. „Didi” to opis wojaży po Bułgarii i romansu z mieszkanką tamtego kraju. Z kolei „Rzeźba z bliźną” dzieje się w Bytomiu i jest opowieścią o przyjaźni autora z miejscowym rzeźbiarzem Stanisławem Pietrusą.

W rozmowie, jaką przeprowadziłem z nim dla lokalnego „Życia Bytomskiego” Edward mówił: *– Po prostu – pisarz musi mieć ciekawe życie. Ja pisarsko – miałem bardzo ciekawe życie, chociaż (a może właśnie dlatego!) tułałem się po jakiś obrzeżach życia. A jeśli się dostałem w jego główny nurt – to stamtąd wycofywałem się znów na peryferie, aby właśnie stamtąd móc patrzeć, z jakiego miejsca się wyrwałem. Żadna z moich książek nie powstała przy kominkowej zadumie.*

Szopa nie ukrywał, że kiedyś zmagiał się z nałogiem i że od ponad 40 lat jest trzeźwym alkoholikiem. Mówił we wspomnianym wywiadzie: *„Od 6 stycznia 1979 roku nie piję, jestem trzeźwy. W tym dniu otrzymałem dar powtórnych narodzin. Przed tamtą datą byłem ciężki jak ołów i chodziłem po dnie. Dopiero, kiedy stałem się trzeźwy – w pełni zdałem sobie z tego sprawę”. W czasach, gdy trawiła go choroba alkoholowa pracował w katowickim oddziale Urzędu Kontroli Prasy i Widowisk – jakby jedno bagno wciągnęło go w drugi koszmar, wszak pisarz powinien być strażnikiem wolności słowa, a nie jego cenzorem.*

O tym jak destrukcyjna jest choroba alkoholowa napisał swoją najlepszą książkę – powieść pt. „Synagorlica”. To książka, którą można śmiało

zestawić z takimi dziełami literatury polskiej jak „Lęki poranne” Grochowiaka czy „Pod mocnym aniołem” Pilcha. Śmiał jednak twierdzić, że „Synagorlica” jest lepsza od powieści Pilcha – zarówno w warstwie artystycznej, jak i w przekazie. Bo napisana została z innej pozycji – człowieka, który doświadczenie alkoholu ma już za sobą, przeszedł przez nie jak przez mroczną dolinę i wyszedł, więc nie ma powodów go mitologizować, usprawiedliwiać, oswajając. Dodajmy, że przy tym wszystkim jako człowiek Edward Szopa pozostał daleki od sekciarskiej mentalności niektórych trzeźwych alkoholików, którzy z własnym nie-piciem (będącym zresztą wynikiem tylko i wyłącznie sprawą woli, tak samo jak spożywanie alkoholu) obnoszą się niczym z laurem męczeństwa i triumfu zarazem. Pamiętam, że kiedyś przywiózł mi z Czech butelkę Beherovki, innym razem podarował otrzymaną od kogoś w prezencie butelkę „Finlandii”.

Przyjaźniliśmy się. Recenzowałem jego książki, zamawiałem i redagowałem teksty dziennikarskie. Przez wiele lat spotykaliśmy się regularnie co dwa tygodnie przy kawie lub pizzy w Bytomiu, żeby pogadać o literaturze i życiu. Był dobrym człowiekiem, a równocześnie człowiekiem bardzo wrażliwym, zranionym – nawet żartem – potrafił długo nosić w sobie urazę. Był dobrym człowiekiem – to na pewno, ale czy szczęśliwym? Nie wiem.

Zmarł w Lublinie, do którego często wyjeżdżał odwiedzić mieszkającego w tym mieście brata. Właśnie w Lublinie miał się zaszczepić przeciw COVID-19, ale przed szczepieniem zaraził się tą chorobą i zmarł. Życie – a raczej śmierć – potrafi pisać ironiczne scenariusze. Po kremacji w Lublinie urna z jego prochami spocznie w rodzinnych Muniaczkowicach. Na Śląsk już nie wróci. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Dezyderata. Fakty, konteksty asocjacje

Dezyderata to polskie po prostu tłumaczenie łacińskiego słowa „Desiderata”. W swej istocie odnosi się do tego, co jest wartościowe, cenne, ważne, godne wskazania i realizacji. Ale to także nazwa utworu, który stał się trwałym elementem polskiej kultury. Nastąpiło to dzięki żywiołowo, ale i sentymentalnie wykonywanej pieśni przez krakowskich „piwnicznych artystów”. W ten sposób utwór stał się swoistym hymnem „Piwnicy pod Baranami”. Co o tym zacydowało? Wiele czynników. Zarówno tekst tajemniczej „Dezyderaty” pochodzącej z końca XVII wieku, jak i muzyka, a wreszcie artyzm wykonania. W latach realnego socjalizmu, ale i w latach późniejszych – my jako Polacy – czekaliśmy na wypowiedzi o głębszych wartościach humanistycznych, uniwersalnych, odrwanych od bieżących dylematów politycznych. Uciec od tragicznej, socjalistycznej „nowomowy”. W świadomości wielu „Dezyderata” funkcjonowała jako przykład apokryfu. A trwałe i znaczące miejsce apokryfów w kulturze jest oczywiste. Zarówno dla ich anonimowych twórców, a potem przez wieki dla ich nosicieli. Były ważne dla uporządkowania niezrozumiałego świata. No i dodajmy – literatura apokryficzna jest też w konsekwencji ważna dla jej badaczy. A zatem dla historyków, badaczy religii, folklorystów, a od pewnego czasu także antropologów kultury. Owe fascynacji uległ też Piotr Skrzynecki, jednak on wiedział, że „Dezyderata” nie jest apokryfem. Że nie przynależy do popularnej na ziemiach polskich kategorii „listów z Nieba”. Ich autorem zgodnie z ludowym przekonaniem jest Chrystus, a aniołowie sprowadzali je do ludzi. Dlatego były otaczane szacunkiem, swoiście sakralizowane. Na to liczył niezastąpiony Skrzynecki. Ale prawda dotycząca tekstu jest inna, prozaiczna.

Otóż gdzieś z początku lat siedemdziesiątych na drzwiach krakowskiej katedry psychiatrii prowadzonej przez wybitnego Antoniego Kępińskiego, nadto też humanistę i filozofa, Skrzynecki zobaczył tekst „Dezyderaty”. I od tego momentu zaczęła się jej obecność w kulturze polskiej. Ale gwoli ścisłości dodajmy, że ów tekst zamieszczony został też w książce Kazimierza Jankowskiego „Hipisi w poszukiwaniu ziemi obiecanej”. To był rok 1972.

Natomiast od „odkrycia” Skrzyneckiego na zakończenie każdego wieczoru artyści „Piwnicy pod Baranami” śpiewali ten utwór. A jej ostatni wers brzmiał: „znaleziony w starym kościele świętego Pawła Baltimore. Datowane 1692 rok”. To nadało mu autorytet doby minionej, wielowiekowego trwania. A wybitny socjolog i etnolog Jan Stanisław Bystron pisał, że owe teksty uświęcone mocą Najwyższego „krążyły potajemnie od chaty do chaty. Ulegały oczywiście przez tak długą wędrówkę rozmaitym zmianom, ale bez trudu możemy stwierdzić, że mamy tu do czynienia z tym samym zjawiskiem powracającym przez wieki”. Lud żyjąc w konkretnym systemie aksjologicznym ustawicznie potrzebował potwierdzenia jego wartości. Także w czasach realnej komuny, nawet później, w wolnej Polsce. Każdy potrzebuje nadziei. Tekst stwarzał szanse wyjaśnienia spraw, dylematów i postaw wobec rzeczywistości.

Tekst „Dezyderaty” zawiera jakże cenne wskazania dla jednostki i wspólnoty. Już przecież pierwsze zdanie brzmi:

„Przechodź spokojnie przez hałas i pośpiech i pamiętaj, jaki spokój można znaleźć w ciszy. O ile to możliwe bez wyrzekania się siebie, bądź na dobrej stopie ze wszystkim”. Oczywiście tego rodzaju myśl odbiega od prostoty wypowiedzi ludowej. Ale jednak odnaleźć je można w literaturze apokryficznej. Natomiast w przypadku

„Dezyderaty” dostrzec można wpływ protestantyzmu. Dodajmy tu za antropologiem Czesławem Robotyckim, że w omawianym utworze jednak zauważa się swoisty sensualizm, czyli po prostu brak różniczenia aspektów rzeczywistości. Ale też nie oszukujmy się – swoisty synkretyzm. „Dezyderata”, pochodząca rzekomo z 1692 roku, nie jest jednak apokryfem. O tym wiedział Skrzynecki, środowiska twórcze, ale wiedzieli nawet krakowscy „włodarze” kultury w dobie realnego socjalizmu. Kapitalnie wskazywała uwagę na ową umowę wspólnego milczenia ikona „Piwnicy pod Baranami” Ania Szała-pak, doktor etnografii, wybitna znawczyni krakowskich szopek. Wreszcie niezapomniana odtwórczyni pieśni „Chwalmy Pana”, a krytyk sztuki Seweryn A. Wi-słocki wyjaśniał, że tekst typu ludowego mogła zaakceptować krakowska władza polityczna. Ale informacje o autorstwie „Dezyderaty” były już zakazane. Dlaczego? Bo jej autorem był amerykański poeta Maximilian Ehrmann żyjący w latach 1872–1945, nie dość, że poeta, to jeszcze prawnik. Czyli można go zaliczyć do nurtu „agresywnego imperializmu kulturowego” skierowanego wobec Polski. Utwór pochodzi z 1927 roku, natomiast ogłosiła go dopiero żona po śmierci poety. Było to w 1948 roku, czyli w latach „zimnej wojny”, a w dwa lata później został umieszczony na łamach parafialnej gazety kościoła w Baltimore. Zaczęło się nowe życie tekstu.

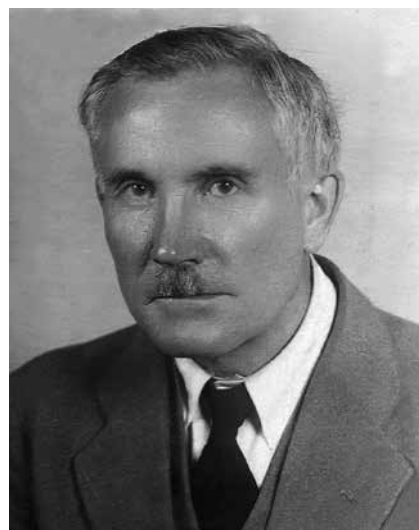
Każde zdanie utworu intryguje i zachwyca. Też końcowe:

„Tak więc żyj w zgodzie z Bogiem, czymkolwiek On ci się wydaje, czymkolwiek się trudnisz i jakiegokolwiek są twoje pragnienia, w zgiełkliwym pomieszaniu życia zachowaj spokój ze swą duszą. Przy całej swej złudności, znoju i rozwinanych marzeniach jest to piękny świat.

Bądź uważny. Dąż do szczęścia”. ■

Ślązak ekspatriowany. Rzecz o Ryszardzie Gansińcu

ANTONI WILGUSIEWICZ



fot. arch.

Z równą [jak żonę] miłością kocham i Polskę, a Lwów teraz mi Polską. Z krwawym sercem patrzę na piękności tego szlacheckiego miasta, na ten symbol Polski i polskości, który powoli tonie w barbarzyństwie stepu...

Te piękne słowa zapisał w swoich *Notatkach lwowskich* Ryszard Gansiniec, rodowity Ślązak, którego ojciec Ignacy był maszynistą hutniczym w Hucie Laura w Siemianowicach Śląskich. Jaką drogę życiową przeszedł Ryszard z domu rodzinnego, w którym wychowywali go – jak to sam określał – prości robotnicy, rodzice dziesięciorga dzieci, do tego by zostać światowej sławą filologiem klasycznym, profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie? Jego postać jest znana, choć z pewnością zasługuje na większe upamiętnienie poza rodzinnym miastem, gdzie doczekał się ulicy swego imienia; na przykład w tworzonym obecnie Panteonie Górnośląskim. Dobrą okazją do tego jest nowe, znacznie wzbogacone wydanie jego *Notatek lwowskich*, które opracowała i wydała po raz pierwszy w 1995 roku jego córka o niezwykłym imieniu Radość.

Ryszarda Gansińca (wcześniej do 1949 roku używał formy nazwiska – Ganszyniec) można nazwać – odwrotnie niż Wojciecha Kilara – lwowianinem ze Śląska. Wykształcony na uniwersytetach niemieckich, czuł się Polakiem, dlatego podjął krótkotrwałe zatrudnienie jako profesor w Warszawie i Poznaniu, skąd w 1920 roku – w uznaniu dotychczasowego dorobku naukowego – powołano go jako profesora zwyczajnego filologii klasycznej w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Podczas swej pracy uniwersyteckiej znajdował też czas na propagowanie wiedzy o antyku przede wszystkim wśród młodzieży polskiej, wydając pismo *Filomata* i związane z nim liczne publikacje na temat kultury antycznej. Dał się też poznać jako zdecydowany przeciwnik pojawiającego się w kręgach akademickich antysemityzmu, określając tzw. getto ławkowe mianem barbarzyństwa.

Bardzo przywiązany do miasta, w którym przyszło mu żyć i pracować, nigdy nie zapomniał o rodzinnych Siemianowicach, w których w wybudowanym przez ojca domu (zmarł w 1938

roku, 20 lat po śmierci żony, Elżbiety) mieszkało jego rodzeństwo – jedna z siostr była przeoryszą w klasztorze Boromeuszek przy ul. św. Barbary w Siemianowicach. Odwiedzał także Siemianowice i troszczył się o nie; tak np. w 1938 roku ofiarował Kołu Filomatów w Siemianowicach księgozbiór wraz z szafą biblioteczną. Jak pisał: „Tam, w Siemianowicach, się urodziłem i chciałbym, by tam wśród komińców hutniczych i zwalów węglowych duch humanistyczny nie wegetował, lecz żywym był płomieniem, jak tamtejsze piece wysokie”.

Jako polski patriota we wrześniu 1939 roku zgłosił się ochotniczo do służby w obronie Lwowa. Po wkroczeniu do miasta wojsk sowieckich pozwolono mu na dalszą pracę na Uniwersytecie. Ożenił się wówczas ze swoją byłą studentką, Zofią Przygodą, z którą miał dwoje dzieci o niezwykłych imionach – wspomnianą Radość oraz starszego od niej o dwa lata syna Orlana. Okres okupacji niemieckiej przepracował jako urzędnik na budowie Chłodni we Lwowie; przed ponownym wkroczeniem wojsk sowieckich do Lwowa żona z dziećmi, chroniąc się przed bombardowaniami, wyjechała do Strzyżowa nad Wisłokiem, a Ryszard niedługo potem objął ponownie katedrę filologii klasycznej na uniwersytecie, teraz już ukraińskim – imienia Iwana Franki. Tego właśnie okresu dotyczy jego *Notatki lwowskie*, niezwykle świadectwo losów autora i polskiej profesury na tle sowietyzacji miasta *Semper Fidelis*.

Problemy, które opisuje Ryszard Gansiniec (w formie listów do żony Zofii) są kilku rodzajów. Najbardziej osobistym jest rozłąka z nią i dziećmi, spowodowana wprowadzeniem granicy państwowej między Polską, a ZSRR, w którym znalazł się Lwów. O ile jeszcze w czasie trwania wojny mógł swobodnie odwiedzać ją w Strzyżowie, o tyle później stało się to bardzo trud-

fot. arch.

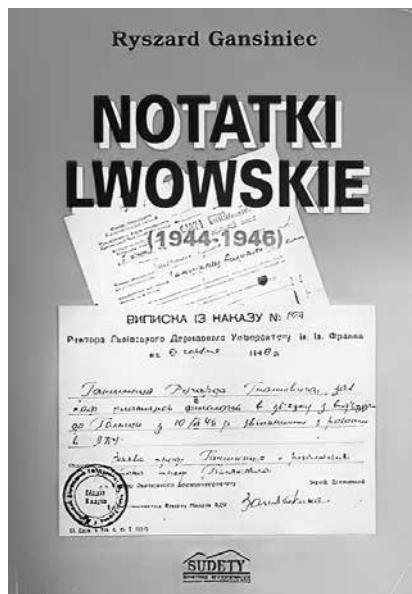


Tzw. Stary Uniwersytet Lwowski

ne, a w zasadzie niemożliwe – granica w Medyce stała się dla niego zapo-
rą nie do przejścia. Głównym powodem
były ucieczki do Polski osób, które
nie miały na to zgody władz. W tej
sytuacji pozostało mu przekazywanie
listów i paczek dla rodziny poprzez
osoby przekraczające granicę, na przy-
kład kolegów profesorów, którzy uda-
wali się na stałe dla Polski. Z oczywi-
stych względów było to trudne i nieregularne, a dla Ryszarda, który niezwykle mocno kochał swoją młodą żonę i dwójkę kilkuletnich dzieci rozłąka taka była bardzo bolesna.

Sytuacja bytowa profesora w powojennym Lwowie była niezwykle trudna we wszystkich wymiarach, poczynając od najbardziej podstawowych, jak zdobywanie pożywienia i ubrania. Pensja uniwersytecka, nie dość, że bardzo niska, była wypłacana nieregularnie i okrawana przez różnego rodzaju świadczenia na rzecz państwa. W notatkach znajdujemy wiele relacji ze zdobywania elementarnych środków do życia: pożywienia, ubrania, opału. Trzeba zresztą powiedzieć, że profesor – jak na humanistę – dawał sobie z tym radę nienajgorzej, być może wpływ na to miało wychowanie w niezamożnej, śląskiej rodzinie. Często można znaleźć tu zdania typu: „W gastronomii dają teraz oliwę – bardzo niesmaczną i gorzką. Kolega twierdzi, że to oliwa techniczna, i ja mu wierzę, więc oliwa do smarowania maszyn”; „I dzisiaj pranie – skarpetki, czy raczej to, co ze skarpetek zostało”.

Najbardziej dramatycznym momentem tego okresu było aresztowanie profesora, zresztą wraz z liczną grupą polskiej inteligencji i pobyt w więzieniu przy ulicy Łąckiego. Zarzuty były absurdalne, chodziło tu wyłącznie o sterroryzowanie pozostających jeszcze we Lwowie Polaków i zmuszenie ich do wyjazdu do Polski w nowych



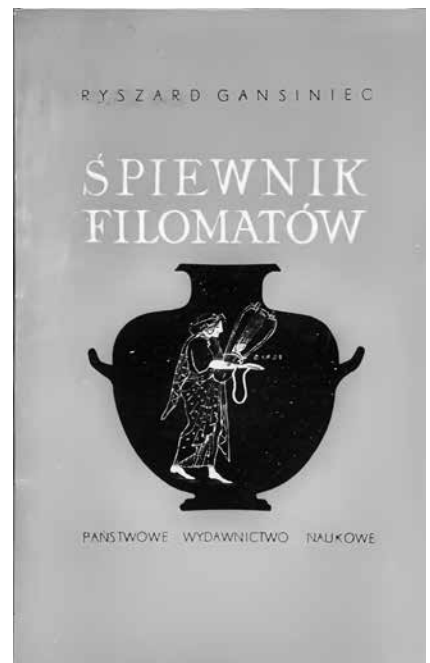
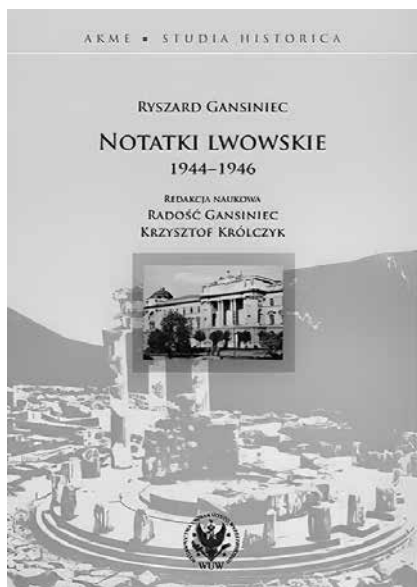
granicach. Pomimo związanych z tym uciążliwości – pobyt w wieloosobowej celi wśród nie zawsze pozytywnie nastawionych do siebie współwięźniów – udało mu się uniknąć wywózki do pracy w kopalniach Donbasu, co spotkało wielu innych, jak na przykład znanego profesora Politechniki Stanisława Fryze, później jednego z założycieli Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Po wypuszczeniu okazało się, że mieszkanie profesora przy ulicy Obertyńskiej zostało zajęte przez oficera NKWD, a wiele rzeczy osobistych – w tym książki i notatki niezbędne do pracy naukowej – zarekwirowane. Dzięki niezwykle determinacji i cierpliwości zdołał wprowadzić się z powrotem do swego mieszkania, jednak duża część rzeczy przepadła bezpowrotnie.

Głównym dylematem profesora i wielu innych lwowskich i kresowych Polaków było w tym czasie – pozostać czy wyjechać. Do pozostania skłaniały ich wielowiekowe tradycje historyczne polskości na tych ziemiach czy po prostu przywiązanie do nich; lędzono się nadzieją, że szybko zmieni się sytuacja międzynarodowa i Lwów pozostanie polski. Z drugiej strony stałe naciski władz, szerszy się terror, fatalne warunki życia – w tym także uliczny bandytyzm, skłaniały do wyjazdu w nieznaną z nadzieją na lepsze jutro. Wyjazd ten następował stopniowo; profesor Gansiniec należał do tych, których patriotyzm, przywiązanie do polskości Lwowa, utrzymywał wciąż na miejscu. Dzięki temu miał okazję do obserwacji totalitarnego ustroju sowieckiego i dzielenia się refleksjami o jego istocie; pisał np. „...w Sowietach człowiek utracił prawo do swej osoby i stał się tylko śrubką w wielkiej maszynie, do woli używaną albo miotaną w kąt”. Z przykrością też stwierdzał, jak system radziecki łamie sumienia ludzi; wśród składających wiernopoddane oświadczenia byli też niestety i jego koledzy profesorowie.

Stopniowo i najwytrwalsi rejestrowali się na wyjazd do Polski; 25 V 1946 zrobił to także profesor Gansiniec. Jako uczonego o wielkim dorobku i autorytecie władza radziecka starała się go za wszelką cenę zatrzymać w Uniwersytecie, nagle obiecując ogromną poprawę warunków życia i pracy. Decydująca jednak była dla niego chęć połączenia się z rodziną, nawet kosztem porzucenia pracy naukowej, co brał pod uwagę. Były to już ostatnie dni polskości we Lwowie, 3 czerwca zamknięto wszystkie kościoły prócz katedry, a księży wypędzono. Wtedy to profesor zapisał cytowane na wstępie piękne słowa pożegnania z Miastem, które stało się dla niego drugą – obok Śląska – Małą Ojczyzną.

10 czerwca opuścił Lwów wraz z transportem pracowników Uniwersytetu i Politechniki. Wyjazd taki ówczesne władze określały propagandowo jako repatriację, czyli powrót do ojczyzny, podczas gdy sami przedsiębiorcy nazywali to ekspatriacją czyli wyrzuceniem z ojczyzny. Paradoxs historii sprawił, że wśród zdążających na Śląsk ekspatriantów znalazł się także pochodzący stąd Ryszard Gansiniec. Po trzech (!) dniach był w Rzeszowie, skąd powiadomił żonę przebywającą już w Siemianowicach o swoim przyjeździe.

Zakończył życie jako profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w wieku 70 lat i został pochowany w Krakowie. Na jego pogrzebie chór studentów odśpiewał w języku łacińskim odę Horacego **Nieskazitelny w życiu, wolny od zbrodni**. Taki był profesor Ryszard Gansiniec, wielki humanista, wielki Ślązak, wielki lwowianin, wielki Polak. Czy znajdzie się dla niego miejsce w Panteonie Górnośląskim? ■



Fragmenty

WŁADIMIR ODOJEWSKI przełożył MARIAN KISIEL

Mówiono, że zło jest brakiem dobra, tak jak zimno brakiem ciepła; ale jeśli odbierając ciało ciepło, czynimy je zimnym, to znaczy, że zimno nie jest czymś nieistniejącym, ale przeciwnie, jest naturalnym stanem ciała.

* * *

Niedawno niektórzy myśliciele ośmielili się na podstawie jakiegoś mimowolnego ruchu, ruchu niewytłumaczalnego i niesprawdzonego, stwierdzić, że celem nauki jest sama nauka, a jej wtórną konsekwencją jest korzyść materialna; do dzisiaj cel nauki znajdują tylko w tym drugim; tak sądzono zarówno w okresie odnowy nauk, jak też w barbarzyńskich stuleciach po Chrystusie; i rzeczywiście, nauka w obecnym jej stanie może dążyć tylko do korzyści materialnych; znaczenie najwyższej korzyści jest jej nadawane arbitralnie, można je osiągnąć dopiero w przyszłości. W tym aktualnym znaczeniu rozumiemy zatem słowo nauka.

* * *

Szlachetna, wrzeszcząca jest skrucza grzesznika, ale o ileż bardziej szlachetna jest pokora wielkiego człowieka, który dokonawszy wielkiego dzieła, wyrzuca sobie, że nie uczynił więcej.

* * *

To, co teraz drukuje się i pisze, w starożytności musiało być zwykłym ustnym przekazem myśli. Wobec tego rodzaju wypowiedzi formułowano takie same zarzuty, jak wobec pisma i druku.

* * *

Powiedzieć, że istnieją granice ludzkiego ducha, może tylko ten, dla którego te granice nie istnieją.

* * *

Itylko on ma prawo powiedzieć, że człowiekowi nie jest dane pełne poznanie.

* * *

Cudowna inteligencja narodu rosyjskiego, podbudowana wiedzą spekulatywną, mogłaby zdziałać cuda.

* * *

Systemy spekulatywne prawie zawsze mają charakter religijny, nigdy zaś empiryczny.

* * *

Można dać niewierzącym poczucie możliwości połączenia ducha z materią za pomocą następującego rozważania: moja myśl jest nieskończona, niepoahamowana, w jednej chwili przemierza odległe przestrzenie i stulecia – ta myśl zaciska się w słowo, a potem w napisaną mowę, która jest materią wypełniającą przestrzeń i może zostać zniszczona.

* * *

Niektórzy niepotrzebnie boją się złych myśli; najczęściej społeczeństwo cierpi nie z powodu tej dolegliwości, ale z powodu braku myśli, a zwłaszcza uczuć.

* * *

Niebywale często napotykamy na tak fatalne myślenie społeczne: oto oskarżają człowieka, a wy go bronicie;

atakują was jako adwokata zbrodni, podczas gdy jesteście tylko obrońcą obwinionego.

* * *

W świecie fizyki panują wewnętrzne prawa natury, w świecie moralności – wola człowieka. Dlatego celem ludzkości jest osiągnięcie w swoich dziełach tej samej niezmienności, jaką widzimy w naturze.

* * *

Być może wynalezienie liter jest w rzeczywistości szkodziwym wynalazkiem dla człowieka lub, jak sądził jeden ze starożytnych pisarzy¹, człowiek od tego czasu zaczął zapominać o myślach, powierzając je znakom. Ale to mogło być prawdą tylko przed czasem druku; rzeczywiście, teraz autor nie ma wolnej chwili, żeby posługiwać się myślami, które sam stworzył, karmić się nimi, jak pszczoły wytworzonym przez siebie miodem; gdy tylko powierzył je papierowi, zapominał o nich – w jego głowie zrodziły się nowe; ale znowuż pierwsze nie działają już na tego samego człowieka, ale na całe kręgi ludzi, i w każdym z nich mogą uzyskać szczególny rozwój i zrodzić nowe obserwacje i odkrycia.

* * *

Za dowód na to, że ani jedna myśl ludzka, osiągając skrajny stopień swojego rozwoju, nie może stać się absurdem, mogą służyć głębokie słowa Sokratesa: „Wiem, że nic nie wiem”. W naszych czasach wyciągnięto z tego bardzo dokładny wniosek: „Jeśli człowiek nic nie może wiedzieć – powiadają – to lepiej dla niego, żeby niczego nie wiedział i niczego się nie uczył”. W ten sposób myśl najbardziej uczonego i najbardziej aktywnego człowieka naszych czasów stała się narzędziem ignorancji i lenistwa.

* * *

Człowiek powinien skończyć z tym, od czego zaczął; powinien swoje wcześniejsze instynktowne poznanie odnaleźć w poznaniu racjonalnym; jednym słowem, postawić rozum przed instynktem.

* * *

Religia wyzwala to uczucie, jakiego ani nauka, ani sztuka nie są w stanie wyzwolić, a które jest koniecznym warunkiem obu: pokory; nauka rodzi dumę; duma, wiara w siebie jest niezbędna nauce; sztuka gardzi światem, co także jest potrzebne sztuce; ale jeśli człowiek jest w pełni z siebie zadowolony, wówczas nie pójdzie dalej; konieczne jest, aby na wyższym stopniu nauki i sztuki człowiek był wciąż z siebie niezadowolony – był pokorny, gdyż tylko wtedy może osiągnąć nowy sukces.

* * *

Gioia² poczynił głęboką uwagę, mówiąc, że żadne działanie człowieka nie jest możliwe bez spełnienia trzech warunków: *il sapere, il volere, il potere*, to znaczy, że do każdego działania człowieka konieczne jest, żeby *wiedzieć, chcieć i móc*.

Ale nie możemy wiedzieć, nie studiując natury; nie możemy ani poznać, ani chcieć przedmiotu, jeśli w naszej duszy nie ma jego znaczenia, jego powinowactwa z naszą duszą, kierujących do niej naszą wiedzę; nie może-

my ani wiedzieć, ani chcieć, ani móc, to znaczy mieć siłę, jeśli nie wierzymy naszej wiedzy, naszej woli, naszej siły. Tak ściśle powiązane są ze sobą te trzy elementy.

Kiedy owe elementy są niezharmonizowane, społeczeństwo cierpi tak samo, jak cierpi rozstrojony organizm zwierzęcia.

Kiedyż umilkną pochwały pogańskiej mądrości i cnót! Wśród Greków i Rzymian porzucanie i zabijanie dzieci w niektórych przypadkach było nie tylko dozwolone, ale nawet nakazane przez prawo³.

Często narzeka się na twórcę, że jego dzieło nie jest wystarczająco zrozumiałe; ale istnieje twórczość, która jest niezrozumiała dla wszystkich – to Wszecławiat.

Nie ma przedmiotu, który byśmy znali szczegółowo; znamy niektóre jego cechy; za pomocą tych cech nadajemy mu nazwę lub, mówiąc dokładniej, tym lub innym słowem wyrażamy tylko jedną lub drugą właściwość przedmiotu, jego części, ale nie cały przedmiot. Odnosi się to zarówno do przedmiotów natury, jak i do tych przedmiotów, które znajdują się w naszej duszy. W konsekwencji nasz język jest niekompletny lub niepoprawny i oszukujemy samych siebie, kiedy nadając przedmiotowi nazwę – jest nam ona nieznana.

W życiu narodu, podobnie jak w życiu człowieka, istnieją okresy energii – wszyscy o tym wiedzą; ale od woli człowieka zależy, czy wykorzystać te chwile mocy, czy też zabić je w zmyślowości i występkach; kiedy ów czas minie, wtedy daremne są wszelkie wysiłki, aby wytworzyć to, co byłoby łatwe w chwilach energii.

Ale skoro człowiek składa się z ducha i duszy⁴, to aby osiągnąć najwyższy stopień, konieczne jest podniesienie obu: pierwszego – przez wiedzę, drugiego – przez miłość. Edukacja estetyczna to coś odrębnego; to symbolicz-

na przemiana tego odległego, przyszłego życia, które będzie całkowitym zjednoczeniem wiedzy z miłością, jednością, która kiedyś była w człowieku, a potem się rozpadła.

Dym wydobywający się z kominów i unoszący się nad miastem to piękny, poetycki obraz, ale jeszcze lepiej jest, kiedy dym nie jest widoczny, kiedy sprytem sztuki zamieni się w materiał palny. Cudowna aktywność narodu, skierowana ku zewnętrznej chwale, jest piękna, ale jeszcze lepiej, kiedy zwrócona jest w stronę wewnętrznej doskonałości.

Utwór poetycki jest przejawem najwyższej dumy ducha ludzkiego: człowiek rości sobie prawo twórczenia. Grzech poetycki nie jest wspólny dla całej ludzkości; jest doskonały poza światem i dlatego nie można go wybaczyć. Głupi poeta nigdy nie może się poprawić, ani wzbudzić współczucia, podobnie jak człowiek całkowicie nieszcześliwy, a nawet zbrodniczy.

Teatr jest takim samym światem, ale świat poetycki, który włada naszą głową w tych somnambulicznych momentach, kiedy wszystko nam się podoba, wszystko jest przedstawione w formie poetyckiej, jak podczas działania opium; to, jak każda poezja, jest zewnętrzną reprezentacją naszego instynktownego uczucia; dlatego tutaj, wchodząc w sam środek organizmu powszechnego życia, cieszymy się widokiem namiętności, staramy się przedstawić w poezji to, co tylko my rozumiemy w instynktownym uczuciu – ogólną harmonię; stąd – uniwersalna namiętność do teatru. Wraz z tym upadają wszystkie śmieszne pytania o korzyści i szkody płynące z poezji i teatru.

Na pytanie, jak poezja powinna złączyć się z życiem społecznym, można odpowiedzieć: „Ów związek jest tak tajemniczy, że nie da się go wyrazić słowami, tak jak związek duszy z ciałem, jak instynkt Amerykanina; trzeba być Amerykaninem, żeby to zrozumieć”. Foriel⁵ opowia-



da o młodym Greku, który będąc niekochanym przez matkę, chciał opuścić swoją ojczyznę – i rozstając się po zwykłym rodzinnym myriologu⁶, zaśpiewał zaimprovizowaną piosenkę, w której opisał swoje rodzinne nieszczęście i rozłąkę z ojczyzną: to tak poruszyło jego matkę, że rzuciła się w jego ramiona i zwróciła mu całą swoją czułość. Wyobraźcie sobie teraz urzędnika, który służbowo udając się do odległego miasta, śpiewa myriologa – byłoby to śmieszne. W każdym narodzie, w każdej moralności, poezja powinna złączyć się z życiem w szczególny sposób, którego wcześniej nie można obliczyć.

* * *

Wiek poezji minął dla dawnych tematów poetyckich; w dzisiejszych czasach żaden prawdziwy talent nie odważy się gloryfikować, a jeśli się odważy, to bez powodzenia, triumfu lub walki między sobą sił materialnych, jak Trojan i Greków; nawet Napoleon, jako personifikacja wojownika, jest niemożliwy⁷. Teraz tematem wiersza może być tylko bohater, który zwycięża lub walczy z siłą duchową.

* * *

Napuszony, wypomadowany XVII wiek kochał idylliczną poezję, łagodnych pasterzy i pasterki. Wiek brutalnego terroryzmu uganiał się za dworskim, wyrafinowanym flirtem; nasze komercyjne stulecie – stulecie kalkulacji i wątpienia – potrzebuje w literaturze krwawych namiętności i fanatyzmu. *Lukrecja Borgia*⁸ na scenie – i gazety, takie, które są wypełnione wiadomościami, na przykład o tym, jak pewnego ranka bankier Rotszyld, pakując worek, zapodział gdzieś plik banknotów – te zdarzenia odpowiadają sobie wzajemnie, nie mogły się wydarzyć w innych stuleciach.

* * *

Poeta stale musi zajmować się naukami przyrodniczymi, inaczej osiedli się w swoim idealnym świecie i zacznie w nim odnajdywać niedoskonałości, zgodnie z wrodzonym człowiekowi przyzwyczajeniem, wrodzonym dla dogodniejszego zrozumienia natury. Ale błędząc jakiś czas między różnymi plugastwami materii po tych mrocznych wertepach, wypełnionych martwymi kośćmi, wyrwanymi żyłami, zgniłymi, spalonym zwłokami, które nazywają naukami przyrodniczymi, i zbiesiwszy się z innymi, dla czego nic tu nie widzi, z przyjemnością zwraca się w swoją rodziną, idealną krajinę, gdzie wszystko jest takie proste, tak zrozumiałe, tak jasne!

* * *

Nic dziwnego, że Byron wzbudził⁹ tyle urazy w doświadczonej, wyrachowanej Anglii. Obraził wszystko, co uważa się w niej za nienaruszalne, pozostające w samej świątyni. Arystokrata, bogacz ośmielił się być poetą, a nie zadowalać się zwykłym i pięknym życiem; pieniądze, które można by przeznaczyć na zysk, stracił na poetyckie przedsięwzięcie dla Grecji. Znał wszystkie tajemnice egoistycznego angielskiego życia, mógł z nich korzystać – i pogardził nimi. Wielka była jego zbrodnia, i nie można było go ukarać ani arystokratyczną kpina, ani obojętnością bogatych. Gdyby Byron wciąż utrzymywał więzi rodzinne, gniew na niego byłby jeszcze większy. Jego nienawiść do ludzi brała się z tego, że w podstępny, obłudny kupcu widział człowieka. To wyjaśnia dziwną sprzeczność między jego poetyckim uczuciem, a nawet między pragnieniem sławy i jego odwróceniem się od ludzi.

* * *

Ktoś słusznie zauważył, że śmiech w sztuce nie wymaga oświecenia, ale lży dopuszczają pewien stopień edukacji; dlatego tragedia narodowa nie mogła się przyjąć w Rzy-

mie, bo w samej komedii szlachetny, subtelny Terencjusz¹⁰ nie wzbudził takiej sympatii, jaką wzbudził Plaut¹¹ swoimi prostymi dowcipami. Warto zauważyć, że rosyjski plebejusz, pomimo plotek cudzoziemców o niskim poziomie jego wykształcenia, bardziej kocha tragedię niż komedię: tak oryginalna jest organizacja tego narodu. To, co u starożytnych Greków było skutkiem, by tak rzec, rozkoszy edukacji, to w narodzie rosyjskim zrodziło się w sposób naturalny, podniosło się z ziemi.

* * *

Niech cudzoziemcy znajdują w narodzie rosyjskim wiele niedociągnięć, ale nie mogą nie zgodzić się, że jest coś wielkiego nawet w jego wadach; na przykład kochamy to, co bezużyteczne, podczas gdy inni są zajęci obliczaniem korzyści; gotowimy rzucić tysiące dla minuty, życie za jeden dzień – to głupie w sensie kupieckim, ale pokazuje naszą poetycką organizację: wciąż jesteśmy młodzi, a co by się stało z młodym, gdyby od najmłodszych lat oddał się namiętności bankiera!

* * *

*Respectability*¹² – u Anglików oznacza 20 000 funtów szterlingów; nie chcę być złośliwy wobec naszych cenzorów, ale u nas człowiekiem poważnym nazywa się radcę stanu.

* * *

W Anglii zastój, we Francji bezustannie nerwowa gorączka. We Francji całkowita nieobecność poezji lub jej rozdźwięk z religią i rozdźwięk religii z nauką. W Anglii jest i religia, i poezja, i nauka, ale istnieją oddzielnie, nie przenikają się wzajemnie; dlatego Anglicy mają taką komercyjną niechęć do wszystkiego, co poetyckie w życiu, coś w rodzaju dobrze znanej niechęci do tego samego kancelistów. Bardzo ciekawe są prośby do Parlamentu o przestrzeganie niedziel, prośby bogatych kupców... obawiających się, żeby drobni kupcy w niedzielę nie przeciągali na swoją stronę kupujących¹³.

* * *

Nic tak nie poniża ludzkiej godności, jak myśl, że w XIX wieku w krajach chrześcijańskich są ludzie, których społeczeństwo żywi, naucza, kształtuje, przygotowuje do rzemiosła niezbędnego do istnienia społeczeństwa, takiego jak: handel, przemysł, obrót bankowy itd. – i że nazwą tego rzemiosła w najprostszym jego znaczeniu jest żołądek. Co więcej, trzeba było, jakby dla szyderstwa z najszlachetniejszych uczuć człowieka, aby jakiś dżentelmen napisał wielką książkę zatytułowaną *Economie politique chretienne*¹⁴, w której bardzo jasno wyłożył, że jeden mówi jedno, drugi – drugie, co zaś się jego samego tyczy, to on nic nie mówi. A temat jest ciekawy!

* * *

Zauważono, że na obłąkanych zawsze oddziaływa to, czy są w otoczeniu nagich ścian, czy pięknych krajobrazów, czy słyszą muzykę, czy nie, czy żyją wygodnie, czy nie. Jeśli na nich oddziaływa to, co eleganckie, to w ten sam sposób powinno oddziaływać na wszystkich, choć wolniej. Co u obłąkanych dzieje się jawnie, u innych ludzi – potajemnie; umiejscowienie, konstrukcja domu, dźwięki muzyki – wszystko to powinno fizycznie oddziaływać na organizację człowieka i ją ucłowieczać, niszczyć jej zwierzęce właściwości.

* * *

Ludzie, którzy nie chcą, żeby Rosjanie się kształcili¹⁵ i ze współczuciem wspominają niewiedzę przodków, są podobni do Jean-Jacquesa Rousseau, który chciałby sprowadzić ludzi do stanu naturalnego – chodzenia na czworakach.

* * *

Poeta Sofokles¹⁶ – *pontifex* i dowódca wojsk, towarzysz Peryklesa¹⁷ i Tukidydesa¹⁸, bronił ojczyzny w czasie wojny, zarządzał nią w czasie pokoju, służył jej jak męczennik, wysławiał ją jak poeta; to był złoty wiek Grecji.

* * *

Zauważono, że dwoje i więcej ludzi mieszkających razem stopniowo upodabnia się do siebie nie tylko duchowo, ale także cieleśnie; nie tylko ich zwyczaje stają się takie same, ale w wielu korporacjach¹⁹ coś wspólnego jest widoczne nawet w rysach twarzy. Jak przebiega historia tej przemiany? Duch jednego człowieka działa na ducha innego; wzajemnie się rozgraniczają (modyfikują); po siedmiu latach, jak wiadomo, nie pozostaje w człowieku żadna część dawnych jego narządów; nowe organy rodzą się już pod wpływem tej nowej zmiany ducha; po jakimś czasie, kiedy organy fizyczne przywykną do takiego funkcjonowania, zaczną oddziaływać na ducha w taki sam sposób, jak uderzenie w głowę wywołuje wpływ na tę czy inną zdolności człowieka.

* * *

Muzyka antyczna i jej cudowne zjawiska są pozostałością jeszcze dawniejszą – pierwotnego, naturalnego języka ludzkiego. Wcześniej znany on był człowiekowi instynktownie, teraz musi do niego dotrzeć przez nauczanie.

* * *

Autorka powieści *Ostatni człowiek*²⁰ zamierzała opisać ostatnią epokę świata – a opisała tylko tę, która zaczęła się kilka lat po jej istnieniu. To znaczy, że czuła już w sobie te zasady, które powinny się rozwinąć nie w niej, ale w ludziach, którzy po niej przyjdą. Ogólnie rzecz biorąc, rzadko można znaleźć wyraz dla odległej przyszłości, ale jestem pewien, że każdy, kto wyzwoleńszy się z wszelkich uprzedzeń, wszelkich opinii panujących w jego czasie i odrzucając wszystkie myśli i uczucia, które są w nim obecne za sprawą przyzwyczajenia, wykształcenia, okoliczności życiowych, pasji własnych i innych ludzi, oddają się wewnętrznemu, swobodnemu przyciąganiu jego duszy – ten w ostatecznym rządzie jego myśli z pewnością znajdzie te myśli i uczucia, które będą panować w bliskiej mu epoce.

* * *

Myśli powstają w wyniku stopniowej organizacji ducha ludzkiego, jak pąki owocowe na drzewie; czasami te myśli są sprzeczne; walka z nimi jest konieczna do życia; ludzie, uznając je za swoje dzieło, nazywają je prawdziwymi prawami natury, i ludzkość walczy, umiera za nie; tymczasem do życia potrzebna była tylko jedna walka tych myśli, a wcale nie triumf jednej lub drugiej; musiała ona określić jakąś odrębną liczbę dla równania, które musi zostać rozwiązaniu, być może na Saturnie. Dlatego zazwyczaj ani jedna opinia nie triumfuje, ale triumfuje tylko między nimi to, co średnie. A dlatego razem z tym w człowieku jest taka siła i zazdrość, żeby bronić tej lub innej opinii; albowiem nie jest to istota jego opinii i nie jest dana mu siła, żeby ją chronić.

* * *

Wszystko przekonuje nas do tego, że człowiek powinien żyć, które z niego samego się poczęło, uzupełniać życie naturalne. Zauważono, że ludzie z ciepłych krajów żyją krócej niż ci z zimnych, ale kiedy ci pierwsi przeniosą się do zimnego kraju, a drudzy do ciepłego (oczywiście, gdy ich siły życiowe jeszcze nie osłabły), stają się długowieczni; jest to całkiem zrozumiałe. Natura człowiekowi urodzonemu w gorącym klimacie, podobnie jak in-

nym swoim dziełom, daje wielkie siły życiowe, żeby mógł oprzeć się niszczycielskim żywiołom tego klimatu; w zimnym klimacie ta siła jakby się zaciska, nie zużywa się tak szybko, a co człowiek traci w przyjemnościach, tych krokach ku śmierci, potem wygrywa w przedłużeniu swojego istnienia. I odwrotnie, człowiek zimnego klimatu, przeniesiony do gorącego, przeciwstawia się swoją zachowaną organizacją destrukcyjnemu gorącemu klimatowi, i jeśli siłą umysłu może oprzeć się uwodzicielskim przyjemnościom upalnej strefy, to wygrywa korzyść, która jest przeciwstawna korzyści człowieka gorącego klimatu – on szybkość życiowego ognia powstrzymuje zimnem, inny zaś chłód swojej krwi łagodzi otaczającym go ciepłem; pierwszy swoją słabą organizację wzmacnia zimnem, drugi siłą swojej organizacji przeciwstawia zniszczeniu.

* * *

Nie rozumiem zasad tych ludzi, którzy pozwalają sobie na małe zło w celu uczynienia z niego dobra. Obowiązkiem chrześcijanina i wewnętrzną motywacją człowieka jest czynienie dobra, bez kalkulowania, co może z tego wyjść. Powołują się na lekarzy, którzy odcinają chorego członka, żeby uratować całe ciało! Ale czy medycyna się nie myli? A medycyna jest łatwiejsza dla pojęcia człowieka niż rozmaite relacje społeczne, z którymi mamy do czynienia w ciągu naszego życia. W żadnym wypadku nie możemy twierdzić, że zło, jakie uczyniliśmy, może zmienić się w dobro; to znaczy ingerować w losy Przedwiecznego; możemy wiedzieć tylko to, że uczynione dobro pozostaje dobrem, choćby z tego wynikały złe konsekwencje. Te konsekwencje nie zależą już od woli człowieka, nie można go za nie winić. Ale jak człowiek może się usprawiedliwić, jeśli czynił zło w dobrych intencjach, i stworzył nowe zło? Znaleźli się ludzie, którzy chcieli usprawiedliwić Robespierre'a²¹ faktem, że uważał śmierć tysięcy ludzi za środek do przyszłego dobrobytu swojej ojczyzny! Praca człowieka jest ograniczona; tylko jedno uczucie nie jest w nim ograniczone przez Opatrzność – to miłość do ludzkości.

* * *

Buntują się przeciwko przyzwoitości, ale to ona strzeże społeczeństwa; jest suchą skórką gnijącego owocu; jeśli ulegnie rozpadowi, powietrze się zakazi. Zdejmijcie skórkę z tych ludzi; spróbujcie uczynić ich otwartymi, wyraźnymi!

* * *

Gibbon²² uczynił wiele złego, ulegając zewnętrznemu blichtrowi Rzymu; nie dostrzegł głębokiego zepsucia obyczajów przed Chr., wielkości i cnót chrześcijaństwa nad cnotami pogańskimi.

* * *

Kiedy zaproponowano użycie we wzorach chemicznych wskaźników (na przykład SO_3), sprzeciwiano się, że będzie to obrażą dla matematyków. Spierano się przez dziesięć lat, a przekonano do konieczności tych formuł dopiero wtedy, gdy znaleziono takie związki, których nie można było wyrazić inaczej.

* * *

Warto byłoby zaproponować nagrodę za najlepsze projekty z następujących dziedzin:

1. Zebranie wszystkich najpoważniejszych zarzutów, jakie kiedykolwiek zostały wysunięte przeciwko odkryciom uznawanym obecnie za prawdziwe, takich jak na przykład krążenie Ziemi wokół Słońca, elektryczność, krwioobieg, maszyny parowe, szczepienia przeciwko ospie, tlen itp. itd.

2. Zebranie wiadomości historycznych o wszystkich odkryciach przypisywanych przypadkowi i pokazanie, że żadne z nich nie mogłoby się wydarzyć, gdyby nie zostało przy-

gotowane lub zainicjowane dzięki doskonaleniu się nauki.

3. Zebranie podobnych wiadomości o wszystkich odkryciach, które miały swój początek w twierdzeniach teoretycznych, a teraz przekształciły się w dodatek do niezbędnych codziennych potrzeb.

* * *

Warto zauważyć, że silny nigdy nie zrozumie, jakiego poziomu może sięgnąć nędza duszy słabego; stąd bierze się przyczyna, że silny często obraża; innymi słowy, nie zakłada on możliwości lub chęci urażenia słabego, podczas gdy słaby w silnym zaledwie dostrzeżę człowieka i dlatego, jego zdaniem, nigdy nie może być wystarczająco upokorzony.

* * *

Zgodzimy się zapewne z Benthamem²³ i za każdym razem będziemy zadawać sobie pytanie, jak *rachunek szczęśliwości* może być korzystny, lecz w następującej kolejności:

- 1°, dla ludzkości,
- 2°, dla kręgu przyjaciół lub rodziny,
- 3°, dla nas samych.

Zaczynanie tej progresji w odwrotnej kolejności jest źródłem wszelkiego zła, które okrąża człowieka od kołyski. Co jest korzystne tylko dla nas, to odbijając się o rodzinę, o ojczyznę, o ludzkość, nieuchronnie wróci do człowieka pod postacią katastrofy.

* * *

Myśleć, to nie znaczy istnieć²⁴, ponieważ myśl jest skutkiem istnienia. Działać, to nie znaczy istnieć, ponieważ działanie jest skutkiem myśli.

* * *

Nie ma życia bez głębokiego uczucia; nie ma uczucia bez miłości; nie ma miłości bez uczucia.

* * *

Świat ofiarowuje nam wiele darów, których nie zauważamy. Wyczerpani długotrwałą pracą, uciekamy się do używek lub zmuszamy zołądek do przyspieszonego trawienia, czyli, jak powiedział jeden z lekarzy, bijemy zmęczonego konia; koń w pierwszej chwili wiezie nas szybciej, ale kosztem swoich sił, kosztem swojego życia. Również i my każdego dnia poganiamy swoje zmęczone siły, i w przyszłości z naszego zmęczenia powstanie ogromny kapitał z odsetkami, który zostanie odjęty od naszego życia, a który moglibyśmy wykorzystać lepiej, gdybyśmy chcieli prowadzić mniej aktywne życie. ■

Przypisy

- 1 Chodzi o Platona.
- 2 Melchiorre Gioia (1767–1829), włoski pisarz, filozof i ekonomista.
- 3 Odojewski przytacza źródła, które trudno zlokalizować: (Cicer *De leg.* L. III. c. 8. Svet in Oct. c. 65. Senec LV c. 33).
- 4 Wedle koncepcji Johna Pordage'a (1607–1681), anglikań-

skiego księdza, którego dzieło poświęcone metafizyce było znane w Rosji, mikrokosmos (świat wewnętrzny człowieka) składa się z duszy i ducha, analogicznie jak makrokosmos składa się z ziemi i nieba. Zob. idem, *Bożestwienna i istinnaja metafizika*, Moskwa 1786.

5 Charles–Claude Fauriel (1772–1844), francuski historyk, filolog i krytyk. Odojewski powołuje się tutaj na jego książkę *Pieśni ludowe współczesnej Grecji* (*Chants populaires de la Grèce moderne*, t. 1–2, 1824–1825).

6 miriolog – pieśń pogrzebowa.

7 Odojewski polemizuje tutaj z twierdzeniem Piotra Wiaziemskiego, że Napoleon „jest tą postacią w najnowszych czasach, która mogłaby pozować dla poety epickiego”.

8 *Lucrèce Borgia* (1832), sztuka Victora Hugo (1802–1885).

9 Los Byrona, „jedynego wielkiego człowieka” w Anglii XIX wieku, zajmował Odojewskiego bardzo mocno. W jednej ze swoich notatek napisał, że „Byron walił młotem w głowę swoich współczesnych, żeby wypuścić na świat myśli”.

0 Terencjusz, Publius Terentius Afer (ok. 195–159 p.n.e.), rzymski komediopisarz, który wzorował swoje sztuki na Menandrze i Apollodorze z Karystos; niezwykle popularny w renesansie.

1 Titus Maccius Plautus (ok. 254–184 p.n.e.), rzymski komediopisarz, w swoich przeróbkach i adaptacjach nowej komedii atyckiej korzystający z języka potocznego, nierzadko dosadnego.

2 *Respectability* (ang.) poważanie, szacunek.

3 Edward Bulwer–Lytton (1803–1873), angielski polityk, poeta i dramaturg. Odojewski powołuje się na jego książkę *England and the English* (1833).

4 (franc.) *Chrześcijańska ekonomia polityczna*.

5 Odojewski polemizuje tutaj z tymi, którzy twierdzili, że chłop rosyjski nie potrzebuje wykształcenia. Zob. jego szkic *Kakoj naukie ucziť narod?*, w: idem, *Izbrannije pedagogičeskie soczinienija*, Moskwa 1955, s. 299–300.

6 Sofokles (ok. 496–406 p.n.e.), tragik grecki, polityk, dowódca wojsk, kapłan. Uczestniczył m.in. w tłumieniu buntu na Samos (440 p.n.e. wraz z Peryklosem). *Pontifex* (maximus) – najwyższy kapłan.

7 Perykles (ok. 495–429 p.n.e.), polityk, reformator demokracji ateńskiej.

8 Tukidydes (ok. 471/460–ok. 396 p.n.e.), grecki historyk, autor *Wojny peloponeskiej*.

9 Tu w znaczeniu: związkach.

20 *The Last Man* (1826), apokaliptyczna powieść Mary Shelley (1798–1851), w której pisarka podjęła problematykę końca ludzkości w drugiej połowie XXI wieku z powodu panującej epidemii zarazy.

2 Maximilien de Robespierre (1758–1794), przywódca jakobinów, organizator rewolucji francuskiej.

22 Edward Gibbon (1737–1794) najwybitniejszy historyk angielski XVIII wieku, autor *Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego* (1776–1789).

23 Odojewski odwołuje się tu do „rachunku szczęśliwości” (*felicific calculus*) Jeremy'ego Benthama (1748–1832), który w swojej utylitarystycznej koncepcji twierdził, że jednostka dąży do szczęścia i zaspokojenia swoich przyjemności, dlatego też społeczeństwo powinno postępować tak samo.

24 Nawiązanie do myśli Kartezjusza: *cogito ergo sum* – *myślę, więc jestem*.

Książę Władimir Odojewski (1804–1869), przedstawiciel starej arystokracji, pisarz i myśliciel dobry romantyzmu, współtwórca rosyjskiej muzykologii. Pozostawał pod wpływem E.T.A. Hoffmana i Fryderyka Schellinga, interesował się okultyzmem, jako jeden z pierwszych w Rosji eksperymentował z gatunkiem utopii (*Rok 4338*). Nazywany „rosyjskim Hoffmanem” lub „rosyjskim Faustem”, przez lata uważany był za peryferyjną postać rosyjskiej literatury. Doceniony został dopiero w ostatnim ćwierćwieczu ubiegłego stulecia, głównie jednak z uwagi na swoje zasługi dla muzykologii. Publikowane tutaj myśli i aforyzmy Odojewskiego zostały opublikowane po raz pierwszy w roku 1843 pod tytułem *Fragmenty psychologiczne*.

Zgasł płomień ostatniej zapałkowni

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Czechowicka zapałkownia miała niebawem hucznie obchodzić stulecie swojego istnienia. Zamiast jubileuszu wyprawiono jednak firmie pogrzeb. W ostatnim dniu lutego całkowicie zaprzestano produkowania zapalek w Czechowicach-Dziedzicach. W ten sposób ostatnia czynna w Polsce fabryka „ognistych patyczków” przestała istnieć.

Apresież czechowickie zapałki stanowiły jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek w naszym kraju. Podobnie jak – przykładowo – znane i popularne czekolady Wedla, które na szczęście nadal będą obecne w życiu Polaków. Zapałczany symbol stał się już natomiast tylko kartą historii.

Zapałczana wiedza w pigułce

Warto przypomnieć, że *ogniste patyczki* wynaleziono i produkowano pierwotnie w Chinach, jeszcze w początkach naszej ery. W Europie pierwsze zapałki pojawiły się zaś we Francji w 1805 roku. Na skalę przemysłową zaczęli je produkować Szwedzi pół wieku później.

Pierwsza manufaktura zapałczana na polskich ziemiach (jeszcze pod zaborem) powstała 1 października 1845 roku w Sianowie, niedaleko Koszalina. Tamtejszy zakład przetrwał 162 lata. U schyłku XIX stulecia uruchomiono następną

fabryki zapałek w Częstochowie (1881) oraz w Bystrzycy Kłodzkiej (1897).

Zadna z nich już nie istnieje. W siedzibie dawnych Bystrzyckich Zakładów Przemysłu Zapałczanego znajduje się od lat Muzeum Filumenistyczne, a w Częstochowie – Muzeum Produkcji Zapalek, z działającą incydentalnie (dla potrzeb zwiedzających) historyczną linią produkcyjną, pochodzącą z początków XX wieku.

Wytwórnia rozpoczęła swą działalność w pierwszych dniach września 1921 r., gdy Czechowice oraz Dziedzice (dwie odrębne wówczas miejscowości) znalazły się w granicach odrodzonego państwa polskiego. Kilka lat po rozpoczęciu produkcji wybuchł jednak dotkliwy kryzys gospodarczy w branży zapałczanej.

W efekcie – International Match Corporation (IMC), światowy potentat w tej dziedzinie gospodarki, zaproponował polskiemu rządowi w roku 1924 utwo-



wienie monopolu zapałczanego. Rok później doszło do podpisania ważnej pod względem gospodarczym umowy, w wyniku której Polski Monopol Zapałczany, obejmujący m.in. czechowicką fabrykę, trafił na 20 lat w dzierżawę IMC.

– *Zakład w Czechowicach był w tamtym okresie jednym z najnowocześniejszych przedsiębiorstw branży zapałczanej w Europie. Wyróżniał się największą w kraju zdolnością produkcyjną, a jego wyroby trafiały do odbiorców na całym kontynencie* – relacjonuje historyk Jacek Cwetler, znawca dziejów miasta. Wybuch II wojny światowej sprawił, że zapałkownia przeszła w ręce niemieckie. Do kwietnia 1945 pracowała dla wyłącznych potrzeb III Rzeszy.

Podmuchy wiatru historii

Po wojnie fabryka funkcjonowała przez kilka lat pod auspicjami reaktywowanego Polskiego Monopolu Zapałczanego. Siedziba kierownictwa PMZ mieściła się w Warszawie. W roku 1951 wszystkie krajowe wytwórnie „ognistych patyczków” znalazły się w gestii scentralizowanego Zarządu Przemysłu Płyt, Sklejek i Zapalek. W następnych latach trafiły zaś – zgodnie z wymogami socjalistycznej gospodarki nakazowo-rozdzielczej – pod opiekuncze skrzydła Zjednoczenia Przemysłu Płyt, Sklejek i Zapalek (jednolita branża drzewna).

Na początku dekady lat siedemdziesiątych zeszłego wieku dokonano gruntownej modernizacji zakładu, który od 1958 roku funkcjonował już – odnotujmy – w nowym mieście o dwuwyrazowej nazwie Czechowice-Dziedzice. Rozbudowano hale produkcyjne, finansując w całości inwestycję ze środków własnych zapałkowni.

– *Dzięki temu fabryka stała się największym producentem zapalek w Polsce, zaspokajającym aż 25% krajowego popytu* – przypomina Cwetler, obeznany nieźle



Hala produkcyjna w latach siedemdziesiątych XX wieku

fol. arch.

z burzliwymi losami utworzonej prawie 100 lat temu firmy.

Po przełomie ustrojowym doszło do gospodarczego krachu na rodzimym rynku zapalczanym. Import tanich wyrobów z Białorusi i Ukrainy oraz pojawienie się setek tysięcy jednorazowych zapalniczek gazowych z Chin doprowadziło do bolesnych powikłań w działalności zakładu. Przez pewien czas czechowicka zapalownia pracowała tylko cztery dni w tygodniu.

W ostatniej dekadzie XX wieku fabryka „wyszła na prostą”. Zdołano bowiem pozyskać nowego kontrahenta z Niemiec, co jednak pociągnęło za sobą oczywistą konieczność dostosowania czechowickich warunków produkcyjnych do niemieckich wymagań jakościowych. Wprowadzono istotne zmiany w technologii wytwarzania zapalek, spełniając w ten sposób standardy niemieckie, a zarazem i europejskie. Duży kontrakt z zachodnim odbiorcą na dostawę zapalek reklamowych w trzech różnych formatach polepszył znacząco kondycję finansową zakładu.

Od hossy do bessy

Z czasem wyroby z Czechowic zaczęto eksportować nie tylko do krajów Europy, ale i państw Afryki, Bliskiego Wschodu, a nawet i Ameryki Południowej. Na przełomie stuleci poszerzono ofertę handlową firmy o zapalki kominowe, gabinetowe, reklamowe, dymne, świecowe, a także o podpałki do grilla i galanterię zapalczaną. Wszystkie produkty były od tej pory bezpieczne dla użytkowników i przyjazne środowisku naturalnemu.

Przed 14 laty Czechowickie Zakłady Przemysłu Zapalczanego uległy komercjalizacji i przekształceniu w jednoosobową spółkę Skarbu Państwa. W 2011 roku 85-procentowy pakiet akcji spółki sprzedano niemieckiej firmie PCC Consumer Products sp. z o.o. Nie była to bynajmniej transakcja przypadkowa.

Istniejący od 28 lat międzynarodowy koncern PCC (Petro-Carbo-Chem) z siedzibą w Duisburgu jest przecież renomowanym producentem środków chemicznych w Europie. Prowadzi swoją działalność w 18 krajach na całym świecie, w tym m.in. w Bułgarii, Czechach, Islandii, Lotwie, Malezji, Rumunii, Słowacji, Tajlandii i USA. W czerwcu 2014 roku czechowicka fabryka przyjęła nazwę **PCC Consumer Products Czechowice S.A.**

Przed sześcioma laty spółka zaczęła jednak przynosić straty finansowe. Ich powodem stała się zacięta walka konkurencyjna na europejskim rynku. W Polsce pojawiły się bardzo tanie zapalki z Chin, Indii, Pakistanu, a także z Ukrainy i Rosji. W Czechowicach odnotowano wyraźny spadek popytu na polskie zapalki.

– *Skumulowana wieloletnia strata finansowa zakładu osiągnęła w pewnym momencie pułap ok. 12 mln zł* – wyjaśniała dziennikarzem Renata Gamrot, która od listopada 2017 roku kierowała czechowicką firmą, a w końcowym okresie jej funkcjonowania była likwidatorem fabryki. Nic więc dziwnego, że w połowie zeszłego roku zrezygnowano w spółce z dwuzmianowego systemu produkcji na rzecz pracy jednozmianowej. Brak odpowiedniego portfela zamówień zrobił swoje.

Likwidacja

– *Postawienie spółki w stan likwidacji zostało podyktowane wyłącznie względami finansowymi. Taką smutną decyzję w listopadzie ubiegłego roku podjął właściciel czechowickiej firmy z powodu jej trudnej sytuacji ekonomicznej oraz powikłań wywołanych obecną epidemią COVID-19. Nie było po prostu innego wyjścia* – argumentowała Renata Gamrot.

Firma pracowała do końca lutego, by zrealizować wszystkie dostawy przewidziane we wcześniejszych umowach z odbiorcami. Miesięczna wielkość produkcji w schyłkowym okresie istnienia fabryki wynosiła 23 mln sztuk pudełek zapalek (w jednym pudełku mieściło się zazwyczaj 38 zapalek).

Dziś nikt nie potrafi określić, jakie przeznaczenie uzyska dotychczasowa siedziba czechowickiej wytwórni zapalek. Właściciel obiektu nie podjął jeszcze żadnej decyzji w tej sprawie. Na razie trwają prace przy szczegółowej inventaryzacji majątku zakładu, a także przygotowania do sprzedaży posiadanych maszyn i urządzeń.

Wieloletnia produkcja zapalek w charakterystycznych pudełkach o wymiarach 53x35x16 mm była dotąd znakiem rozpoznawczym miasta. Na terenie zapalowni działało również przez wiele lat popularne kino „Płomień”. Nieodłącznym komponentem długoletnich dzieł fabryki (do pełnego stulecia zabrakło dokładnie 6 miesięcy) były wreszcie atrakcyjne etykiety zapalczane, które szczególnie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych cieszyły się ogromną popularnością wśród licznych kolekcjonerów w kraju.

Do zapalowni kierowano listowne prośby z całej Polski o przesłanie kolorowych nalepek z postaciami z bajek Disneya, ptakami, zwierzętami, roślinami, kwiatami, herbami polskich miast, samochodami itp. Wiele rozmaitych firm, instytucji, banków, hoteli, restauracji zlecało zakładowi produkcję zapalek reklamowych. Dziś największe kolekcje filumenistyczne, znajdujące

ce się w prywatnych rękach, liczą nawet po kilka milionów sztuk.

Zapał w innej postaci

Teraz wszystko to trafi na śmietnik historii. Dla 35 tysięcy mieszkańców Czechowic-Dziedzic jest to wyjątkowo smutne zjawisko. Fabryka, stanowiąca jeden z dwóch wizerunkowych symboli miasta (obok popularnej rafinerii naftowej), ma być odtąd tylko reliktem minionych czasów. Minorowe nastroje czechowiczów wydają się w pełni zrozumiałe. Oczekiwali oni przecież pięknego jubileuszu wiekowej firmy z cennymi tradycjami, a tymczasem zobaczyli w lokalnej prasie nekrolog o jej nagłym zgonie.

Z konsekwencjami unicestwienia fabryki będą musieli się uporać miejscowi samorządowcy. Obecne hasło wizerunkowe Czechowic-Dziedzic brzmi: „miasto z zapałem”. Likwidacja zapalowni wymusi ustanowienie nowej dewizy promocyjnej. A może warto skorzystać z niewątpliwiej atrakcji turystycznej, o której już pisaliśmy na naszych łamach w marcu zeszłego roku?

Przez miasto przebiega wszakże 19. południk długości geograficznej wschodniej, dzielący Polskę na dwie równe części. Niewiele miejscowości może się poszczycić taką niezwykłą lokalizacją. To znakomita wręcz okazja, by przystąpić do promowania „miasta o magicznym położeniu”. Bo jak śpiewał niezapomniany Freddie Mercury: SHOW MUST GO ON! Czechowicki zapał winien koniecznie przybrać nowe oblicze. A filumeniści? Cóż, Czechowice utraciły swoje Dziedzictwo, ale druk etykiet... must go on. Artyści już ostrzą pędzle. ■



fol. Z. Lubowski

Jedna z ostatnich w Czechowicach serii produkcyjnych, luty 2021 r.



Wielobarwne kolekcje filumenistyczne to cenna pamiątka materialna po istniejącej prawie 100 lat czechowickiej zapalowni



fol. Piotr Bieniecki



Krzepice, ruiny synagogi



Krzepice, fragment kirkutu

Naturalny krajobraz Jury Krakowsko-Częstochowskiej tworzą malownicze wapienne skały, wzgórze porośnięte lasem i rozległe przestrzenie pól. Na krajobraz kulturowy, stworzony przez człowieka, składają się ruiny zamków, strażnic obronnych, pałace, dwory, zabytkowe kościoły i zachowane przykłady zabudowy wiejskiej. Do II wojny światowej krajobraz kulturowy tego terenu tworzyli też Żydzi, ze swoim językiem, obyczajami, synagogami i kirkutami. W swoich malowniczych, żydowskich sztetlach (miasteczkach) – Żarkach, Lelowie, Krzepicach, Kromołowie czy Pilicy – stanowili barwny, rozgadany, zaferowany swoimi sprawami tłum – głównie mężczyzn w chałatach, kapeluszach, jarmułkach czy lisiurach. II wojna światowa radykalnie ów krajobraz kulturowy zmieniła. Zniknęli ludzie, pozostały jedynie materialne ślady ich życia w postaci kirkutów, synagog i ruin. Te ostatnie, często odbudowane ze zniszczeń II wojny światowej, pełnią już zupełnie inne funkcje.



Żarki, fragment cmentarza żydowskiego (kirkutu)

Macewa z amonitem

Kromołów – dzisiejsza dzielnica Zawiercia – leżący przy drodze krajowej nr 78 był niegdyś samodzielnym, dobrze prosperującym miasteczkiem. Prawa miejskie utracił w 1870 r., zaś po stu latach (1977) został włączony do Zawiercia.

Pierwsi Żydzi osiedlili się w Kromołowie prawdopodobnie w XVI w., a w XVIII w. posiadali już własną synagogę i kirkut. Pod koniec XIX w. co trzeci mieszkaniec Kromołowa był Żydem.

Podczas II wojny światowej Niemcy już w 1939 r. spalili kromołowską synagogę. W kolejnych latach miejscowi Żydzi zostali przeniesieni do getta w Zawierciu, a następnie zamordowani w obozie zagłady Auschwitz-Birkenau.

Obecnie jedynym śladem ich obecności w Kromołowie jest 2-hektarowy kirkut przy ul. Piaskowej. Powstał on w XVIII w. Zachowało się na nim prawie 1000 nagrobków, kirkut otoczony murem i zniszczony dom przedpogrzebowy.

Najstarsze nagrobki pochodzą z XVIII w. Większość z nich ma kształt typowej macewy z bogatą symboliką, charakterystyczną dla Żydów galicyjskich czy z Kongresówki, np. złożone do błogosławieństwa dłonie, korony, zwierzęta, będące synonimami imion, księgi, świece, złamane drzewa życia i inne. Spotkać na nich można inskrypcje w języku hebrajskim, jidysz i polskim.

Na Kromołowskim kirkucie znajduje się unikalna wapienna macewa, stoją-

ca na grobie Filipiny Rosenthal. Na jej odwrocie zachował się odcisk amonitu (jurańskiego głowonoga, ze skorupą przypominającą olbrzymiego ślimaka) – dowód na to, że pochodzi z wapienia z miejscowych kamieniołomów.

Wśród nagrobków znajduje się zrujnowany oheł cadyka Izraela Lejb ben Jakuba.

Wśród wielu pochówków na uwagę zasługują nagrobki rodzin Loewensteinów i Mendelsohnów. Żona Natana Loewensteina była ciotką Róży Luksemburg, założycielki Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL).

Szlak Kultury Żydowskiej

Żarki są miastem z dawną synagogą, kirkutem liczącym ponad 1100 macew oraz charakterystycznym układem urbanistycznym centrum, które kiedyś było zamieszkane w większości przez ludność pochodzenia żydowskiego. Do dziś zresztą niektórzy określają Żarki mianem „żydowskie” i nie jest to bynajmniej określenie pejoratywne, ponieważ niegdyś miasto było przykładem pokojowego współżycia mieszkańców różnych nacji i religii.

Przed II wojną światową w Żarkach żyło ok. 600 rodzin żydowskich, a ich członkowie mieli własne – ale i wspólne z chrześcijanami – organizacje i instytucje oświatowo-kulturalne, sportowe, społeczno-polityczne. Wszystkie to przerwała okupacja i Holocaust, z którego ocalili (za sprawą Polaków) tylko nieliczni, jak np. Eli Zborowski, przewodniczący American and International Societies for Yad Vashem.

Judaika Jury

EDWARD WICZOREK



Częstochowa, fragment cmentarza żydowskiego



Częstochowa cmentarz żydowski – pomnik i zbiorowy grób 121 Żydów zamordowanych 4 stycznia 1943 r.

Po żareckich Żydach pozostała pamięć i materialne ślady, które w 2005 r. połączono Szlakiem Kultury Żydowskiej. Składa się na niego 7 miejsc, wśród których najważniejszym jest duża synagoga.

Żareccy Żydzi posiadali przed wojną dwie synagogi: małą i dużą, tzw. reformowaną. Ta ostatnia, pochodząca z 1870 r., została zrujnowana w czasie II wojny światowej. Obudowano ją w latach 1954–1957, przeznaczając na dom kultury. Kolejny duży remont miał miejsce w latach 2009–2011. Mimo przeznaczenia do innych celów, jej wnętrze zachowało ślady pierwotnego układu, z salą główną (gdzie we wschodniej ścianie, w małej przybudówce, tzw. aron ha-kodesz, było miejsce na Torę), z bimą pośrodku i balkonem od zachodu, gdzie modliły się kobiety.

W trakcie ostatniego remontu, elewacji zachodniej przywrócono też przedwojenny wygląd, a wewnątrz urządzono salkę poświęconą pamięci żareckich Żydów.

Ważnym przystankiem na żareckim Szlaku Kultury Żydowskiej jest też kirkut przy ul. Polnej, na tzw. Kierkowie, malowniczo położony i jeden z najlepiej zachowanych na Jurze. Założono go na powierzchni 1,5 ha w 1821 r. jako trzeci z kolei kirkut w Żarkach. Inwentaryzacja kirkutu z 2004 r. odnotowała tu ok. 1100 nagrobków – w całości lub w szczątkowych formach, wiadać stojące i powalone stele-macewy, groby tumbowe i obramowane, resztki obelisków – piaskowca, wapienia, granitu, betonu.

Na zachowanych kamiennych macewach podziwiać można bogatą symbolikę, m.in. niespotykany gdzie indziej jest motyw gwiazdy o 8 lub 12 ramionach.

W 2014 r. przy ogrodzeniu kirkutu zamontowano trzy unikatowe, okaleczone macewy żeliwne, odnalezione przy pracach ziemnych rok wcześniej na terenie Sanktuarium Leśniowskiego. W tym miejscu warto wspomnieć, że w Polsce i w Europie jest tylko 5–6 miejsc, gdzie znajdują się żeliwne macewy, z tego dwa takie miejsca na Jurze (drugie w Krzepicach).

Szlak Kultury Żydowskiej obejmuje też pusty plac starego kirkutu i charakterystyczną małowiaścizną zabudowę. Na odwiedzających Żarki zabytki te robią spore wrażenie, podobnie jak spacer wąskimi uliczkami obok zachowanych żydowskich domów.

Jorcejt cadyka Bidermana

W Lelowie, niedaleko rynku, wznosi się ohel cadyka Dawida Bidermana, zwanego Lelowerem.

Dawid Biderman żył na przełomie XVIII i XIX w. Zmarł w Lelowie w 1814 r. i od tego czasu w rocznicę jego śmierci (jorcej) do Lelowa przybyszą liczne rzesze jego wyznawców.

Pierwszy ohel zastał zniszczony w czasie II wojny światowej, a lełowska społeczność żydowska została zgładzona. Hitlerowcy zlikwidowali też kirkut, a lełowską synagogę przekształcili w fabryczkę świec. Po wojnie na miejscu kirkutu i ohelu Gmina Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej wybudowała sklep.

Dopiero w sierpniu 1988 r. Fundacja Rodziny Nissenbaumów rozpoczęła poszukiwania grobu cadyka. Jego szczątki, odnalezione pod pomieszczeniem magazynowym jednego ze sklepów GS-u, przekazano na badania do Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Kiedy okazało się, że należą do Dawida Bidermana, w październiku 1988 r. Fundacja Rodziny Nissenbaumów urządziła tam skromny ohel. Od tego czasu grób cadyka jest celem licznych pielgrzymek chasydów z USA, Europy Zachodniej i Izraela.

Na przełomie stycznia i lutego, kiedy przypada wspomniany jorcej, do Lelowa przybywa od 200 do 400 chasydów: z pejsami, w czarnych chałatach, lisiurach i kapeluszach. W piątek po zachodzie słońca, kiedy zaczyna się szabat, modlą się, tańczą i śpiewają ku chwale cadyka (według chasydów Boga można wielbić nie tylko modlitwą, ale także śpiewem i tańcem); składają też w mogile karteczki z prośbami, tzw. kwitlach. W sobotę po zachodzie słońca zwykle odbywa się uczta.

Obecny ohel powstał z okazji 200. rocznicy śmierci cadyka Bidermana, zastępując poprzedni, prowizoryczny. W jego wnętrzu, na piętrze, znajduje się marmurowy nagrobek cadyka z 2016 r.



Lelów, chasydzi nad grobem cadyka Bidermana

Ohel można za niewielką opłatą zwiedzić (klucze – w sąsiednim budynku).

Cmentarz na terenie huty

Żydzi w Częstochowie pojawili się późno, bowiem miasto posiadało przywilej „de non tolerandis Judaeis”, czyli zakazu osiedlania się wyznawców religii mojżeszowej. Żydowska gmina wyznaniowa pojawiła się dopiero pod koniec XVIII w. Częstochowscy Żydzi mieli od 1899 r. Wielką Synagogę przy obecnej ul. Wilsona, zburzoną przez hitlerowców (obecnie w tym miejscu stoi Filharmonia Częstochowska). W 1939 r. w Częstochowie mieszkało 29 tys. Żydów (21% ogółu mieszkańców), z Holocaustu ocalało ok. 1,5 tys.

Pamiętką po tamtej społeczności jest kilka budynków publicznych (m.in. szpital, dawna szkoła rzemieślnicza przy ul. Targowej, łaźni przy ul. Garibaldiego i budynku Rady Starszych przy pl. Daszyńskiego) oraz kirkut przy ul. Złotej. Został on założony w 1799 r. i zajmuje 8,5 ha.

Jeszcze do końca lat 80. XX w. żeby wejść na kirkut, trzeba było pobrać przepustkę, uprawniającą do wejścia na teren Huty im. Bolesława Bieruta, bowiem po 1950 r. cmentarz znalazł się wewnątrz terenów rozbudowywanej huty. Przyczyniło się to do ocalenia nekropolii, ale nie sprzyjało trosce o jej wygląd. Kirkut jest bardzo zdewastowany i zarośnięty. Na około 8,5 ha powierzchni zachowało się blisko 5 tysięcy nagrobków, głównie w typie macewy. Uwagę zwraca tumba (nagrobek w kształcie skrzydni) na grobie cenionego rabina częstochowskiego Nachuma Asza czy ohel cadyka Izaaka Mayera Justmana, a także nagrobki przedstawicieli najbogatszych rodów częstochowskich.

Ponadto na cmentarzu znajdują się pomniki upamiętniające ofiary masowych mordów z lat okupacji.

Unikalny kirkut

Wśród 63 cmentarzy żydowskich (kirkutów) województwa śląskiego krzepicki kirkut, położony przy ul. Nadrzecznej, jest z pewnością unikatem w skali europejskiej, a może nawet światowej. Unikatowość tę zawdzięcza zespołowi żeliwnych macew z połowy XIX w.

Sam kirkut założono sto lat wcześniej. Na powierzchni 1,4 ha zachowało się 650 nagrobków, z których najstarszy pochodzi z 1749 r.

Szczególną uwagę zwraca wspomniana grupa żeliwnych macew. Prawdopodobnie wykonano je w hucie działającej w XIX w. w Kuźnicy Starej. Niektóre mają ciekawe kształty i są wyraznym świadectwem świetności gminy żydowskiej w ówczesnych czasach.

Teren kirkutu jest zarośnięty drzewami i krzewami, ale uporządkowano go w 2009 r. w ramach projektu edukacyjnego „Antyschematy”. Płyty żeliwne zostały wówczas oczyszczone z rdzy i pomalowane czarną przeciwrzewną farbą.

W 2013 r. na cmentarzu wzniesiono prywatny pomnik poświęcony pamięci rodzin Lipszyc i Zelcer, autorstwa Romualda Cieśli.

W pobliżu kirkutu, nad Liswartą, wznoszą się ruiny krzepickiej synagogi (wówczas była tu samodzielna osada Kuźniczka, włączona z czasem do Krzepic). Zbudowano ją w początkach XIX w., nadając cechy klasycystyczne. Służyła krzepickim Żydom do 1939 r. W czerwcu i lipcu 1942 r. miejscowi Żydzi zostali wywiezieni przez hitlerowców do obozu Auschwitz i getta w Częstochowie.

Pozostały po nich jedynie macewy ■

SŁOWNICZEK

kirkut – używane przez ludność polską określenie cmentarza żydowskiego (z niemieckiego Kirchhof). Sami Żydzi mówią o cmentarzach „bejt chaim” (dom życia), „bejt kwarot” (dom grobów) czy „bejt olam” (dom życia wiecznego).

macewa (hebr. massebha) – płaska, kamienna (czasem betonowa lub żeliwna), ustawiona w pionie płyta nagrobna, przypominająca jedną z tablic mojżeszowych.

ohel (hebr. namiot) – niewielki grobowiec murowany lub drewniany, najczęściej prostopadłościenny, nakryty daszkiem, wznoszony nad grobem wybitnego rabina lub cadyka. Wewnątrz znajduje się nagrobek (lecz nie jest to regułą).

rabin – mistrz i nauczyciel, religijny przywódca gminy żydowskiej i jej administrator, osoba odpowiedzialna za prowadzenie nabożeństw, szkoły (cheder) i opiekę nad synagogą. Pełni rolę duchowego ojca, doradcy, sędziego i interpretatora prawa religijnego w gminie. Nie jest on jednak kapłanem i jego autorytet opiera się wyłącznie na wiedzy i „bogobożności”.

cadyk (z hebrajskiego cadik – sprawiedliwy) – charyzmatyczny przywódca odłamu judaizmu – chasydyzmu. Dla chasydzkiej wspólnoty cadyk jest wzorem pobożności, pokory i sprawiedliwości. Cadykowie są otaczani powszechną czcią ze względu na przypisywaną im zdolność czynienia cudów i uzdrawiania. Także po śmierci ich groby (najczęściej ohele) przyciągają licznych pielgrzymów.

chasydzi (z hebr. chasid – pobożny) – ruch religijny o charakterze mistycznym, zapoczątkowany w judaizmie w XVIII w. w celu odnowy religijności na Podolu za sprawą Baal Szem Towa z Międzyborza. Chasydyzm ukształtował ludową wiarę, opartą na autorytecie cadyków i nie wykształcił jednolitej doktryny (a nauki i praktyki poszczególnych cadyków były odmienne). Wprowadził do religijności wątek ekstazy (w modlitwie, tańcu, śpiewie).

język jidysz a hebrajski – język hebrajski jest językiem narodowym Żydów, dużo starszym od języka jidysz. Jest on starożytnym językiem semickim z grupy kananejskiej, jidysz zaś jest lokalną odmianą Żydów aszkenazyjskich (tj. zamieszkujących Europę Środkową i Wschodnią, w tym Polskę), będącym kompilacją języka germańskiego z elementami hebrajskiego, słowiańskiego oraz zapożyczeniami romańskimi.

synagoga – z języka greckiego (po polsku bożnica) budynek (najczęściej okazały), będący miejscem zgromadzeń wspólnoty żydowskiej (np. zarządu gminy), nauczania i modlitw, prowadzonych przez stałego rabina. Posiada wyodrębnioną bimę (miejsce czytania tory i nauczania), aron ha-kodesz (szafę ołtarzową na ręcznie przepisany pergaminowy zwój Tory) oraz osobną część dla kobiet (tzw. babiniec).

dom modlitwy – od synagogi różni się dom modlitwy, który najczęściej urządzany był w przerobionych pomieszczeniach mieszkalnych, bez stałego rabina, przystosowany do wspólnych nabożeństw, prowadzonych często przez ludzi świeckich.

kalendź żydowski – system rachuby czasu oparty na cyklu księżycowym, w którym rok składa się z 12 miesięcy po 29 lub 30 dni, które rozpoczynają się od nowiu księżyca, a różnice w stosunku do kalendarza słonecznego są niwelowane za pomocą dodatkowego, trzynastego miesiąca. Rok żydowski w ujęciu kalendarza słonecznego liczy 354 dni 8 godzin 48 minut i 45 sekund. Rok przestępny przypada co dwa lub trzy lata i składa się z trzynastu miesięcy. Rachuba czasu liczona jest od stworzenia świata, które wg ustaleń żydowskich nastąpiło 7 października 3761 p.n.e., więc niżej tekst napisany został w miesiącu Nisan 5781 roku.

Czasem jesteśmy zmuszeni wrócić do przeszłości. Wydaje nam się, że wystarczy kilka chwil, aby pełne niejasności, niepewności, powikłane zdarzenia, raz na zawsze uporządkować, wyjaśnić, zamknąć i odzyskać upragniony spokój. Jednak w niewytłumaczalny sposób, niespodziewanie, każdy powrót do tego, co dokonane, staje się próbą zrozumienia spraw, których zrozumieć niepodobna, bo zaszły za daleko, padło wiele niepotrzebnych słów, raniących innych, układających się w zdania pełne niedopowiedzeń, fałszu, wypowiedzianych w nadziei na wypełnienie pustki, jaka powstała, gdy kogoś już nie ma obok nas, a my nie bardzo wiemy czym ją wypełnić.

Gdy usiedli przy stole i spojrzeli na siebie znowu, zrozumieli, że są już innymi ludźmi. Minęło sporo czasu od ostatniego spotkania. Rodzeństwo, jeszcze młodzi ludzie, po głębokiej śmierci matki, przed pogrzebem, znowu zmierzy się z własnymi lękami, obcością, niezgodą. Wie, że wszystko uległo przemianie. Pokój, do którego przybyli, by odbyć, kto wie czy nie najważniejszą rozmowę życia, stanie się miejscem szczególnego doświadczenia: próby ewokacji czasu sprzed lat, gdy wszystko było możliwe aż do chwili, gdy możliwym być przestało.

Najnowsza premiera Teatru Miejskiego w Gliwicach, zrealizowana we współpracy z Festiwałem Nowe Epifanie, to spektakl *Powrót* Beniamina Bukowskiego i Michała Zdunika, który jest także reżyserem. Niezwykła, kameralna opowieść, jakich niewiele spotyka się teraz na scenie. Z pozoru mało atrakcyjna, ale w swej niepokojącej intymności przejmująca, będąca próbą wy-



fol. Jeremi Astaszow/miat. teatru

Wypełnić nieobecność

WOJCIECH LIPOWSKI

powiedzenia przerastającej ją rzeczywistości, w którą zostało wpisane doświadczenie śmierci. Czy opowieść o Magdzie, Idze i Mariuszu, którym życie przewróciło się właśnie na bok, nie jest w tym wypadku dowodem na bezradność poznawczą w obliczu spraw ostatecznych, z którymi zmierzyć się musi każdy w jakimś momencie życia? Ten wątek stanowi, jak się wydaje, istotną dominantę sztuki.

Zdunikowi udało się wypełnić ciasną przestrzeń dramaturgiczną tworząc zapis doświadczeń bohaterów w sytuacji spotkania z tym, co przez lata od siebie odsuwali: brakiem najbliższej osoby. Ta nagła śmierć sprawiła, że na światło

dzienne wyszły prawdziwe relacje pomiędzy trójką rodzeństwa, a także nieobecny już matką. W większości nie były one dobre, raczej starały się pozostać poprawne. Syn, artysta, przyszły aktor, bez stabilizacji życiowej, wpada w pustkę żałoby zostawiając za sobą wrzenie świata, oczekiwane sukcesy.

Mariusz Galilejczyk pokazał w tej roli, jak przeobrazić się może człowiek w zetknięciu z traumą, koniecznością rozliczeń, próbą życiowego bilansu. Trzeba powiedzieć, że to właśnie on z całej trójki najlepiej doświadczył poczucia szoku i konieczności przebudowy własnej egzystencji. Na początku spotkania pewny siebie, płynący na fali iluzorycznych osiągnięć i możliwości, z każdą nową prawdą o własnej matce i siostrach, traci poczucie siły i grunt pod nogami, by w końcu niemal upaść pod ciężarem spraw, które nieoczekiwane na niego spadły. To dobra rola, zagrana zwyczajnie i prawdziwie przy pomocy prostych środków, które wystarczają, by pokazać złożoność i postępującą rozpacz, samotność tej postaci.

Z wielkiego świata wprost na krzesło przy rodzinnym stole trafia inna bohaterka, Iga, dziecko nowych czasów, królowa korporacji. Czarując pozostałych bardziej lub mniej prawdziwymi historiami własnych zawodowych dokonań, perfekcyjnie zaplanowanego kalendarza, w którym jest także uwzględ-

fol. Jeremi Astaszow/miat. teatru



niony czwartkowy seans grozy, taka mała inscenizacja dla poczucia kruchości życia pojmanego swoiście przez tę młodą dziewczynę, graną bardzo ciekawie z wycuciem temperatury sytuacji przez Igę Bancewicz, mistyfikującą przed rodzeństwem siebie oraz swój świat, w którym, jak od razu widzimy, wcale nie jest jej dobrze. Czy zresztą pozostali nie mają podobnych odczuć, gdy patrzą na okruchy dawnego życia, wyobrażeń o matce i o sobie samych, kiedyś bliskich teraz coraz bardziej odległych?

Pozostała jeszcze Magda. To ona została w domu, została do końca z cierpieniem i najbardziej się z nim oswoiła. Magda Jaworska, która wcieliła się udanie w tę postać, pokazała paradoksalnie coś zupełnie odmiennego niż brat i siostra, jakby to nie zabrzmiało, a mianowicie wyzwolenie, ulgę, możliwość otwarcia nowego etapu własnego życia, tak odmiennego przecież od pozostałych.

Jednak najważniejszą w *Powrocie* Zdunika jest konfrontacja postrzegania odejścia rodzica przez pryzmat doświadczenia. Zespolenie trzech odmiennych wrażliwości, dysonans spojrzeń na dawne i obecne relacje wzajemne oraz zmarłą, mogło przynieść pogłębione obrazy psychologiczne każdego z bohaterów, ciekawe, absorbujące, w każdym ujęciu wyjątkowe, inspirowane do przemyśleń.

Niestety, z niewyjaśnionych powodów tak się nie stało. Czegoś zabrakło twórcom. W podobnych opowieściach nietrudno o patos, łzawy sentymentalizm, schemat. Tu w pewnym momencie do tego dochodzi. Rozmowy z początku ciekawe poznawczo, drążące istotne dla tematu sztuki rejony, schodzą na mielinę łatwego wartościowania, idealizacji przeszłości, jakiegoś wyścigu o palmę pierwszeństwa u boku mat-



fot. Jeremi Astaszow/miat. teatru

ki, dziecinady uprawianej przez dojrzałych ludzi, którzy przy okazji rodzinnej tragedii, zaczynają się kłócić, które zajmowało wyższe miejsce w rodzinnej hierarchii.

W drugiej części spektaklu twórcy popadli w pułapkę schematyczności, a może raczej przewidywalności zdarzeń. Aż chciałoby się obejrzyć bohaterów – ludzi mimo młodego wieku o ważnych doświadczeniach – w innym, nieoczekiwanym ujęciu, zachwiać zgrane do bólu zachowania, spojrzeć na przeżycie śmierci z głębszej, trudnej do wyrażenia, a przez to autentycznej perspektywy. Przeżycie utraty otwiera jak się wydaje bogate w odniesienia i konteksty możliwości. W spektaklu gliwickiego teatru pozostają nam domysły i oczekiwania. Powstaje pytanie o jakim powrocie mowa?

Najpewniej takim, który kończy się oczyszczeniem, nadaniem rzeczywistości ostatecznych znaczeń możliwych tylko w świecie ludzi doświadczonego przez los. Rodzeństwo zagłębiając się w przeszłość, mimo naiwności zadawanych pytań, wyrażanych, czasem wykrzyuczanych emo-

cji, czy wątpliwości, w rozbudowanej przestrzeni dialogicznej sztuki wraca, bo nie bardzo radzi sobie ze swą aktualną egzystencją. Żałoba, zmarła matka, to pretekst, możliwość, próba zrozumienia na nowo wszelkich zagmatwanych spraw, na co dzień przykrytych atrakcyjnym opakowaniem. Co ciekawe, bohaterowie *Powrotu*, pytając o sens, unikają jednocześnie odpowiedzi, oczekując jej raczej od drugiej strony, pozostając jednocześnie w porządku zdarzeń nieostatecznych.

Ból i bunt mijają, pojawiają się w końcu słowa, którymi można wyrazić cierpienie, zgoda na to, co przyniosło życie. Magda, Iga i Mariusz zdają się w końcu rozumieć, że otwiera się przed nimi obszar nowych możliwości. I tak zostanie. Czy wrócą do tego pokoju z pamiętkami po matce zawieszonymi na ścianach? Czy zbliżyli się do siebie po długiej, rozmowie? Być może.

Adam Zagajewski pisał o przeżywaniu żałoby: „To jest trzęsienie ziemi otwierające przepaść. Moment płaczu i wściekłości, kiedy Logos jest bezradny. Logos dyskretnie odsuwa się na bok. Potem ta szczelina powoli, stopniowo zamyka się i zaczyna się długotrwały proces żałoby, zaczynamy ostrożnie chodzić po kładce nad rozpadliną; z czasem blizna zmienia kolor i upodabnia się do zdrowej skóry”.

Bohaterów *Powrotu* opuszczamy, gdy stawiają pierwsze kroki na nowej ziemi. Po długiej nieobecności wracają, najpierw przede wszystkim do siebie. ■

B. Bukowski, M. Zdunik
Powrót
reż. Michał Zdunik
Teatr Miejski w Gliwicach
Pokaz 11 marca 2021 na
Festiwalu Nowe Epifanie



fot. Jeremi Astaszow/miat. teatru

Spowiedź I. czas zarazy

modlitwo
odbijana głucho o ścianę
jakbyś utknęła w zaskorupiałym lodzie
gdzieś pod ciemnymi chmurami

kto temu winny że padają posągi wiary
że noc szczyrzy kły i trwa wyścig z czasem

próbuję jakoś to ogarnąć: pozorny spokój
rękawiczki maseczka izolacja
paraliż

na balkonie schnie Chrystus
ogłasza bezsilność Nieba

Spowiedź II. sterylności

zegar wskazuje czarne godziny. rozwiesza szarfy
czas-wartownik ostrzy noże. pomyślałbyś – teatr
a to ludzkie dramaty. szpitale pękają w szwach
lekarze jak ze *Star Treka*
na pokładzie wahadłowca gotowego do startu

błagam żyj. dryfuj na fali wbrew ciemnej wodzie
i słonej kropli. bądź sterylny by nie zakazić
(może pobłażliwy scenarzysta naciskając klawisz kosmosu
liczył na poddaństwo do grobowej deski
teraz chce wzmocnić w nas wiarę bo bezmyślnie
czynimy zło światu)

zamknij w kamieniu dekalog plag. i nie pisz o tym

Spowiedź III. akt ostatni

czas tu niezwyčajny
wylęknięci ludzie siedzą przy oknach
ulice machają pustką
powrót do normalności nie wie
jak przemknąć przez ciemność
raz po raz drga horyzont
bladzi ludzie odchodzą od okna
wbici w sztywne koszule
i zawsze to samo zdziwienie
jak znamię wyryte na twarzy
(najbardziej kruchy kamień
choć w pierwotnym zamysle
wiecznotrwały. lecz ten grzech
okrutnego węża)
że po sponiewieranym byciu
grzebanie w piach

płaczący nad grobem Bóg
odprawia ostatni akt

Drzenie

nie można choćby na chwilę zapomnieć
o tych kilku latach brakujących do stu
stawać na baczność na dźwięk telefonu
przełykać w gardle tężejący beton
i odważnie patrzeć w przyszłość

skupiam się na pytaniach o apetyt
kto grał za ścianą tej nocy
czy zakreśliła kurek od gazu
(ostrożnie z tematem śmierci)

kurczowo łapię się myśli z dzieciństwa
że tego wszystkiego nie ma
przecież matki są wieczne

W miasteczku Ż.

tamto przedpołudnie spływające po dachach
niskich kamienic. brzeg Słudwi szum topól
tłące się pogłosy
smutne „trzy krzyże” w drodze na dworzec

można zawrócić. zachwycić się parasolem
z kasztanowców. wzdłuż dzielonych okien
poczuć atmosferę małych sklepików
kupić mydło i powidło

na miejskim zegarze sprawdzić godzinę
nie czekając na niebieski pekaes

ominąć Sanicką w drodze na targ. usłyszeć
gwarną mowę mężczyzn dobijających targu końmi
głośnym plaśnięciem w dłoń

wstąpić do kościoła z malunkami świętych
na suficie. z zadartą głową dziewczynki
która przeszła strumyk czasu i minęła

stąd tylko krok do cmentarza
witajcie moi bliscy. witaj tato
leżysz tu. a ja tam

Kamyk

przypominam sobie biały owalny kamyk
który w palcach na chwilę rozblęsnął
ktos-nikt nad stojącą rzeką rozsiewał obecność

a potem przychodziłam tu każdego dnia
czekając w szuwarach i gadając do siebie
zanim pojęłam słowo śmierć

Skóra ze złudzeń

jesteś?

nie rozbieraj się. jakby twoja ciepła kurtka
była skórą. wolę myśleć że to nie jest kłamstwo
ta historia o Bogu i całym tym śnie o wieczności
nie budź mnie szarpnięciem za ramię
powiedziałbyś wówczas: w niebie nic nie ma. pusto

ostatnie słowa żegnają odchodzącego
w wieczność
śpiewają z uniesieniem że Pan Jezus
już się zbliża
do tej pory był daleko?

jeśli zapatrzysz się w lustro z liter
i wyrwiesz z głębi mój cień
może mnie ocalisz
a może wszystko pójdzie na marne

Wizja ze smokiem w tle

podparci na łokciach siedzą przy drewnianym stole
jakby ciągle było im mało nowych opowieści

rozglądam się za krzesłem. mam ochotę usiąść
zapalić papierosa. ach ten ludzki odruch
prawie o nim zapomniałam

opowiadaj – mówi jeden. tak lubicie gadać w swoim
różowym ciele. wyrastać na mądrych i głupich. winnych
i zawszonych. być królami-ńedzarcami

błyszczą na nim żółta chropawa skóra
rytmicznie pobłyskuje kieszonkowym lusterkiem
uśmiecha się jakby drasnął żyłką po oczach:
przecież tamtego snu nie będziesz pamiętać



Spojrzenie skrablisty na „Ade” Nabokova

JERZY PASZEK

Ada or Ardor: A Family Chronicle została ogłoszona w Nowym Yorku przez McGraw-Hill Book Company w roku 1969 na 70. urodziny Vladimira Nabokova (cytuję czwartą edycję tego samego wydawcy z 1971 roku jako AD). Ta dość obszerna powieść (później dodano objaśnienia, liczące ponad 16 stron; ich autorem jest „obupłciowy” Vivian Darkbloom; ale łatwo dojść do wniosku, że to **anagram** imienia i nazwiska pisarza!) ma aż 589 stron; należy do trylogii najwybitniejszych utworów beletrystycznych Nabokova, czyli ukazujących się co 7 lat tytułów: *Lolita* (1955), *Pale Fire* (1962) i *Ada* (1969). Środkowa powieść, tłumaczona na język polski jako *Blady ogień* (przez Roberta Stillera) oraz *Blady płomień* (przez Michała Kłobukowskiego), powinna – w świetle moich dalszych dociekań – nosić dźwięczniejszy nagłówek, czyli *Blady blask*, bo tak by ją przetransponował na polszczyznę zapewne sam autor! Zresztą tłumacz *Ady*, Leszek Engelking (zob. V. Nabokov: *Ada albo Żar. Kronika rodzinna*, przeł., komentarzem i posłowiem opatrzył L. Engelking, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA, Warszawa 2009; edycję tę oznaczam skrótem MUZA), w swojej libelli *Vladimir Nabokov* (Warszawa 1989, Czytelnik, s. 71, 75–77, 126) tak właśnie proponował tytułować tę powieść. Dodam tu, iż frazę „lively illuminated” (AD, 472) nieoczekiwanie przełożono jako „Teren był oświetlony **bladem blaskiem**” (MUZA, 565)!

Pierwszy utwór z tej trylogii, *Lolita*, szkoliał czytelników tematyką quasi-pornograficzną, chociaż narratorem – na co nie zwracano początkowo uwagi – jest człowiek chory na obsesję pedofilską; w drugim dziele przytacza się poemat fikcyjnego twórcy Shade’a, który został ukradziony, opublikowany i skomentowany (komentarz trzykrotnie przewyższa objętość objaśnianych wierszy) przez obłąkanego filologa, uważającego się za władcę Karola Umiłowanego, wygnanego z królestwa Zembla. Finalny składnik tej kolekcji także wykreowany został przez **niewiarygodnego** narratorka, gdyż piszący historię swojego żywota w wieku od 87. do 97 roku Van (Iwan) Veen jest z zawodu terapeutą, autorem *Samobójstwa i zdrowia psychicznego* oraz tomu *Kiedy psychiatra nie może spać* – i nie wiadomo, czy jego fabuła nie jest całkowicie zmyślona (jak to się przydarza często profesorom psychologii, a w szczególności „terapeutom”; MUZA 408). Mający prawie 100 lat opowia-

dacz dopiero zasiada – po przepisaniu przez maszynistkę jego rękopisu – do ostatecznej redakcji brulionu; tej pracy pewnie nie skończył, gdyż dzieło ma fikcyjnego edytora, Ronald Oranger, który 24 razy ingeruje i dopieszcza brzmienie książki (zob. MUZA, 838).

Ada składa się z pięciu zasadniczych części (nie licząc *Not do „Ady”*), przy czym część IV (AD, 533–563; MUZA, 637–674) jest traktatem filozoficznym Veena pt. *Faktura Czasu*, napisanym przezeń, gdy miał 52 lata. Sam Nabokov streszcza wywody swojego bohatera w jednym zdaniu: „Teraźniejszość jest jedynie wierzchołkiem przeszłości, a przyszłość nie istnieje” (MUZA, 837). Inaczej mówiąc, powieść ta posiada uroki filozoficzne oraz filologiczne: te ostatnie serwują delicje i dla lingwistów, i dla literaturoznawców. Narracja w czterech pozostałych segmentach nawiązuje bowiem do historii literatury, do najważniejszych dla Nabokova powieści i liryków XIX-wiecznych, a zaczyna się wszak przewrotnym zacytowaniem *Anny Kareniny* (tu: *Anny Arkadiewicz Kareniny*) Lwa Tołstoj. Innymi ulubionymi pisarzami bohaterów, czyli *Ady*, *Lucetty* i *Vana*, bywają Puszkini czy Czechow, a także Flaubert, Dickens, Austen (jej *Mansfield Park*), Gogol (jako mistrz kalamburu) i Turgeniew. Ponęty lingwistyczne polegają na tym, iż język utworu zasadniczo jest angielski, ale postaci powieściowe nie mają kłopotu z mówieniem po rosyjsku, francusku lub niemiecku. Gry słów nierzadko dotyczą kreacji dwujęzycznych **hybryd**, np. gdy w rosyjskim nazwisku Awidow (powstałym ze skrócenia o *particule* [cząstka „de” przed arystokratycznym nazwiskiem] Dawidowa) ktoś dostrzega inny „prefiks” i dziwi się ukrytej tu angielskiej wdowie („widow”, AD, 224; MUZA, 270). Autor w swych objaśnieniach stwierdza z dumą, iż fraza „yellow-blue Vass” [„żółto-niebieski Vass”] brzmi podobnie jak zdanie po rosyjsku: „ja lublu was” [‘kocham panią, pana’] (MUZA, 712). Tłumacz stanął na wysokości zadania, gdy oryginalną grę słów: „nightmare about You can, Sir” (AD, 583) przetransponował na język polski jako: „koszmar senny na temat >czyraka mamy” (MUZA, 697; oczywiście, Nabokov miał na myśli rzeczownik „cancer”). Nie kalamburu jednak, lecz **anagramy** i swoiste **prolongacje** słów, ich przedłużenia, coś w rodzaju zabawy w „załączki + alonżki” (demonstracja poprzednia: widow + a = Awidow [nb. możliwe jest tu skojarzenie z francuskim epi-

tetem „avide”, czyli ‘zarłoczny, chciwy’], Awidow + d = Dawidow), są tu istotnym wkładem do technik prozy nowoczesnej. To tak, jak zapis nazwiska STALINA w postaci płk. „ST. ALINA” (MUZA, 28).

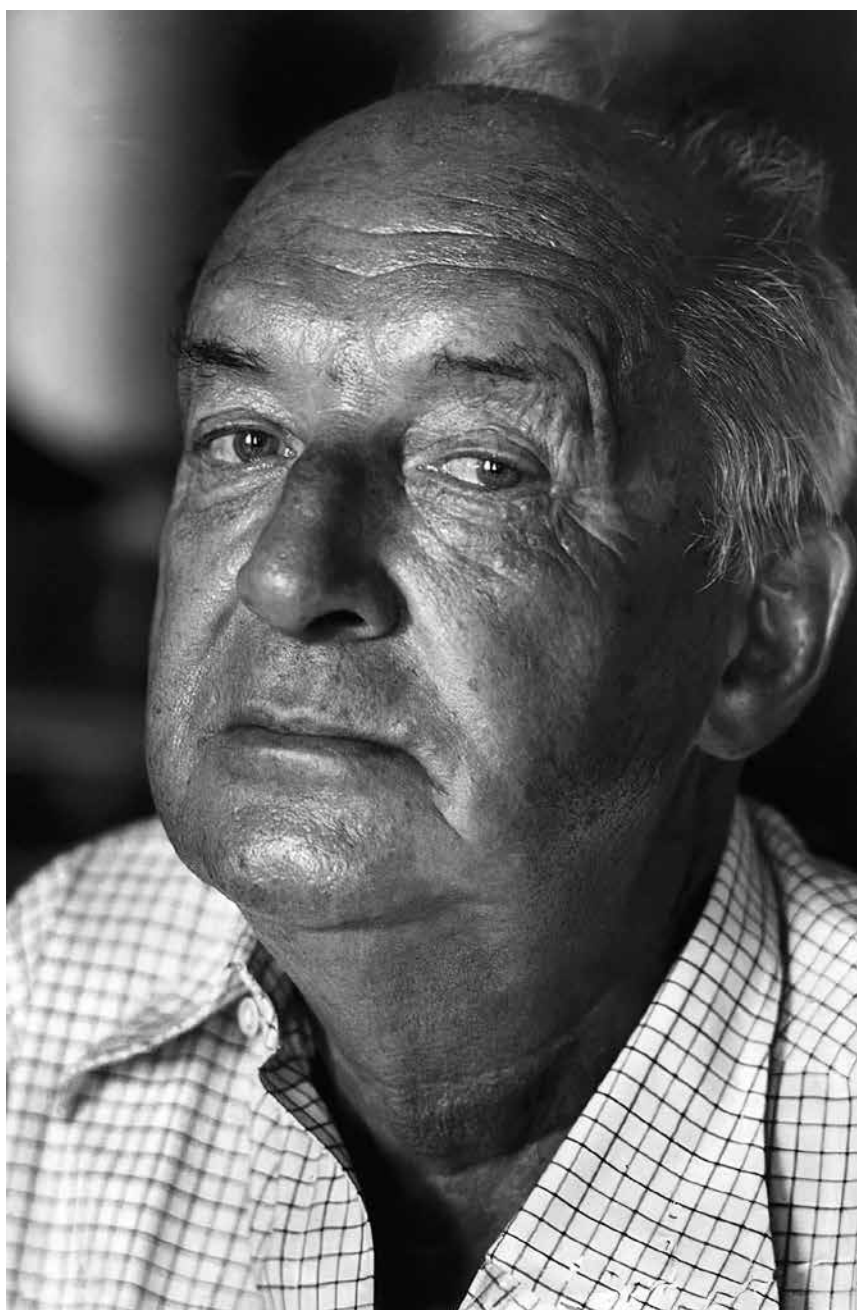
Nabokov przedstawia, jak toczą się rozgrywki w rosyjską wersję amerykańskiej gry scrabble, czyli „fławitę”. Fławita to anagram rosyjskiego słowa „alfawit”, czyli ‘alfabet’. Skrabliści wiedzą z praktyki zawodów, że pamięć o przedłużkach (alonżach) i sztuka anagramowania to podstawa ich sukcesów turniejowych. *Ada* wyzyskała najdroższy punktowo wyraz rosyjski TORFJaNUJU, co znaczy ‘torfiastą, układając go na planszy 225-półowej (15 x 15) w miejscu oznaczonym A1 – A8, czyli osiągając mnożnik 9-krotny za pokrycie dwu czerwonych pól; poprzednio ktoś z grających mógł położyć w polach A2 – G2 słowo ORcHIDIeJa, tak bowiem szczęściara mogła uzyskać punkt zaczepienia, ósmą literę „o”. Za samą literę „f”, która we fławicie ma najwyższą wartość (10 p.), *Ada* otrzymała 180 punktów (2 x 10, 20 x 9). Razem uzyskała 387 p., narzekając, że „nie dociągnęła” [„ne dotyanuła”] do 400 punktów za jedno słowo (AD, 227–228; MUZA, 275). To tak, jak gdyby gracz w polskiej wersji scrabble ułożył rozkażnik SPÓŹŃMYŻ, dodając swoich 7 liter do „y”, położonego w polu O7. Polak wtedy „dociągnąłby”, gdyż zagranie np. słowa NAF-TOWY, a potem SPÓŹŃMYŻ dałoby aż 428 punktów! Nb. fławita jest anagramem wyrazu fałwita, czyli kalamburu o literze „v” (występującej w Van Veen), która kogoś „wita” lub też jest przez kogoś „wita”, czyli kreowana.

Innym razem *Lucetta* wylosowała literę, składające się na „zabawne słowo WANIADA” (MUZA, 273; AD, 226: „the amusing VANIADA”). Próbowano z kalamburu – WAN I ADA – ułożyć DIWANIE (‘kanapie’), ale mogła wydusić z tego zestawu tylko DIWAN (po polsku byłoby: DAWANIA oraz kalambur „da Wania”). Nabokov czy też Van polubił ten wyraz, bo ostatni rozdział zaczyna się eksklamacją: „Nirvana, Nevada, Vaniada” (AD, 583), co po polsku brzmi prawie identycznie: „Nirwana, Nevada, Vaniada” (MUZA, 697). Takie są możliwości ANAGRAMS, czyli ARS MAGNA. Co innego zabawa w **prolongacje** leksykalne. Przypomnijmy kilka przykładów!

Niekiedy owe tajemnicze prolongacje trzeba złamać jak zryf! Powtarzająca się nazwa własna Aardvard (MUZA, 27, 28) jest

zapewne aluzją do Harvard. Podobnie tytuł pisma „The Artisan” (AD, 502; MUZA, 599) należy odczytywać jako „The Partisan Review”. Nazwisko d’Onsky (MUZA 25) łączy chyba poprzez Dońskiego bohaterów Puszkina (Oniegina i Leńskiego); a do nich dołącza się też bankier Bolenski (MUZA 290). Gdy się kimś pogardza, to z Wrońskiego staje się G.A. Wrońskim (MUZA, 42, 241). Gdzie tam psychiatrze P.O. Tiomkinowi do księcia Potiomkina (MUZA, 223). Nawet Ada, Adoczka, to „adowa doczka (córa piekiel)”, bo po rosyjsku „ad” oznacza ‘piekiel’ (MUZA, 482 i 274). Kogoś prezentuje się jako V.V. Sektora, pewnie specja od wiwsekcji (MUZA, 441). Ada powiada do Vana o igraszkach, grając na sylabach francuskich oraz rosyjskich: „nie powinniśmy się obawiać, że [Lusia] zobaczy nasze *ébats* (z tryumfalnym łobuzerstwem, za które chwalo- na jest też moja proza, umyślnie wymówiła pierwszą samogłoskę *à la Russe*)” (MUZA, 472; czyli „e” jako „je”). W innym wyrazie – „condor – należy „nosowo wymawiać pierwszą sylabę” (MUZA, 576), by utworzyć „najlepszy anglo-francuski kalambur” (MUZA, 784). Mogę tu nadmienić, iż po polsku skrabliści potrafią z 15 liter, mieszczących się w jednym szeregu na planszy, wykrzesać aż 12 słówek: BA, BAL, BALS, BALSZA, BALSAM, BALSAMU, BALSAMUJ, BALSAMUJĄ, BALSAMUJĄC, BALSAMUJĄCE, BALSAMUJĄCEJ, NIEBALSAMUJĄCEJ...

Jestem przekonany, że w tytule również pojawia się opisywany rytuał **prolongacji** wyrazów. Bo co komu może przeszkadzać rosyjska partykuła ‘tak’, czyli DA, poprzedzona przez „prefiks” A? Czyli już tu byłby oksymoron, bo piekielnym klimatom („iz ada”) towarzyszy optymistyczne słówko TAK? Wszak: „powiedziała Ada – *da, da*, Ada wynurzy się z piany za kilka sekund” (MUZA, 469). Może Van przekształcać się w Iwana, to i Ada powinna mieć prolongację imienia, nie tylko w Adełajdę, ale i w coś dziecinnego („dada”), a także dwuznacznego („a da Ada, a da”). NB., już D. Barton Johnson w roku 1985 w eseju *The Scrabble Game in „Ada”, or Taking Nabokov Clitorally* sugeruje przedłużkę do słowa LITORAL przez dodanie litery C, co znane jest skrablistom z książki *Scrabble Word-Building Book*, comp. by Saleem Ahmed with Carol „Yasmin”, Aisha and Seema Ahmed. *A Family Project*. „Pocket Book”, New York 1991, s. 299, s.v. Litoral (alonz: Clitoral). W sytuacji z planszy fławity, gdy Lucetta wylosowała 6 liter (R, O, T, I, K, L), to potrafiła ułożyć tylko słówko ROTIK (‘usteczka’), a Van i Ada sprzeczą się, czy mogła wysilić się na coś więcej; Veen powiada: „wykształconemu medycynie graczowi w **angielskiego** scrabble’a, potrzebne byłby jeszcze dwie litery i mógłby ułożyć na przykład STIRCOIL, dobrze znany środek pobudzający gruczoły potowe, albo CITROILS, których stajenni używają do nacierania młodych klaczy” (MUZA, 453; AD, 379; autor wymyśla obie firmowe nazwy leków, a nie podaje właściwego terminu anatomicznego!). Inna gra słów polega na rymowaniu „brambles” (AD, 285; ‘ciernie, krzaki



Vladimir Nabokov, 1973 r.

kolące’) z „rambles” (ibid.; ‘włóczęgi’); tłumaczowi, wyjątkowo, nie udało się zasugerować tej prolongacji: „Ada wróciła z jednej z ciągnących się w nieskończoność przydróżek, jak nazywała swoje wędrówki przyrodoznawcze” (MUZA, 343; gwarowa „przydróżka” – ‘przydroże trawiaste’ – jest pięknym, rzadkim wyrazem!).

Czytając *Raptularz wschodni* Słowackiego napatkałem słowo feluka (‘niewielki statek używany na Nilu’), którego nigdy przedtem nie miałem w ustach! Napisałem nowatorski **limeryk** pt. *Kufel (z pięcioma anagramami)*: Nie mów do Dzierżyńskiego: FELKU, / Bo przy FLEKU o szumie FELUK / Zapomnisz, toż KUFLE / I dym z wonnych LUFEK / Lecą w siną dal, PANTOFELKU! Zdopingo- wany lub wystraszony tym wyczynem, wyastosowałem do siebie **Memento PASZKOWI**: Czemuż, Waszeć, tak nas OKPIWASZ? / Czy na „Żegnaj!” ręką POKIWASZ? / Smaczną kość SZPIKOWA – / Zeżre ją PIWOSZKA! /

Uda się ująć z jej rąk SZPAKOWI? Czyli łatwiej skrabliście ułożyć limeryki, oparte na anagramach, a nieco trudniej znać wszystkie **przedłużki!** Typu: źle – gźle, dzięki – wdzięki, nawóz – znawóz, pól – opól (od opoła, ‘deska’), entego – tentego, kłęska – wkłęska (od wkłęsek – ‘skórzana wkładka w bucie’), wójcie – dwójcie [się], stonóg – ustonóg, ecydia – cecydia (‘ogniki’ i ‘wyrośla’), ibidem – libidem (freudysta z bibliografem idą pod rękę!), odorze – podorze – wodorze (podorze od podorać!), norce – wnorce (wnorka to ‘sowa ziemna’, bo W NORCE, czyli od kalamburu nie da się uciec!) itd., itp., gdyż polskich i zaadaptowanych (czyli przystosowanych) oraz zaadoptowanych (czyli przyjętych w rodzinie) do polszczyzny słówek od 2-literowych do 15-literowców jest ponad 2,5 miliona! Ale cóż to wobec niewyobrażalnych nawet dla kogokolwiek 126 milionów ksiąg, przedrukowanych w Internetowym Projekcie Ocean? ■



Ultima scripta

UNIVERSITAS

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL

„Pisma ostatnie” zawsze są książką przygotowaną przez innych. Niejednokrotnie edytor dopracowuje niezakończoną edycję tomu, nad którym autor trudził się przed śmiercią. Rodzi się z tego zawsze nowa jakość. Są różne „pisma ostatnie”. Raz to sążniste rozprawy, innym razem drobiazgi krytyczne, a czasami *cicer cum caule*, czyli wszelkie bibeloty zebrane z naukowego biurka. Niejednokrotnie dziwimy się potrzebie takiego zbierania. Może nie zawsze warto zbierać?

Gdyby porównać książki znamienitych polihistorów ubiegłego stulecia, *Pisma ostatnie* Henryka Markiewicza różnią się np. od *Prac ostatnich* Jerzego Ziomka. Te drugie były planowaną edycją rozpraw i studiów, więc tego, co każdy badacz pragnie po sobie pozostawić. Te pierwsze są zbiorem elementarnych pouczeń i koniektur na marginesie innych prac, jakie powstają stale, w nadmiarze i bez refleksji. Są więc prace ostatnie dla potomności (jak u Ziomka) i prace ostatnie dla przestrogi (jak u Markiewicza). Przestroga zaś tym cenniejsza, jeśli formułowana przez jednego z największych uczonych naszego czasu. A także tego, który nie wyrzekł się powinności nauczania. Jak pisał Antoine de Saint-Beuve: krytyk to ktoś, kto umie czytać i chce tego nauczyć innych.

Pisma ostatnie Markiewicza zostały więc pomyślane (również) jako rodzaj dydaktycznej polemiki, która zawsze należy się młodszemu i nie-uważnym, żeby nie popełniali błędów w sztuce wyślowienia. To znaczy, żeby nie zaciemniaли swoich poglądów, albowiem – jak uczył Kwintylijan – ci, którzy nie rozumieją, boją się prawdziwości sądów, albo – jak uczył Cyceon – nie chcą mówić wprost, żeby nie objawiła się nie-kość mówiącego.

Markiewicz jest w swoich nauczycielskich przestroгах kategorię, ale też i dokuczliwy, bo trudno powiedzieć, by był złośliwy. Dokuczliwość polega na tym, że wypomina różnym polonistom (popularnym i jeszcze nieznanym) ich – niestety – brak uważności, często brak uczoności, a często megalomanię. Jak się pisze, to ponosi się za swoje słowa odpowiedzialność. Zasłużenie więc Markiewicz gromi i laje. Złośliwość byłaby wtedy, gdyby z tej przestrogi, przygany czy połajaneek wynikała dla piszącego jakaś satysfakcja. Tutaj tak nie jest.

Utarczki Markiewicza z innymi, zdaniem edytorce tomu, Teresy Walas, zrodziły się z niezgody na postmodernistyczną opcję polskiego literaturoznawstwa. Łaskawe usprawiedliwienie. Śmiech Profesora jest niezgodą na belkot nowej teorii literatury, która nie wie, co chce powiedzieć, bo w ostatniej części zdania już nie pamięta o części pierwszej. Markiewicz wymaga jasności myśli lub rzetelności przytoczenia – tyle. Okazuje się jednak, że z tym wcale niekoniecznie jest dobrze. Polonistom wszystko się myli, bo piszą o utworach, które dawno czytali; a co więcej – myślą się im konteksty, okoliczności, fakty historyczne i drobiazgi. Brzytwa polemisty jest więc ostra: tnę po wszystkich. Jak gdyby chciał powiedzieć, że odpowiedź na pytanie Norwida, czy śpiącego da się obudzić grzechnie, jest tylko jedna. Nie da się.

Pisma ostatnie są, w jakimś sensie, dziennikiem lektury. Wymagającej, bo drobiazgowej; niepopchnętej, bo niezwykle szczegółowej. Markiewicz

nie koncentruje się na potknięciach stylu (to także, ale nie sprawia mu to adiustacja radości), czy na nadmiernych uogólnieniach (bo są one często ucieczką przed jasnym wyrażeniem stanowiska). Polihistor wymaga od autora uważności, to znaczy tego, co powinno cechować uczoność, który – mając respekt do postulatów szkoły *Annales* – nie ucieka przed dogłębnym wyjaśnieniem źródła i jego znaczenia. Możemy się różnić w interpretacji znaczeń, mówi Profesor, ale nie możemy relatywizować źródła. Teresa Walas napisała o tym tak: „tym, co nim kierowało, było poczucie odpowiedzialności, na powszechny deficyt tego poczucia się uskarżał i brak jego zwalczał”.

W swoich, jak je chętnie nazywał, „utarczkach”, „perswazjach”, „polemikach”, „opiniach” czy „komentarzach” zawsze chodziło Markiewiczowi o godność dyscypliny. Co to znaczy być godnym dyscypliny? Wielu uważa, że takie pytanie jest anachroniczne i nic nie wnosi (albo wnosi niewiele) do rozumienia „nowoczesnej” humanistyki. Dlatego przypominę tu zdanie ks. Józefa Tischnera: „Godność jest warunkiem możliwości doświadczenia wszelkiej wartości”. I jeszcze jedno zdanie: „Aktem, którym potwierdza się godność jest akt wolności fundamentalnej”. Ergo: wolność jest zgodą na wybór, a wybór zawsze jest akceptacją wartości. Bylejałość także jest wyborem, ale tutaj nie można już mówić o godności; pospieszność też jest wyborem ale nie można przy niej mówić o sumiennosci sądu.

Zmierzam do tego, że – niezależnie od zajmowanego stanowiska badawczego czy krytycznego – Markiewicz zawsze oczekiwał od polonistów tego, co dawniej nazywało się porządnością, a dzisiaj znowu określa się mianem zaangażowania. W tym znaczeniu, ganił nadmierną subiektywność interpretacji, przypominając, że nie ma dla niej miejsca w nauczaniu sensów; „uprawianie tak subiektywnej interpretacji – napisał – niekoniecznie uczy precyzyjnego logicznie myślenia – raczej sprawniej uczył go przedmiot zwany kiedyś propedeutyką filozofii”.

Pomijam w tej recenzji nazwiska, które Profesor w ten czy inny sposób wywołał do tablicy. Zapewne ich układ mógł być inny niż jest, ale jest taki, jaki jest. Koryguje więc błędy, nieścisłości, czasami temperuje ambicje, ale nie ma w tym – jak już zostało powiedziane – złośliwości. W zakończeniu jednego ze swoich esejów napisał: „Może w tych zarzutach jest przesada, skrzywienie pedantyczne, może wymienione tu uchybienia są nieuchronne w swobodnej ustnej debacie? Ale czy nie można było choć w części ich uniknąć przez większą staranność i odpowiedzialność za dyscyplinę myśli i słowa?”

Pisma ostatnie są tylko w jakiejś mierze realizacją uprzednio powziętego pomysłu. „Książki, które nie były publikacjami naukowymi o charakterze problemowym, Henryk Markiewicz – napisała Teresa Walas – miał zwyczaj kompletować z ogłoszonych wcześniej artykułów i rozpraw, układanych w tematyczno-problemowe konstelacje”. Słowo „konstelacja”, coraz bardziej popularne w krytyce, oznacza zestawienie, układ, zbiór. Ale oznacza także wewnętrzne zdynamizowanie myśli, która przenika przez zgromadzone w jednym miejscu teksty. Przez ich gatunkową wyjątkowość.

W „utarczkach”, „perswazjach”, „polemikach”, „opiniach” czy „komentarzach” Markiewicza chodziło więc o takie zestrojenie znaczeń, by ganić za pomyłki, ale nie narzucać godności osobie. Zdarzyć się może każdemu, że się zdrzemnie, jak Homer, lub nierozważnie poleci w przestwór, jak Ikar. Henryk Markiewicz wiedział o tym doskonale, dlatego tym usilniej domagał się zgody na racjonalność. *Dubito ergo cogito, cogito ergo sum*. To Kartezjusz, ale także Markiewicz, kładący silny nacisk na *cogito*.

Henryk Markiewicz: *Pisma ostatnie*. Wybór i wstęp Teresa Walas. Opracowanie Jacek Błach. Universitas, Kraków 2020, 524 s.

Zeskrzydła przedniej okładki patrzy na mnie wyzywająco trzydziestoletni autor książki zatytułowanej *Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku* – pochodzący z Gliwic Zbigniew Rokita. Przekrzywia głowę w oryginalnym, chyba wschodnim nakryciu i zawadiacko puszcza do mnie oczko wyzwania. Rozpięty zamek kurtki zapowiada otwartość i bezpośredniość. Jest w tym spojrzeniu coś szelmowskiego, a żabia perspektywa sprawia, że w jakiś sposób jest zaczepnie wyżej ode mnie, przypięty jednocześnie do książkowego druku. Dlaczego tak? Dlaczego zaczynam od zdjęcia? Sam autor poprowadzi nas poprzez losy swojej rodziny i Śląska wygrzebując z domowych szuflad i sztambuchów właśnie fotografie, zapiski i inne dokumenty osobiste. Wyłuskuje je, tropi, szpera po szafach i wydobywa z pokładów rodzinnej pamięci, by przyjrzeć im się uważnie, pieczołowicie, dokładnie, jak numizmatyk, jubiler czy inny „zegarmistrz światła”. „Fotografia pokazuje, jaki powinien być świat. *Ordnung muss sein*. Matka trzyma dłoń na ramieniu córki, ojciec na ramieniu syna. Wszystko ma swoje miejsce, dorosli jak zawsze nie zdradzają oznak człowieczeństwa, są godni i poważni, ale dzieci już nie: Reinhold chichra się do obiektywu, po Lieselotte widać zawstydzenie. To dobrze, dzięki nim na zdjęciu jest życie” – czytamy w opisie zdjęcia antenatów, które prawdopodobnie zostało zrobione: „między zagarnięciem przez Hitlera Austrii w marcu, a aneksją części Czechosłowacji w październiku”. Takie zestawienie rodzinnej, niemal intymnej relacji z jej kontekstem historycznym będzie podstawowym sznytem Rokitowej opowieści. Wygrzebane spod ziemi artefakty, cudem ocalałe jak paprocie odcisnięte w złożach górnośląskiego węgla – ta metaforyka raz po raz pojawi się w *Kajś* – nie służą jednak do budowania rodzinnego mitu, czy przyozdabiania górniczego munduru, jak można by podejrzewać, ale są pożywką do budowania własnej, śląskiej tożsamości, z którą nie zawsze było autorowi pod drodze, który pod koniec opowieści wyzna: „dopiero kilka lat temu zacząłem przeproszać się ze swoją śląskością, bo tylko tak mogłem gdzieś się zakorzenić. Potrzebowałem następnie paru lat, żeby pozbyć się choć krztyny wstydu w związku z tym, skąd pochodzę, a później sobie tą tożsamość ulepić, zebrać wszystko, czym tożsamości się karmią: miejscowe mity, żale, megalomanie, stereotypy. I wciąż sobie ją lepię, bo polskość jest w pierwszym lepszym podręczniku do polskiego czy historii ujarzmiona, doszlifowana, a podręczników do górnośląskości nie ma i każdy ma swoją. To tożsamość, na którą trzeba sobie zapracować”. Jak wygląda zatem efekt owej pracy i emocjonalno-intelektualnych zmagani? Jaki ma szlif, brylantowy czy schodkowy? Wszak od niego zależy stopień odbicia światła oraz ukrycie ewentualnych defektów i niedoskonałości. I nie bez kozery używam tutaj odwołania do jubilerskiej roboty, wszak jedni widzieli w Śląsku „perłę w koronie”, a inni „szmaragd Europy” okolony „czarnym złotem”.

Wprawdzie Rokita dopowiada metaforycznej *Kajś* gatunkowym podtytułem „opowieść”, ale nie dajmy się zwieść, bo ta sama w sobie nie jest skryształizowanym gatunkiem literackim, a rodzajem przejścia między małą, a dużą formą epicką. Czyżby zatem i deklarowana „opowieść” niosła z sobą



Zbigniew Rokita
Kajś
Opowieść o Górnym Śląsku

Oswajanie tożsamości

KSIAŻKI

PIOTR SKOWRONEK

ukryty, śląski podtekst. Już bliżej *Kajś* do nowoczesnego reportażu historycznego, o którym autorka „czarnego ogrodu” powie, że trudno jednoznacznie określić co nim jest, a co nim nie jest, zaś Anna Wróblewska sklasyfikuje go jako formę współczesnej etnografii. Nie mniej rozpoczyna się i gawędziarsko, i reportersko naraz, a sam narrator od pierwszych słów brzmiących: „Moi przodkowie używali sobie dzieje” jest postacią niezwykle wyrazistą i zdeterminowaną. To wielki atut, bo tylko z krwistym „ja” jesteśmy w stanie się zaprzyjaźnić, spierać i droczyć w tak skomplikowanym temacie jak śląska tożsamość. Tylko takie, wolne jest od wszelkiego „ex cathedra”, nie stawia nas pod ścianą jedynie słusznych stereotypów i uogólnień, a przy tym jest jednocześnie literackie i prawdziwe.

Autor na początku pozwala nam uwierzyć w pamiętnikarski charakter swojej roboty. Tekst poprzedzają: motto, mapy, plan Gliwic i „Uproszczone drzewo genealogiczne rodzin Hajoków, Kieslichów i Krauthakelów”. Wyznanie: „Moim pierwszym śląskim przodkiem, który miał imię i nazwisko, był, odkąd pamiętam, prapradziadek Urban Kieslich, stolarz z domu na urokliwej Kirchstrasse. Zawsze był dla mnie człowiekiem, który zginął na swoim podwórku od odłamka bomby. Tyle się w rodzinie zapamiętał” – uprawomocni to odczucie, bo też rodzinna opowieść, a raczej jej budowa, będzie osi konstrukcyjną, szkieletem wokół, którego rozrosnie się myślenie o Ostropie, Gliwicach, Górnym Śląsku czy Śląsku w ogóle.

Rokita opowiada nie tylko o tym, jak wzbierała w nim wola samopoznania, ale na naszych oczach przeprowadza szeroko zakrojone śledztwo na temat swojej jaźni, a tym samym jaźni Górnoślązaków z całym subiektywizmem własnych i cudzych odczuć i poglądów. Już u progu opowieści towarzyszy mu „nasz” doktor John H. Watson czyli Zbigniew M. Kadłubek, który „nazwał Ślązaków osiadłymi nomadami: tkwią w jednym miejscu od tysiąca lat, zmieniają się

tylko kraje, w których przychodzi im tkwić” oraz powiedział, że „Górny Śląsk trzeba przeżywać, a nie przeżuwać”. Zmierzenie z tak postawionymi tezami wymaga nie tylko dotarcia do żyjących jeszcze antenatów-świadków rodzinnej historii, ale osadzenia ich w szerszym kontekście opinii wielu ekspertów. Autor pozwala więc na świadków ludzi różnej profesji i poglądów. Są wśród nich lokalni historycy, muzealnicy, naukowcy, publicyści, działacze polityczni, literaci i filmowcy, historycy sztuki, a nawet restaurator, czy nauczycielka, będąca jednocześnie autorką kryminałów. Wszyscy z imienia i nazwiska spisani w rozdziale *Rozmówcy*. Zatem wielogłosowa narracja. Istny chór opinii, stanowisk i idei czasem skrajnych, jak te z Kutza, Smolorza i Eckerta, z którymi mierzy się autor, a i my zmierzyć się musimy. To jednak stanowczo nie wszystko, bo obok historii, zwłaszcza tej XX-wiecznej, która determinuje „tu i teraz”, śledztwo obejmuje: górnośląski krajobraz, język i emocje, które budzi, popkulturę, ruchy separatystyczne czy literaturę światową przełożoną na śląski i literaturę napisaną po śląsku. Spójność tak wielu perspektywom gwarantuje narrator, który rozmawia, czyta, śledzi, ogląda, rozmyśla, spaceruje. Słowem jest wszędzie i wszędzie nas z sobą zabiera. Atrakcyjności narracji dodaje także zabieg, który można by przyrównać do poznawczym rollercoasterem czy górniczą „szolom”. Jedno i drugie nieustannie opada się i wznosi. Rokita podobnie. To przyspila naszą uwagę do szczegółu, to wznosi się, by z rydułtowskiej hałdy Szarlota ogarnąć ponad tysiąc lat śląskiej historii i miejsce „perły” w klejnotach już nie Rzeczypospolitej czy Niemiec, ale Europy i świata. ■

Zbigniew Rokita: *Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2020, 320 s.

Listy pełnią rozmaite funkcje: od informacyjnej przez edukacyjną, perswazyjną po kompensacyjną. Wypowiedzi te, specyficzne ze względu na swoją formę, a także okoliczności powstawania (nie są tworzone bowiem przypadkowo), angażują silnie, w sposób emocjonalny zarówno nadawcę, jak i odbiorcę. Stefania Skwarczyńska, wybitna literaturoznawczyni, pisała, że „list jest częścią życia”, list „powstaje na płaszczyźnie życia, w bezpośrednim z nim związku” i „może być wyraźnym fragmentem życia, aktualnego życia”. Słowa te idealnie korespondują z listami Józefa i Zofii Kretów, jakie małżonkowie wysyłali do siebie w czasie II wojny światowej. Zachowany zbiór korespondencji przygotowały do druku Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Lucyna Sadzikowska, dając do ręki czytelnikom książkę, będącą nie tylko fascynującą lekturą epistolograficzną, lecz także bardzo dobrze opracowaną naukowo publikacją.

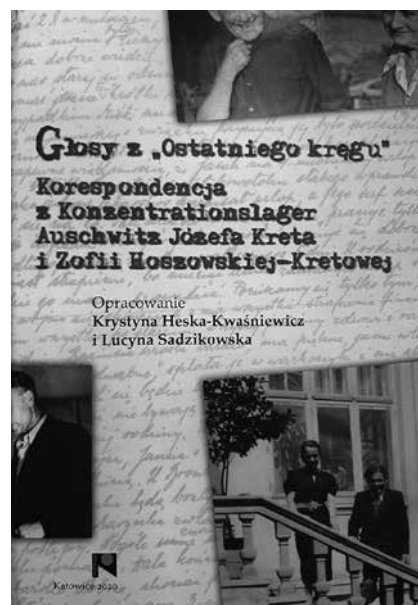
Bohaterami głównymi listów, zawartych w książce pod tytułem *Głosy z „Ostatniego kręgu”*... jest małżeństwo Kretów. Józef Kret „Gazdoszek” to znany społecznik, pisarz, współtwórca Uniwersytetów Ludowych i przede wszystkim pedagog oraz harcerz. Chociaż nie urodził się na Śląsku (jego rodzinną miejscowość to Staromieście koło Rzeszowa), świadomie wybrał tę ziemię jako miejsce pracy i życia rodzinnego. Region ten prawdziwie go zafascynował. Kret w 1933 roku wziął udział w czwartym międzynarodowym zjeździe skautów na Węgrzech, podczas którego zetknął się z delegacją śląską i wówczas postanowił zamieszkać na Górnym Śląsku. W ten sposób rozpoczął się nowy etap jego życia: praca w Urzędzie Wojewódzkim w Katowicach, w Wydziale Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego a także zaangażowanie w lokalny ruch harcerski. W Katowicach poznał także swoją przyszłą żonę – Zofię Hoszowską – również harcerkę i nauczycielkę. Połączyły ich pasje społecznikowskie, umiłowanie przyrody, otwarty na innych ludzi sposób bycia i przede wszystkim głębokie uczucie, które pozwoliło przetrwać najgorsze chwile rozłąki w czasie wojny. Józef Kret i jego żona po wybuchu wojny oraz opuszczeniu Śląska zaangażowali się aktywnie w tajne nauczanie w rejonie rzeszowskim i w działalność innych organizacji tajnych, między innymi harcerstwa. W 1941 roku Józef Kret został aresztowany i po przesłuchaniu w więzieniu w Rzeszowie oraz Krakowie osadzony w obozie Auschwitz-Birkenau. W 1944 roku przywieziono go do podobozu KL Flossenbürg w Leimeritz (Litomierzycy) i tutaj w maju roku następnego oczekiwał się wolności.

Przez cały czas pobytu Józefa Kreta w obozie koncentracyjnym małżonkowie wymieniali między sobą listy. Zachowała się prawie kompletna korespondencja z tych lat, co jest unikatowe i w tym też tkwi wielka wartość książki przygotowanej przez badaczki z Uniwersytetu Śląskiego. Główna część książki *Głosy z „Ostatniego kręgu”*... to blok 49 listów wysłanych przez Józefa Kreta do żony Zofii oraz swagry Adama Hoszowskiego z obozu Auschwitz w okresie od 7 września 1941 roku do 8 października 1944 roku. Drugi zespół stanowi 17 listów Hoszowskiej do męża więźnia obozu. Cała korespondencja opatrzona została w aparat naukowy, dzięki któremu czytelnik poznaje osoby wymienione przez nadawców, często ukryte pod pseudonimami, a także kontekst

Nieznana korespondencja

KSIAŻKI

opisywanych zdarzeń, sytuacji. Bez tej żmudnej, wręcz benedyktyńskiej pracy, listy dzisiaj byłoby praktycznie nieczytelne. Mechanizm szyfrowania wiadomości, jakie badaczki przedstawiły w książce, dowodzi pomysłowości i determinacji Kretów, którzy, z jednej strony, chcąc obejść cenzurę i informować się nawzajem o autentycznych wydarzeniach, musieli stosować skomplikowany zespół tylko sobie znanych znaków, powieści, imion. Z drugiej strony, pragnęli, tak jak zazwyczaj to czynią w korespondencji kochające się osoby, wyrazić uczucia, zapewnić o pamięci i trosce, podnieść na duchu. Treść listów Kretów ze względu na specyficzne warunki, w jakich powstawały, podlegała licznym ograniczeniom. Więźniowie obozów mogli wysłać listy lub kartki pocztowe o określonej objętości, pisane tylko w języku niemieckim i oczywiście nieukazujące prawdy o nieludzkim traktowaniu osadzonych. Jedyne grypsy, przemycane dzięki pomocy osób zaangażowanych w konspirację, dawały autentyczny obraz losów więźniów w obozach koncentracyjnych. Chociaż i w grypsach dominował ton nadziei na rychłe spotkanie. Przykładem może być jedynie tego rodzaju list Józefa Kreta datowany na 24 listopada 1944 roku. W odróżnieniu od legalnej korespondencji obozowej gryps jest dłuższy, lecz, z obawy jednak przed ewentualną dekonspiracją tych, którzy go przemycali, także on zawiera kody zrozumiałe tylko przez małżonków. Józef nie pisze w grypsie o warunkach w obozie, nie chce przede wszystkim martwić żony, i to on stara się, paradoksalnie, podnieść Zofię na duchu. Zapewnia o pokonaniu choroby, o dobrym samopoczuciu, interesuje się losami najbliższych mu osób. Gryps wyróżnia się dużą liczbą zwrotów adresatywnych w formie zdrobniałej i spieszczonych świadczących o niezwykłym uczuciu, jakim darzył Józef żonę i córkę Barbarę. Należy podkreślić, że właściwie cała korespondencja zamieszczona w książce to wyjątkowe świadectwo miłości, uczucia, które poddane okrutnej próbie rozłąki, nie tylko nie wygasło, lecz stało się jeszcze głębsze i autentyczniejsze.



KATARZYNA TAŁUĆ

Listy Józefa i Zofii Kretów pisane w wyjątkowych okolicznościach dziejowych dowodzą także umiejętności epistolograficznych ich nadawców. We współczesnej korespondencji mailowej czy w tweetach trudno znaleźć zwroty językowe podobne do tych, jakimi obdarzają się Józef i Zofia Kretowie. Chociaż możliwości techniczne są dzisiaj o wiele większe od tych sprzed epoki Internetu, to wydaje się, że piszący listy elektroniczne ograniczają się tylko do przekazania informacji za pomocą nieskomplikowanych fraz, a uczucia i stany emocjonalne wyrażają niejednokrotnie poprzez użycie ikon. Czy jednak emotikony powszechnie dostępne odzwierciedlają osobiste, indywidualne uczucie? Czy owe „obrazki” są czymś jednostkowym, owym wyjątkowym kodem zrozumiałym tylko dla nadawcy i adresata listu?

Książka *Głosy z „Ostatniego kręgu”*... jak już wspomniałam, została wyposażona w starannie sporządzony aparat naukowy. Oprócz przypisów, dołączono wstęp, w którym autorki przedstawiają krótką biografię Józefa Kreta oraz charakteryzują zamieszczoną korespondencję. Opracowanie zamyka nota edytorska przybliżająca sposób przygotowania listów do druku i aneks z fotokopiami dokumentów pochodzących z archiwum Józefa Kreta przechowywanym w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. Na koniec trzeba wspomnieć o tym, że omawiana książka koresponduje z inną podobnego typu publikacją opracowaną przez Krystynę Heska-Kwaśniewicz i Lucynę Sadzikowską, czyli z *Listami z Dachau Gustawa Morcinka do siostry Teresy Morcinek*, będąc cennym uzupełnieniem wydawnictw w zakresie piśmiennictwa obozowego i łagrowego. ■

Głosy z „Ostatniego kręgu”. Korespondencja z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Kreta i Zofii Hoszowskiej-Kretowej. Opracowanie Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Lucyna Sadzikowska, Studio Noa. Ireneusz Olsza. Katowice 2020, s. 203.

Ostatnie pięćdziesiąt lat to czas niekwestionowanego triumfu biografii. Ukazały się m.in. książki poświęcone życiu i twórczości: Marii Jaremy autorstwa Agnieszki Daukszy, Jerzego Andrzejewskiego pióra Anny Synoradzkiej-De-madre, Tadeusza Gajcego w opracowaniu Stanisława Beresia oraz Marka Hłaski, której autorem jest Radosław Młynarczyk. Rejestr ten można by rozszerzyć również o książki Izoldy Kiec o Zuzannie Ginczance, Małgorzaty Czyńskiej o Marii Kobro i Wojciecha Orlińskiego o Stanisławie Lemie, a także o monumentalną biografię Witolda Gombrowicza autorstwa Klementyny Suchanow. Niewątpliwym atutem biografii literackich jest zespolenie tego, co znane (twórczości artystycznej) i tego, co niejednokrotnie pozostawało ukryte, zasłonięte, przemilczane w formie panoramicznej narracji, która nie pomija również szczegółów.

Zainteresowanie czytelników biografiami podsycają nagrody literackie, choć to nie ich jedyna rola. „Efekt Jaremiarki”, który sprawił, że nazwisko Daukszy przylgnęło do awangardystki, rozpoczął się na dobre z chwilą przyznania krakowskiej akademickiej Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz” oraz Literackiej Nagrody Gryfia.

Uznanie pozwala na przekroczenie wąskich ram literaturoznawczej profesji, dlatego z roku na rok przybywa ambitnych biografów (często zawodowo zajmujących się literaturą i sztuką), którzy decydują się na zmierzenie z gatunkiem wymagającym panowania nad formą i aptekarskiej skrupulatności podczas projektowania zarysu narracji, jak również podczas archiwalnych kwerend, mogących zrewolucjonizować lub przynajmniej odmienić dotychczasowy obraz twórczości konkretnych autorów.

Życiu i twórczości Wisławy Szymborskiej poświęcono już kilka książek (m.in. *Pamiętka w rupiecie* autorstwa Joanny Szczęsnej i Anny Bikont oraz *Nic zwyczajnego* autorstwa Michała Rusinka), poza tym na rynku wydawniczym pojawiło się kilka starannie opracowanych tomów korespondencji, które pozwalają na rekonstrukcję losów jej przyjaciół i poetkami i poetami (m.in. z Joanną Kulmową, Zbigniewem Herbertem i Stanisławem Barańczakiem), a także uchwytnie zasad, jakie panowały między nią a Kornelem Filipowiczem w okresie trwania ich związku.

Biorąc pod uwagę opracowania (m.in. Anny Węgrzyniakowej, Iwony Gralewicz-Wolny, Stanisława Balbusa i Eryka Ostrowskiego) i rozdziały będące częścią większych projektów literaturoznawczych (m.in. Daukszy i Iwony Smolki), można stwierdzić, że twórczość Szymborskiej umyka jednoznacznym kwalifikacjom i wciąż oczekuje na wnikliwych czytelników. Nic zatem dziwnego, że wraz z renesansem jej poezji (Wydawnictwo Znak regularnie wznawia wszystkie tomy poetyckie Noblistki) wzrasta zainteresowanie jej prywatnym życiem, którego sumiennie strzegła. Chęć poznania jej sekretów wynika przede wszystkim z przeświadczenia czytelników o istnieniu linii demarkacyjnej oddzielającej jej publiczny wizerunek i od tego, który zarezerwowany był dla kolejnych partnerów i rodziny.

Kontur portretu

KSIAŻKI

Jednak, jak przekonuje Joanna Gromek-Illg, autorka książki *Szymborska. Znaki szczególne. Biografia wewnętrzna*, do intymnego spotkania z Szymborską może dojść tylko w jej poezji. To stwierdzenie, które padło w jednej z rozmów biografki z osobami z otoczenia poetki, powinno ostudzić zapal biografów. A jednak sama Gromek-Illg poświęciła autorce *Wolania do Yeti* imponujących rozmiarów publikację, która w pewnej mierze bazuje na ustaleniach Szczęsnej i Bikont. Jej niewątpliwymi walorami są powściągliwość w snuciu domysłów o tym, czego nie ma w korespondencji, a co mogłoby podważyć dyskrekcję uczuć, której hołdowała Szymborska, i świetna kompozycja książki, w której niemało miejsca poświęcono rodzicom poetki. Można oczywiście zarzucić biografce, że akcydentalnie posiłkuje się poezją Noblistki, unikając pogłębionych analiz i przywoływania sądów poszczególnych badaczy na temat poetyckiego dorobku Szymborskiej. Strategia ta wydaje się jednak w pełni zrozumiała w przypadku publikacji liczącej sześćset pięćdziesiąt stron.

Zamiast skrupulatnego rekonstruowania wszystkich konceptów i komentowania strategii pisarskich, jakie pojawiają się w poezji, Gromek-Illg śledzi rozwój życia uczuciowego i zawodowego Szymborskiej. Robi to jednak w sposób taktowny, nie próbując dociec wszystkich tajemnic autorki *Stu pociach*. Równie często pisze ona o relacjach Noblistki z matką i siostrą, a także o środowisku literackim funkcjonującym w niesprzyjających warunkach historycznych. Intymny portret pisarki, która wykazywała również talent plastyczny oraz niepospolite poczucie humoru, przekracza wąskie ramy jednostkowej biografii. Gromek-Illg udało się uchwycić zależności, jakie wytworzyły się między Szymborską a jej kolejnymi partnerami, a także przyjaciółmi. Jej życie rozpięte było między zachwytem i rozpaczą, co biografka udowadnia w kolejnych świetnie skomponowanych rozdziałach.

Mimo że Gromek-Illg nie chce dywagować na temat romansów Szymborskiej, które mo-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

gły wywiązywać się między pensjonariuszami Astorii, a także szczegółowo badać relacji między Szymborską i jej matką, to jednak w kolejnych rozdziałach pojawiają się pojedyncze refleksje dotyczące próby szybkiego usamodzielnienia przez poetkę (jej matka przejawiała apodyktyczną skłonność do kontrolowania Ichny) oraz życia Szymborskiej w uczuciowo-przyjacielskim trójkącie (będąc z Kornelem Filipowiczem, utrzymywała ciepłe stosunki z byłym mężem – Adamem Włodkiem, który sprawował pieczę nad jej mieszkaniem podczas wyjazdów rekonwalescencyjnych).

Książka poświęcona życiu i twórczości Szymborskiej ma układ konstelacyjny: pierwsza część poświęcona jest dzieciństwu poetki, natomiast następuje: powojennemu budowaniu nowego porządku u boku Włodki, stabilizacji pozycji literackiej u boku Filipowicza, a ostatnia przybliża kulisy uroczystości przyznania Szymborskiej Nobla w dziedzinie literatury w 1996 roku. Biograficzna powściągliwość Gromek-Illg budzi szacunek i każe spojrzeć na poezję Szymborskiej jako na intymny pamiętnik pisany dla każdego z osobna i skierowany do każdego poszczególnego człowieka. Można, parafrazując formułę Anny Sobolewskiej, napisać o życiu Szymborskiej, że była to „maksymalnie udana egzystencja”, której zapis skrywają nie tylko listy podane do druku i zdeponowane w archiwum poetki, lecz przede wszystkim wiersze.

Warto dodać, że książka *Szymborska. Znaki szczególne* jest pożegnaniem Gromek-Illg z Szymborską oraz apologią życia wewnętrznego, które manifestowało się poprzez poezję, a dla admiratorów jej talentu zaproszeniem do odkrywania innego portretu poetki. Być może fenomenem Szymborskiej było to, że każdy tworzy jeden, niepowtarzalny portret Noblistki. ■

Joanna Gromek-Illg: *Szymborska. Znaki szczególne. Biografia wewnętrzna*. Znak, Kraków 2020, 654 s.

„Jedynie prawda jest ciekawa” – credo pisarskie Józefa Mackiewicza odaje w pełni całą głębię życia i twórczości Edmunda Borzemeskiego, który po pięciu latach milczenia powtórnie zabrał głos w poezji. W tomie o znamienym tytule: *Hieroglify drogi*, przyznaje się do ruchowego ograniczenia. Czego w przeszłości nie czynił? No może w bardzo dyskretnej formie. Nieostrzegalnej dla wielu. Owe hieroglify, najstarsza forma pisma egipskiego, „święte znaki” (obrazki) przez stulecia zapomniane i niezrozumiałe, synonim tajemnicy, nieodgadnionej drogi to klucz do wędrówki po labiryntach lęku. Ale w błędzie byłby ten, kto by pomyślał, że poeta zamknął się w „skorupie miejsca” (w Korfantowie). Borzemski przybrał postać wędrownego ptaka, a w jego ziemnym „locie” pobrzmiewają mitologiczne echa (Charon, Poli-fem, Endymion) i biblijne umocowanie.

Głos o tym zbiorze zabrał prof. Marian Zembala, któremu także przytrafiło się zgrzeszyć wierszem: „Edmund zjawia się ponownie (...), aby raz jeszcze do nas przemówić poprzez mający charakter lustra osobisty dziennik, w którym skrupulatnie zapisuje świat wokół nas i z typową dla siebie wrażliwością przypomina nam o dostrzeganiu potrzeb bliźnich, w zawsze odważnym dialogu z Opatrznością, z którą wadzi się o drobiazgi i pryncypia”.

Bardzo znamieną jest obawa poety przed straceniem do poetyckiego piekła. Ale nie on jedyny z poławiaczy słowa drży przed czeluścią zapomnienia. Drżą wszyscy ubrani w kamienne twarze, ze wzrokiem martwym i wyniosłym. Borzemski ma jednak nadzieję: „Lecz do Ciebie / należą słowa / ostatnie i pierwsze – / Wszak Alfą jesteś / i Omega”. Takie wyznanie może złożyć tylko osoba głęboko wierząca, dla której ziemski padół to strome schody do przedproża Eden, pełnego ksiąg i skryptów; słów nieodkrytych, czekających na (ponowne?) zapisanie! Z ziemską niepewnością, czy droga poety to droga właściwa: „Warto być lotrem, / celnikiem, niedowiar-kiem – / ich w pierwszej kolejności / zapraszasz do raj?” Czeką na nieuchronne: „Za chwilę / chwytem pod ramię / poprowadzisz mnie / w podróż, / z której nie wrócę”. I spotka poetów, których znał osobiście, i tych z historii literatury, którzy wytyczali poetyckie szlaki, a pokrył ich kurz zapomnienia.

Wiersze z początkowych stron książki, nasiąknięte doświadczeniem życiowym i Hiobowym życiorysem Borzemeskiego, to nauka trwania w bólu, pokorze, zaduma nad nieprzewidywalnością wyroków Wszchemogącego. Ale w dalszej części tomu poeta oscyluje między refleksją filozoficzną, a przywoływaniem płonącej w pamięci rzeczywistości: „Chciałbym się wymknąć / przez niewidzialne okno; / na niewidzialnej drodze / odnajdywać niewidzialne ślady / odcisnięte stopą wy-

Hieroglify drogi

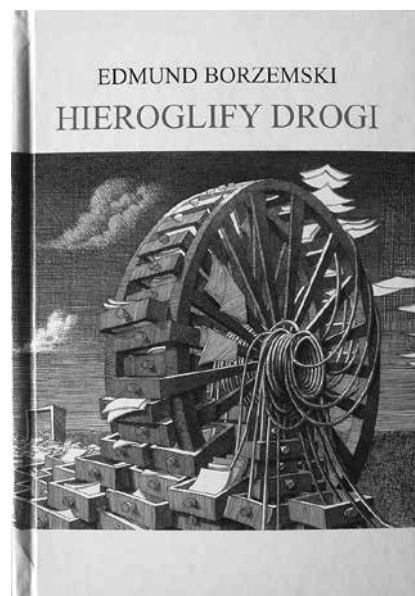
KSIAŻKI

obraźni, / prowadzące na skraj chwili, / której ulotność / jedynie pewna. // Chciałbym / niewidzialną łodzią / przepłynąć na brzeg, / którego nikt nigdy / nie widział”. Ten sposób i spokój obrazowania przynosi narratora w przestrzeń znaną tylko jemu. Wędrując ścieżkami wędrytymi przez (duchy) przodków, „Wprost z Twoich ramion / uciekam w wiersz. / W nim / z wyobraźnią prowadzę / dialog”.

Dla Borzemeskiego połączenie metafizyki i doczesności jest naturalne: „Pustko lustrzanej ramy – / wchłon mnie”. Osamotnienie, stan, z którym musiało się mierzyć wielu twórców, to cena, jaką przychodzi płacić za nadprzejętność. Życie doczesne kieruje się swoimi prawami. Czy wystarczy powiedzieć: „Rzucam się / w ramiona sadu. / Przykładam ucho / do pnia jabłoni. / Słyszę w niej życie”? Nie znamy odpowiedzi, ale mamy nadzieję?

Lubię u Borzemeskiego – poety wspomnień – jego powroty w dzieciństwo, jego motywy i kostiumy wsi. Wierszom towarzyszy nostalgia, zwłaszcza za babcią. Przykładem *Spotkanie pierwsze i ostatnie*, gdzie językiem poetyckiej ekspresji personifikowane jest odejście. „Na jej powitanie / włożyłaś suknię / uszytą z dostojności – / błyszczące lakierki / i czarne pończochy. // Objęła Cię ramionami / jak najmilszą siostrę – / przeszłyście bezszelstnie – przez ścianę. // Łza spadła mi / kamieniem”. Akcentami eschatologicznymi wybrzmiewa cała twórczość poety. Konstrukcje plastycznych obrazów osadzają tę poezję w codziennej naturalności, mimo że wiersze duchowo nawiązują do starożytności. To wynik zafascynowania kulturą śródziemnomorską jako podstawą tożsamości narodów współczesnej Europy.

Dochodzimy do poetyckiej wrażliwości na drugiego człowieka, a także zwie-



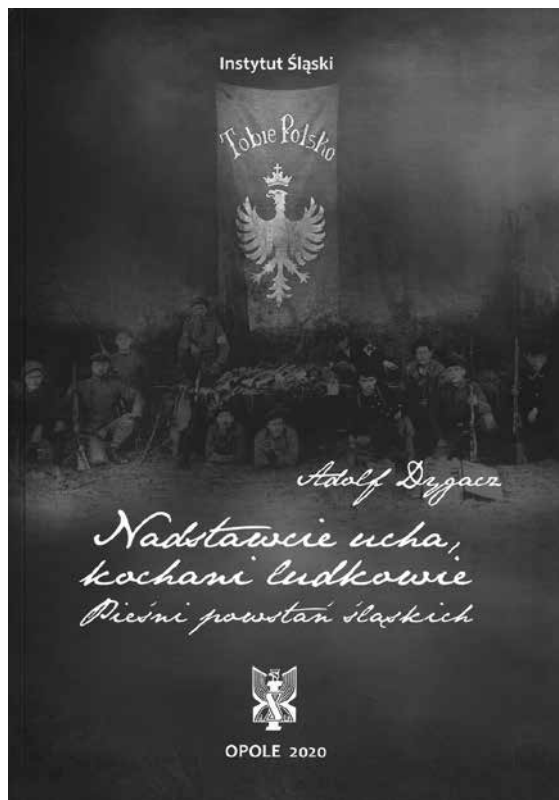
JERZY STASIEWICZ

rzę. A w *Hieroglifych drogi*, opatrzonych dedykacjami, to jakby utrwalenie w wieczności księgi ludzi bliskich poecie i mających na niego wpływ. Takie są wiersze poświęcone prof. Marianowi Zembali, pamięci Wojtka Skałuby, Marysi Ruszeckiej. Borzemski umie opowiedzieć lapidarnie opowiedzieć o człowieku. Czy tego można się nauczyć? Nie. Chyba nie? Z taką zwięzłością myśli trzeba się urodzić. I jeszcze latami eliminować zbędność słów.

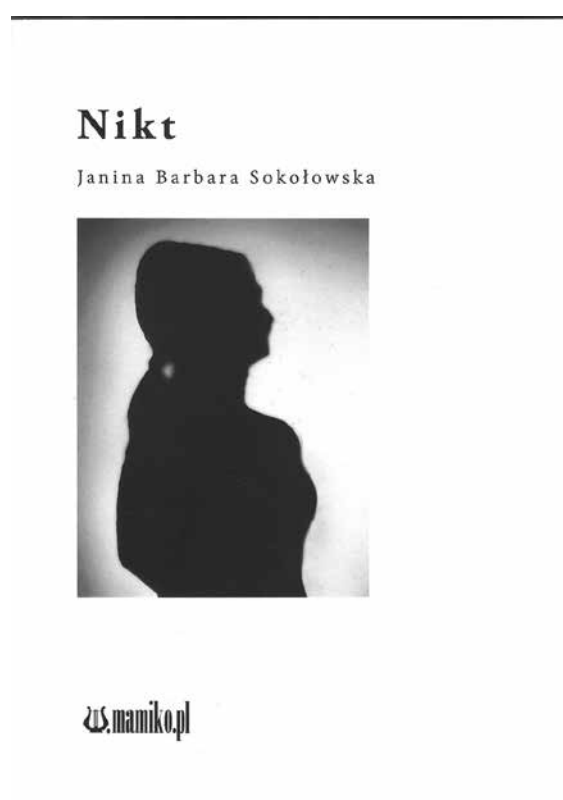
Przypomnijmy wiersz dedykowany Leopoldowi Kozłowskiemu: „Choć kroki przechodniów / na twoim bruku, / ulico Szeroka, / w rytm żydowskiej muzyki – / tutaj pamięć ma zapach / dymu z krematoriów. // Na Twoim bruku, / ulico Szeroka, / dogoniła Jachimka / niemiecka kula. / Ta krew nadal stygnie, / a życie Matki jego / już bez sensu. // Mordechaj miał / lat dziewięć, / a pożarł je rak. / Tylko kamień / zostawiony na grobie / znał jego marzenia. // Ech, Leopoldowe cymbały, / grajcie, / grajcie pamięć”. I Tadeuszowi Soroczyńskiemu: „Łowili słowa / w sieci metafor, / a teraz orzesz / Pańskie pola. / I pewnie dobrze Ci tam / odpoczywać w niebieskim sadzie. // Zasluchany w rzenie Pegaza / spoglądasz na nas, / a my / z drzewa pamięci / zrywamy wspomnienia / jak Ty kiedyś jabłka / w swoim sadzie”.

Dziękujemy Edmundowi Borzemeskiemu za jego wiersze. Z poetyckiego sadu – poety z Prężynki – czerpiemy do dziś. A z biegiem lat wydaje się on jeszcze bardziej tajemniczy i większy. ■

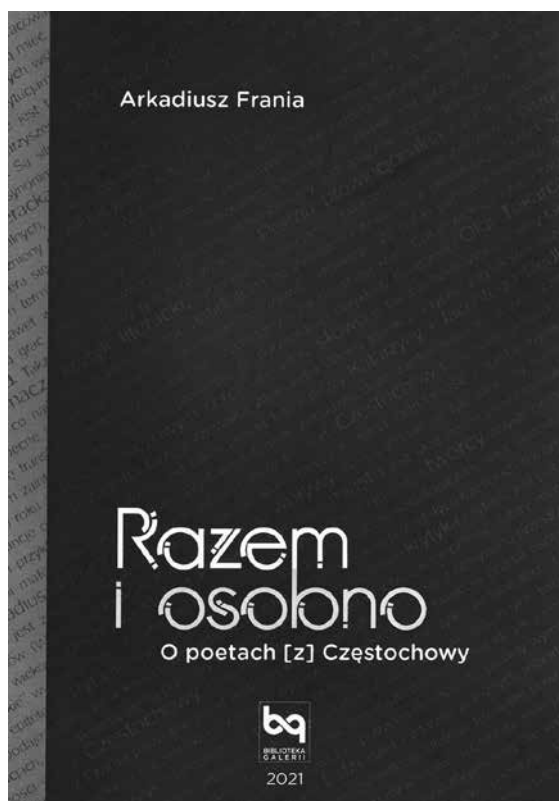
Edmund Borzemski: *Hieroglify drogi*. Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. E. Smółki w Opolu, Korfantów 2020, s. 130.



Adolf Dygacz, *Nadstawcie ucha kochani ludkowie. Pieśni Powstań Śląskich*. Wydawca: Instytut Śląski, Opole 2020



Janina Barbara Sokołowska, *Nikt*. Wydawca: Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2021



Arkadiusz Frania, *Razem i osobno. O poetach z Częstochowy*. Wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2021.



Stefan Pastuszewski, *Krótka historia literatury w Bydgoszczy*. Wydawca: Instytut Wydawniczy „Świadek”, Bydgoszcz 2020.

Czarna seria, czyli kto jeszcze żyje?

O malarstwie Agnieszki Czyżewskiej

MACIEJ MELECKI

Zniesienie jakiegokolwiek transparentności i unicestwienie figuratywności w polu odbioru świata zdają się podstawowymi kwestiami kierunkowych napięć, które są podobrazem poszczególnych wizji nanoszonych w efekcie na dzieła Agnieszki Czyżewskiej. Albowiem widać wyraźnie w jej malarstwie dominujące zasady – wywodzące się bezpośrednio z tradycji filozoficzno-estetycznej, postulowanej przez chociażby Maurice’a Blanchote’a – związane z postrzeganiem zjawiskowości rzeczy, realizowane w kategoriach niwelujących jakąkolwiek możliwość klasycznie proporcjonalnego przedstawiania, które wywołane są raz po raz szerokim kątem namysłu nad sposobami unaocznienia nieprzedstawialnej obecności wszelkich postaci emocji, wrażeń czy intelektualnego namysłu. Skłębienie linii, zakrzywienie planów, ostre zacieranie konturów oraz gwałtowne przeskoki podejmowanych wątków to atrybuty niewątpliwie służące osiągnięciu przez autorkę głębokiej dynamiki przekazu, który razem umyka jakimkolwiek próbom definiowania samej treści. Byłaby to swoista realizacja *Czystej Formy* – posługując się terminologią Witkacego – wsparta ekspresjonistycznym i abstrakcjonistycznym rodowodem, mającym silne zakotwiczenie w malarstwie Jacksona Pollocka i Willema de Kooninga. Tego rodzaju proweniencja okazuje się zmienną ogniskową, idealnie mieszczącą postulatowy charakter prac malarskich autorki. To właśnie w owej zmienności – jako jednostkowym zoomie, wyłaniającym się częstokroć z ukosa, energicznie pokazującym szereg linearnych zerwań i niezwykle sugestywnie ukazującym załamywanie się wszelkich postaci widzialnego – trwa nieustannie rodzaj malarskiej fluktuacji, wytwarzanej dzięki nacierającym na siebie wizjom, generującej w konsekwencji stan ujawniający proces wkradania się w iluzję klasycznej percepcji naturalnego zaburzenia. Dzięki niemu możemy również obserwować skalę degradacji sfalsyfikowanych treści, uchodzących za prawdziwe w tradycyjnych ewokacjach. Obraz byłby tedy – w autorskiej, przypisywanej mu intencji – niezależnym od wszelkiej powinności spektrum wykluczających się i częstokroć antynomicznych wymiarów, a także niepodległym prawu ciężenia zbiorowiskiem niewyhamowanych niczym przemieszczeń, które to elementy, dzięki swej stałej płynności naruszają zastygłą klatkę realistycznego kadru czy fragmentu jako odprysku rzeczywistości zewnętrznej. Ostentację ową uruchamia zawsze potrzeba gestu. W tym wypadku – wymierzonego w dyktat osaczenia racją faktu, ujmowaną – dodajmy – zawsze werystycznie,

i którego bezpośrednio emanacją jest rozplecionia kultura obrazkowa. Agnieszka Czyżewska zdecydowanie lokuje się w kontrze wobec takiej opresji, manifestacyjnie sięgając w zdeformowane i widmowe zaślony nie tylko swoich odczuć czy przeżyć, a następnie z wielką swobodą, graniczącą z dezynwolturą, skutecznie transponuje je w swój – jedyny i konieczny – świat spiralnych i meandrujących uwidocznień. Waloorem takich wyborów, wynikających z głęboko zakorzenionych artystycznych doświadczeń, jest nieustanny tok pracy, przynoszący stałe rozszerzanie zakresu coraz to bardziej radykalizujących się form, których istocznikiem jest narastający natłok spiętrzeń brawurowo wykraczających poza konwencjonalną ramę odbioru – stanowiących dla autorki wypadkową sumę pęknięć i rozszczepień, składających się na spolaryzowany obraz życia i świata.

Kto jeszcze żyje oraz *Czarna seria* to niezwykle dramatyczne tytuły najnowszej ekspozycji obrazów Autorki. Składają się na nią prace powstałe na przestrzeni ostatnich trzech lat – mające w swej skali różne formaty – konsekwentnie pogłębiające estetyczne motywy oraz formy stylu artystki. Niefiguratywny charakter obrazów Czyżewskiej od wielu lat jest jej estetycznym signum. Przestrzenie oraz połać obrazów zapełnione są rozrysowanymi wizjami ekspresyjnych rzutów: linii, plam, rozmazów czy też zatartych jaskrawo konturów, które to elementy nieustannie na siebie nachodzą, powodując stłoczenie widmowej postaci oglądu świata wywołwanego poprzez pryzmat emocjonalnie-

mentalny. Doprowadza to w ostateczności do chronicznego załamywania się bliższych oraz dalszych planów, a także do podtrzymujących je kątów ujęcia. Jest to więc niezwykle abstrakcyjny konkret – czyli oksymoron w stanie czystym, który, jako figura, zdaje się być najbardziej pochwytnym sposobem prezentacji, ale również opisu życia. Jest ono – według kodowanych tropów i śladów – emanacją narastającego rozpadu przynależnych mu struktur. Napięcia wywołane ostrymi cięciami płaszczyzn, w których dominują zerwane linie i szarpane tła, są widomymi elementami rozstroju oraz zaniku wszelkich falsyfikujących prób przedstawiania życia w kategoriach harmonijnych – kompletnie kompromitowanych przez owe obrazy. Gryzące się kolory przynoszą jedyne w swoim rodzaju barwy nikłych wyblasków tlącego się ówdzie życia, nadjadanego coraz bardziej przez bezwzględny, głuchy mrok, tworząc w efekcie amalgamat nieliniarnie umieszczanych szczątków pochodzących z czasów, kiedy wszyscy jeszcze żyli. Widzimy przeto tylko resztki dawnych kształtów, w których doszukujemy się podobieństw do czegoś, co byłoby w stanie naprowadzić nas na znane wyglądy, albowiem chcemy za wszelką cenę ocalić w nas ułudę trwania świata ujmowanego w obrysie stabilnych reguł czy też miar. Zamiast tego otrzymujemy ziarniste powidoki i mary. Rozbite i zdeformowane zamasytymi pociągnięciami pędzla kształty mówią nam bowiem o tym, że jedynie postaci widmowe, fragmentaryczne, kabłąkowe oraz szczeliniaste oddają istotny, dotkliwy i prawdziwy – koniec końców – wyraz jednostkowego życia. Jest nim dookólna rozpadlina. ■

Agnieszka Czyżewska, pseudonim artystyczny: Allison

Studia w ASP w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. Dyplom obroniła w 1987 w pracowni plakatu prof. Tomasza Jury i malarstwa prof. Jacka Rykały. W 2000 roku stypendystka Ministra Kultury i Sztuki.

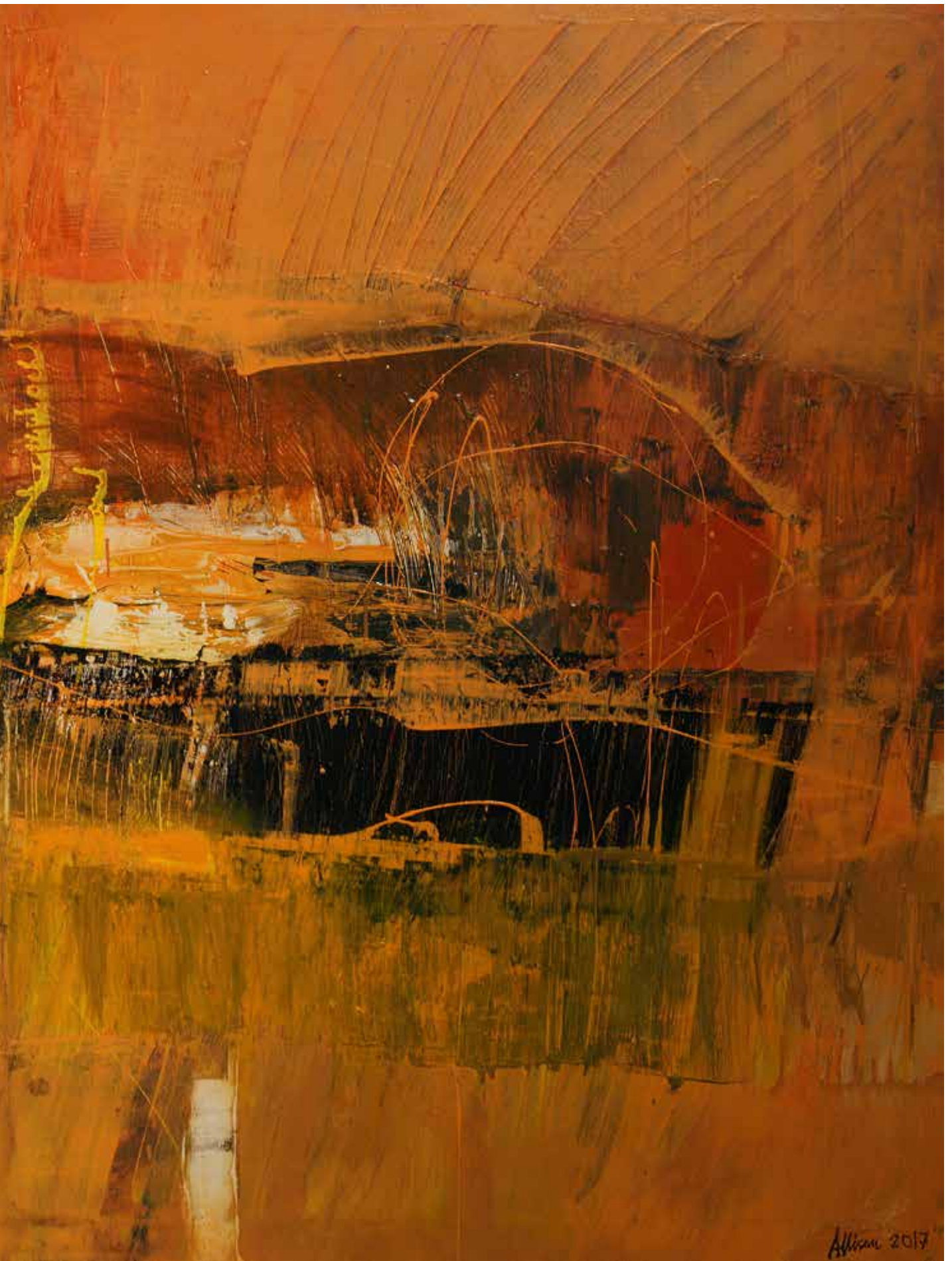
Agnieszka Czyżewska zajmuje się malarstwem sztalugowym i monumentalnym, rysunkiem, projektowaniem graficznym, a od 2005 także aranżacją wystaw w Muzeum Miejskim w Tychach. Wystawy muzealne przez nią zaaranżowane były parokrotnie wyróżniane w konkursach (m.in. Sybilla 2005); kolejno w latach 2013, 2014 trzy wystawy uzyskały główną nagrodę w konkursie marszałkowskim woj. śląskiego na Wydarzenie Muzealne Roku.

Jako malarka bierze udział w wystawach indywidualnych (ok. 20 – ostatnio w 2017 w MDK w Mikołowie i Instytucie Mikołowskim duża wystawa podsumowująca, następnie prezentowana w Poznaniu oraz w 2019 w *Galerii Obok* w Tychach *Kto jeszcze żyje* – przedstawiająca najnowsze prace), a także w wielu zbiorowych (m.in. w Muzeum Śląskim „Sztuka kobiet, kobiety w sztuce” w 2013, w Muzeum Regionalnym w Radomiu „Szóstka bez sternika” w 2014/15), licznych wystawach poplenerowych. Uczestniczy w plenerach malarskich (m.in.: Beskidzkie Integracje Sztuki, w Łagowie Lubuskim 2015 – „Niebo w zieleni”, Międzynarodowy Plener Malarki „Srebrne Miasto” Olkusz). Prace w zbiorach prywatnych w kraju i zagranicą. Należy do ZPAP – oddziału w Katowicach. Mieszka w Mikołowie.



Allan 2017





Allison 2017



Muzyka jak chleb

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Dla odmiany zaczniemy od przepisu na chleb własnej roboty. Do dużego garnka wsypujemy 8 gramów drożdży. To około dwie i pół łyżeczki. Dodajemy kopiastrą łyżkę stołową soli. Rozpuszczamy drożdże i sól w trzech kubkach ciepłej wody, 750 ml. Po dziesięciu minutach mieszamy roztwór i wsypujemy doń sześć kubków mąki, 1500 ml. Mogą to być mąki pszenne, żytnia, razowa albo ich mieszanka. Ja mieszałem mąki pszenne, żytnią i razową, po dwa kubki każdej. Dodajemy dwie garści nasion słonecznika oraz garść lub dwie, mieszanki nasion zbożowych. Mogą to też być płatki owsiane. Mieszamy to wszystko łyżką – najlepiej drewnianą – do chwili, w której ciasto zaczyna się odklejać od ścianek garnka. Ważne: im twardsze ciasto tym twardszy chleb. Zatem jeśli to konieczne możemy dodać odrobinę wody tak, aby ciasto stało się lżejsze. Przenosimy ciasto z garnka na posypaną mąką stolnicę. Urabiamy je przez dziesięć minut, aż nabierze odpowiedniej, równomiernej gęstości. Myjemy garnek, wycieramy do sucha i rozprowadzamy po denku kilka łyżek oleju. Preferuję olej pierwszego tłoczenia z oliwek. Wracamy do wyrabiania ciasta, może od trzech do pięciu minut. Uformowane kółko ciasta, którego średnica powinna być nieco mniejsza od średnicy garnka, kładziemy na jego dnie i po chwili przewracamy na drugą stronę tak aby spód i wierzch pokrywała cieniutka warstwa oleju. Garnek przykrywamy wilgotną ściereczką i zostawiamy na dwie godziny, by ciasto urosło. Po dwóch godzinach wykładamy ciasto na stolnicę posypaną mąką. Kroimy je na dwie duże lub cztery mniejsze części. Wolę małe chlebki, więc kroję ciasto „na krzyż” tak, aby mieć cztery. Z pokrojonych części formujemy bochenki, obłe lub okrągłe. Nacinamy w poprzek, każdy trzykrotnie, posypujemy mieszanką mąk kukurydzianej i pszennej (albo innych) i zostawiamy je na stolnicy przykryte suchą lnianą ściereczką. Powinny rosnąć przez trzy kwadransy. Musimy teraz przygotować piec. Na najniższej półce umieszczamy brytfankę wypełnioną do trzech czwartych wodą. Po pół godzinie zaczynamy rozgrzewać piec przez piętnaście minut do temperatury 260 stopni Celsjusza. Ważne: żar powinien biec z dołu pieca, nie z góry. Bochenki umieszczamy na kamieniu piekarskim (takim jak

do pieczenia pizzy) lub blasze i wkładamy do pieca. Pieczemy przez dziesięć-piętnaście minut w temperaturze 260 stopni. Następnie obniżamy temperaturę do 200 stopni i pieczemy przez dalszych dziesięć-piętnaście minut. Wyjmujemy chleb z pieca i chłodzimy przez co najmniej pół godziny, optymalnie na specjalnej suszarce, można też na czystej, suchej stolnicy. Kiedy bochenki wystygną można je zamrozić uprzednio zawinięte w aluminiową folię.

Ten chleb jest łatwy do zrobienia i wyjątkowo smaczkowy. Zadowolenie z upieczenia własnego chleba – ogromne! Czuję przy tym nostalgę za lepszymi, czystszymi czasami. Sięgam do uświęconej rodzinnej pamięcią przeszłości kresowej. Jak ciasteczko u Prousta, bochenki chleba wiodą mnie przez krajobrazy historycznej wyobraźni ku krańcom tęsknoty.

Akurat taką swojską, domową, szczęśliwą, nawet przasną, ale i refleksyjną, tęskną muzykę tworzy urodzony w 1955 roku w Będzinie Mieczysław Litwiński, może największy oryginał polskiej sceny kompozytorsko-improvizacyjnej. Zaczynał „normalnie”. Wstępna nauka, potem studia w warszawskiej Akademii Muzycznej w klasach Tadeusza Paciorekiewicza, kompozytora zachowawczego oraz Zbigniewa Rudzińskiego, niesłusznie pomijanego twórcy doskonałych dzieł kameralnych, a przede wszystkim symfonicznych. Czego się od nich nauczył? Od Paciorekiewicza solidnego („akademickiego”) warsztatu, zamiłowania do różnych tradycji i przetwarzania ich nawet w obcych im kontekstach, ponadto myślenia melodycznego; od Rudzińskiego ciekawości poznawczej, wrażliwości na barwy wokalne oraz instrumentalne, a także niestandardowych metod kształtowania kolorystyczno-formalnego kontinuum. Sam Rudziński komponował udatnie na niekonwencjonalne składy instrumentalne: *Campanella* (1977), *Trytony* (1979–1980), oba na ciekawie zadysponowane zespoły perkusyjne, np. w *Campanelli* pojawiają się katarzynki.

Litwiński poszedł tymi tropami – znacznie dalej. Przede wszystkim postanowił zarzucić tradycyjny zachodni kanon kompozytorski i stworzyć swój własny. Udało mu się to, a udaje się nielicznym, jak Amerykanie Harry Partch i La Monte Young lub Kanadyjczyk Randy Raine-Reusch. Nie bez przyczyny pisze



Mieczysław Litwiński

o eksperymentalnych kompozytorach północnoamerykańskich, gdyż Litwiński, duch niespokojny i wieczny wędrowiec, lata 1986–1991 spędził w Nowym Jorku, gdzie poznał Johna Cage’a i nawiązał do jego filozofii anarchizycznej – w pozytywnym tego słowa znaczeniu – wolności twórczej. Po powrocie do Europy mieszkał i uczył w Polsce. W roku 2000 wrócił na stałe do Polski.

Dźwiękowy etnouniwersalizm symulacyjny (hybrydalna synteza muzycznych tradycji, często pozaeuropejskich; nakładanie ich na siebie), intuicyjność, improwizacyjność, wielogatunkowość, pantemporalność (kojarzenie muzyk dawnych i współczesnych) składają się na wielobarwny świat estetyki Litwińskiego – myśliciela, kompozytora, śpiewaka, multiinstrumentalisty, poliglota. Traktuje on te idee z należytą im estymą, jednocząc je na bazie kategorii pitagorejsko-boecjuszowskich. W tym odniesieniu mądrze mówi o muzyce. Analizując podział struny na dwa, trzy, cztery i więcej odcinków oraz związanych z tym wibracji, wyjaśnia: *Każdy człowiek – kobieta, mężczyzna i dziecko – tak właśnie wibruje... Jesteśmy takimi wibrującymi strunami. Każdy z nas jest muzyką. Ta muzyka nazywa się musica humana. To jest muzyka człowiecza. Każdy człowiek taką muzykę tworzy... Kiedy się ze sobą spotykamy, spotykają się muzyki – różne. Każdy ma inną muzykę, inną muzykę wydaje... Ta struna jest duszą... Czasami, kiedy jest zbyt wiele napięcia, to wtedy ta struna jest bardzo przejęta – i wówczas człowiek choruje... [Gdy] struna jest napięta przez zbyt długi czas – może trzeba ją poluzować...*

Lubię i szanuję Litwińskiego za jego ekscentryzm i miłość do świata. To dzisiaj tak rzadkie. Lubię go i szanuję za muzykę pyszną jak domowy chleb, za muzykę człowieczą, która każdego czyni pięknym. Tylko że trzeba tego chcieć. ■

Tak się zaczęło siedemdziesiąt lat temu...

Na Koszutce

BARBARA ROMER KUKULSKA

Na małym, nowym osiedlu w Katowicach, nieopodal torów prowadzących z kopalni do huty, wybudowano w rekordowym czasie trzy dwupiętrowe bloki z czerwonej cegły. Koszutka II – Koszuta druga. Wokoło były pola, kawałek z owsem, kawałek z żytem, w szachownicę. Na szczęście, owe bloki otynkowano, co odróżniło je od stojącego obok familoka z przybudówkami. W dwóch blokach było po trzydzieści sześć mieszkań, jedno i dwupokojowych, a w trzecim osiemnaście trzypokojowych. Dwa prostopadłe do trzeciego. W tych małych domostwach zamieszkało około stu rodzin, często sześciuosobowych. Na prostokątnym podwórzu hasała ponad setka niesfornych dzieciaków i sporo dorastających nastolatków. Ten prostokąt zamykał wspomniany stary górniczy familok z czarnej od sadzy cegły. Do niego przylegały komórki i gołębniki. Czegóż tam nie było? Jakiś stolarski warsztat, kury, świnki, króliki no i oczywiście gołębie, była też mała rzeźnia i zakład szewski. Miało to być wyburzone, ale ciągle przesuвано termin. W starym, cuchnącym budynku dwukondygnacyjnym mieszkało trzy razy więcej ludzi niż było izb. Nieodnawiany i poczerniały od lat dom, wyglądał jak ruina, lecz w oknach zawsze lśniły szyby i wisiały śnieżnobiałe *wyszpnowane i heklowane gardyny*, nawet jeśli zsywane, cerowane i bardzo stare. Wejście było też czarne jak dziura bez dna. Obdrapane drzwi nie zapraszały do środka. Dzieci z bloków bały się przekroczyć próg, bo chodziły słuchy, że tam mieszka *bebok*. Mieszkańcy zapomnianego familoka byli jacyś inni, mocno odróżniali się posępną twarzą, jakby sino-brudną. Nowe mieszkania w blokach zajmowały rodziny zasłużonych przodowników pracy, rekordzistów budowlanych, górniczych, hutniczych, repatrianci z górniczej Francji, były żołnierz z niemieckich łodzi podwodnych, a także były żołnierz gen. Maczka, a nawet wdowa z trójką dzieci po żołnierzu Wehrmachtu. Mieszkały też dwie primadonny Opery Śląskiej, znany pisarz, dyrektor szkoły plastycznej, pan Kaczmarek – radiowa gwiazda śląskiej niedzielnej audycji, który w rzeczywistości nazywał się Frania. Gdy jego córka Danusia zgrabnie skakała na skakance, dzieciarnia wołała za nim: *Kaczmarek mo gowa a w gowie mo trowa, a w trowie mo*

kwiotki dla swojej kokotki. Danusi to nie wzruszało, przecież Kaczmarek to postać radiowa a nie jej Tata. Szacunkiem i estymą cieszył się wysoki, atletycznie zbudowany Wieczorek, trener bokserski KS „Górniki”. Był przedwojennym bokserem, chlubą GKS i podwórka. Jego żona, Wieczorkowa ledwie mówiła po polsku. Czasem, gdy spotkały się ze Śladyszką, też autochtonką, to *szwargotały* szepcąc rozglądając się na lewo i prawo czy ktoś nie podsłuchuje. Posługiwanie się językiem niemieckim nie było dobrze widziane, tzn. słyszane.

Mieszkańcy podwórka tworzyli przekrój społeczny ówczesnych powojennych czasów. Mieszkanina kulturowa ludzi z różnych stron kraju. Szybko tych sto rodzin stało się dość małą, lecz zgraną społecznością osiedlową. Pod każdym względem zróżnicowanie było duże, autochtoni śląscy obok byłych rolników spod Częstochowy, a naprzeciwko dwie starsze panie z psem i kotami, były ziemianki z białostockiego. *Hanysy* z Mikołowa drzwi w drzwi w *gorolami* z Sosnowca (Śląsk kontra Zagłębie). Nie brakowało też zwolenników Stalina, jak stara Grzegolka z parteru. Mimo różnic solidarność między nimi wszystkim wypływała na wierzch na każdym kroku, wspierano się i pomagano sobie w chorobie, w biedzie, kłopotach i potrzebach dnia codziennego. Tymczasem na podwórku z piaskownicą w środku, dzieciarnia nie dawała najmniejszej szansy ani jednemu źdźbłu trawy. Ten z nazwy trawnik, ze słupkami na rozwieszanie sznura do suszenia prania, był praktycznie fikcją, bo był gołym klepiskiem. Plac służył do grania w piłkę, do zabaw skakanką, rzucania nożem, no i był miejscem huśtawki, z której skakało się wprost do piaskownicy. Zimą był lodowiskiem i torem saneczkowym. Wszyscy wszystko dookoła wiedzieli o sobie, bo w oknach siedziały niepracujące żony, wiedziano nawet co u kogo jest na obiad. *Szpiclowski plac* jak mówili niektórzy. Plac miał swoich własnych „bohaterów” – a każde mieszkanie swoją historię, w każdym żyli ciekawi ludzie, którzy ją tworzyli. Mieli swoje problemy i dramaty, traumy, ale i sukcesy w powolnym wychodzeniu z tego marazmu i nędzy.

Hrabicz

Wojna się skończyła gdy miał 25 lat. Wyszedł z niej prawie bez szwanku, a cała jego rodzina przeżyła, mimo wielu nieszczęść i kataklizmów. Wszyscy z rodziny byli bezdomni, bez ubrań i obuwia, bez pieniędzy i możliwości ich zarabiania. Wycieńczeni, ale żywi, jak w piosence „goły i wesoły”. On sam otarł się o śmierć, zjrzał jej w oczy kilka razy, skosiła jego przyjaciół, a on sam uciekł jej sprzed nosa. Miał szczęście. W Katowicach znalazł się nie przypadkiem. Objął stanowisko kierownika bazy transportowej przemysłu budowlanego i po jakimś czasie otrzymał dla siebie, żony i córeczki mieszkanie za zasługi w odbudowie kraju. Dwupokojowe mieszkanie z łazienką na parterze, całe 44 m. kw. To był luksus, jak na owe czasy. W blokach mieszkali też pracownicy tego samego przedsiębiorstwa. Pan Karol, jak go nazywano, szybko dostał swoją ksywkę, jak prawie każdy z trzech bloków. Dorośli mówili o nim



Hrabicz, a dzieciarnia Drabia. Odróżniał się od pozostałych mieszkańców swoim zachowaniem, jego żona również. Nie podnosili głosu do krzyku, nie wybiegali z awanturą, nie mieli pretensji do nikogo.

Oboje potrafili pogadać z dozorczynią na podwórzu, też z księdzem, z robotnikiem, górnikiem i sztygarem oraz z szewcem z familoka. On umiał z każdym rozmawiać o czymś i dostosować się do nich, bez względu na to, kim ta osoba była i czym się zajmowała, po prostu lubił ludzi i ich szanował bezwzględnie.

Kiedyś spotkał zapłakaną dozorczynię, akurat zamiatającą podwórko. Ubrana jak zawsze w plisowaną wełnianą, czarną, długą *kieckę*, przepasaną fartuchem, w śląskiej *jackli* (chyba z pszczyńskiego) oraz z chustą na głowie, machała miotłą zalewając się łzami.

– Co się dzieje? szkoda też moja droga, w taki mróz – podaj jej chusteczkę.

– Och panie Karolu, jo to mom niefart – zdziwiony odebrał jej tę miotłę i zachęcił do opowiadania. – Pisulino, mówcie, jak wam pomóc mam jak nie wiem co się stało, że wam tak te łzy lecą. – Mówił zaciągając troszkę po śląsku, bo to go bawiło.

– Bo widzi Põn, posłałam moja Kaśka do piwnice, coby kapusty z beczki przyniesła. No i wróciła z kapustom i bachorem w basie i będzie z niej bebzol a potem zowitka. Ani niy wiy kto to był, bo było cima, ino pamięto, że sie opierała o ta beczka, a łon tak mocno jom przycisnył, że jom aż w krzyżach siekło.

Nie wiedział, śmiać się czy płakać razem z Pisuliną. Rzezywiście w piwnicach był

ćmok. Ona dalej w lament:

– Szac, znaczy Franek, Kaśka spiere, no i sie niy łozeni, faroryk niy ochrzci, oj, bydzie biyda...

– Wiecie co, Pisulino, nic się nie martwcie i nie rońcie już łez. Jak ja powiem, że będę chrzestnym, to ksiądz ochrzci a z Frankiem pogadam, obalimy pół i będę świadkiem na ślubie. A teraz koniec z płaczem. – Oświadczył zdumionej dozorczyń. Uspokojona Pisulina zamiatała dalej świeżo położony trotuar swoją miotłą z gałązek. W kościele wyszło na jaw, że Pan Karol vel Hrabicz, zna całą mszę na pamięć po łacinie, bo wiele lat służył do mszy. Musiał się wprawdzie nieco tłumaczyć przed sekretarzem partyjnym z tej całej „maskarady”. Jednak udawało mu się nawet partyjniaków przekonać o słuszności tej „akcji”. Chłopiec, chrześniak, był potem świetnym hokeistą w kadrze GKS. A Kaśka z Frankiem, dumni z chłopaka, żyli ponad 50 lat w szczęśliwym małżeństwie aż do śmierci, w mieszkaniu pod numerem 5.

Wrażliwy na krzywdę i cierpienie, nigdy nie odmówił pomocy. Nawet kosztem swego czasu, pieniędzy, zanie dbania rodziny. Razu pewnego któryś maluch – *bajtel* – uwalił wielką kupę, która przez tetrową pieluchę wyciekła do piaskownicy. Zrobiła się straszna awantura, wyzywanie: „Ty kozo z Mikołowa pilnuj swojego gówniarza”. „A ty gizdo z Sosnowca umyj okna i *wypier gardiny*”. Usłyszawszy to pan Karol:

– Kobity, posprzątajcie, *wyszuflujcie* brudny piach, jutro przysłę wywrotkę czystego piasku.

Wielokrotnie tłumaczył się w komitecie z takich „prywatnych” decyzji, no i zawsze jakoś przekonywująco. Przychodzi murarz:

– Panie kierowniku *żynia się, no wie pan chajtam się z Liszką*. Dałby pan samochód do ślubu nas zawieźć, bo to kawałek pod górkę do Oblatów? Pan też zaproszony.

Ktoś zameldował, że samochód z bazy budowlanej woził ludzi do kościoła klasztornego. Wezwali go do miejskiego komitetu. Zaczęło się ostro, ale skończyło na niczym. Miał przecież uprawnienia do używania samochodu całą dobę, nawet w niedzielę, a że był gościem weselnym



to wzięł auto, przecież w każdej chwili mógł być wezwany na budowę do (nie daj Boże) jakiegoś wypadku. A gdy dostał przydział na większe o 12 metrów mieszkanie i talon przydziałowy na pralkę bębnową „Frania”, to oddał je dla rodziny z czwórką dzieci. I tak było wielokrotnie w różnych sprawach, gdy ktoś inny był bardziej potrzebujący.

Kiedyś wieczorem, już późno, łomot w drzwi. Kobiety głos: „ratunku”! Karol otwiera i widzi zakrwawioną dziewczynę. Sterczą na jej głowie skręcone mocno włosy, uszywnione krwią, a ona umazana na czerwono.

– Rany boskie co się dzieje?

– Ojciec, zabije, dostał szału o byle psińco – usiłuje wydobyć z siebie przerażona dziewczyna.

– Tu nic ci nie grozi, mów! – Wciągnął ją za próg, zamknął drzwi. To była Irma z familoka. Czasem przychodziła coś pomóc pani Drabinie, pospacerować wózkami z dzieckiem, córeczką zwaną Drabinką. Ojciec Irmy, alkoholik, pił już denaturat cedzony przez kromkę chleba.

– Wypite miód, pół halby. Gonił mje z dupnym nożym. Wyszarpałach mu go i chyba zech go dźgnęła. Sama niy wiy, bo mnie łapnył za łeb i rąboł ł ściana. Wyrwałach sie mu i wiela zech miała sił we szłapach, pitłach tukej, bo ino u wos telefon.

Tylko tu był telefon. Jedyny w promieniu dwóch kilometrów. Przyjechała milicja i karetka pogotowia. Wszystko skończyło się dobrze. Później Irma była wielce oddana rodzinie nawet wtedy, gdy zburzyli familok i się wyprowadziła, też wpadała w odwiedziny i zapytaniem czy coś pomóc...

- Dzień dobry Staszku, przyniósłbyś nam dwa wiaderka węgla? - poprosił syna sąsiadów, który chodził na bocznicę prowadzącą do kopalni, aby zbierać węgiel usypany z wagonów na beszongu.

W każdym mieszkaniu był w kuchni mały kaflowy piec do gotowania, tymczasowo, gdyż oczekiwano podłączenia gazowego. Staszek przynosił i otrzymawszy zapłatę, prosił o pożyczkę do pierwszego. Staszek zawsze oddawał, ale inni zapominali. U pani Drabiny, żony pana Karola, piec zawsze się palił, toteż sąsiadki przychodziły:

- Moga postawić tyglik no znaczy sie, patelnia z jajkiem u pani? - Prosiła sąsiadka niosąc dwa jajka. - Jedno dla mojego chopa i jedno dla mnie i bajtla. - starała się mówić po polsku. Czasem przystawiała sąsiadka garnek z żurem. Jak żur, to tylko od Kiermaszki z 7. Kiermaszka ki siła najlepszy żur na całej Koszucie, a może i świecie. 50 groszy ćwiartka. Z tego gara żuru na piecu, sąsiadka odlewała dwie solidne chochle dla pana Karola, bo on bardzo lubił. Śladyszka przychodziła przystawić *wodzionkę* na brzeg blachy pieca. Ta zupa to też było mistrzostwo świata. Kto spróbował, nie odważył się mówić na nią *puklato*, bo miała mały pukiel czyli garb. Latem, podczas podwórkowych meczy *fuzbalu*, nieraz wpadała piłka przez okno do jakiejś kuchni prosto w zupę. Z jednego okna piłka nie wracała, a z drugiego wrzask: *Ty pieruński giździe*, a z okna trzeciego wracała na podwórko. Razu pewnego Hrabicz z piłką w rękę, oblany zupą od szyi do nogawek, wprosił się na chwilę, by pobiegać za piłką z chłopakami. Uciechy było co niemiara, a prawie w każdym kuchennym oknie gapił się jakiś kibic.

Dawniej zimy były siarczyste, nawet szkoły były nieczynne z powodu mrozów.

- Pani kierowniku, potrzebno nom woda, mogymy u was podłōnczyć szlauch do kokotka w warzkuchni i haźlu?

- Możecie, ale po co?

- Chcieliby my zrobić lodowisko, a nikt wody niy do.

- Nie zapominajcie na koniec polać ciepłą wodą, żeby było gładko.

- No, richtig, ale żałujom gazowego łogrzewanio, no i nikt niy chce dać.

- Dobra, weźcie, tylko nie zalejcie nam mieszkania.

Chłopcy potem chętnie pomagali, gdy trzeba było wytrześć dywan na śniegu, rzucić kartofle do piwnicy lub węgiel albo skopać kawałek grządki pod oknem. Staszek, herszt podwórkowej gromady rozdzielał zadania, potem został zdunem. A małej Drabince kupił kredki z pierwszej zarobionej pensji. On też rozbraiał już niepotrzebne węglowe piece, choć niektórym ciężko było rozstać się z nimi, bo na rozgrzanej do czerwoności blasze przysmażone kartofle i brukiew smakowały najlepiej.

Hrabicz - Drabia - pan kierownik

Pan Drabia, pani Drabina i ich córka Drabinka byli w centrum zainteresowania i plotkowania podwórkowej społeczności. Drabia nie odmawiał kielicha z dobrym trunkiem, ale i z zimną wódką z czerwoną kartką na butelce też nie. W tamtym czasie był to najlepszy sposób na załatwienie każdej sprawy. Często więc, lekko zawiany wracał do domu, czemu przyglądały się wszystkie oczy podwórka. Wiedziało podwórko, że Drabia po kielichu był łagodny jak baranek i bardzo ugodliwy.

- Panie Karolu, urodziły nam się bliźniaki - zaczęła go sąsiadka „spod” nr 6.

- Wiem, pani Krysiu wiem, winszuję, przepraszam, trochę wypilem i już nie jestem do rozmowy.

- My w najmniejszym pokoju mamy 9 m kwadratowych, a Stasiny też z bliźniakami i resztą bachorków są w dwóch pokojach. Do łazienki kolejka a kuchnia, to koszmar.

- Pomyślę Pani Krysiu, proszę żeby mąż wpadł do mnie jutro w Bazie.

Następnego dnia: - Miałem ciężki dzień. Dwie koparki się popsuly - zaczyna rozmowę przy obiedzie.

- A czy wiesz, coś ty wczoraj naobiecował? Całe podwórko dziś dudni, że dyrektor Karol załatwił mieszkanie bliźniakom - jednym tchem oznajmiła mu żona.

- Ja? spotkałem Krystynę, tę pielęgniarkę, wczoraj.

- Wiesz, trzeba im jakoś pomóc. Krystyna była w Powstaniu i przez to ma czarną plamę, bardzo ją lubię, a jej mąż pracuje u ciebie w księgowości.

- No właśnie, gdyby był murarzem, albo kierowcą, to byłoby proste. Ale... coś wykombinujemy.

Nie od razu, za pół roku, jakimś cudem dostali miesz-



kanie na „górną Koszutce”, którą rozbudowywano z rozmachem. Potem pani Krystyna dawała zastrzyki na całe Koszutce, znali i cenili ją wszyscy.

Lewicowy hrabicz

Był przekonany, że nie ma na świecie złych ludzi. Jak u Viktora Hugo uważał, że to okoliczności i warunki kształtują charakter człowieka i popychają go do uczynków. Przede wszystkim przekonany był o słuszności sprawiedliwości społecznej, sugerował, że problemy społeczne są ważniejsze niż kwestie polityczne czy wyznaniowe. Sprzeczał się często z ojcem właśnie o to. Starszy pan przyjeżdżał do katowickiego sądu jako ekspert spraw agrarnych i zatrzymywał się na noc u syna na Koszutce.

– Tato, spójrz, ludzie są szczęśliwsi teraz, nie wszyscy, ale potężna większość.

– Nie. Nie rozumiesz. Dlaczego nie mogę mieszkać w mojej małej leśniczówce? Dlaczego nie mogę przekazać wiedzy i doświadczenia, nauczyć rolników hodowli krów? Dlaczego nie wolno mi nawet wjechać do powiatu? Odwiedzić kaplicę – rodzinny grobowiec? Ciebie zadowala „nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”. Mnie nie. – Zakończył tyradę starszy pan.

– Tato jest dużo do zrobienia, potrzeba ludzi cieszących się zaufaniem większości. – Przekonywał Hrabicz.

– A co, nie mam go? Ludzie przychodzą, proszą o radę i pomoc, przynoszą jajka i prowianty, bo wiedzą, że głodujemy – ciągnął zdenerwowany starszy pan. – Nie wiedzą, o mojej „wędrówce” po pięciu obozach koncentracyjnych. Nie mówię o tym z nikim, nie mogę. Rewolucja ma swoje prawa i brutalność. Tylko uważaj, bo zjada swoje dzieci... – zakończył, chcąc urwać tę dyskusję.

– Tato, ta rewolucja jest inna, takiej jeszcze nie było, nie wiemy jak to będzie i co przyniesie. Do polityki się nie włączę ani do władz, szkoda mi czasu na siedzenie w kryminale. Jestem w klubie tenisowym i samochodowym, to mi wystarcza (potem w GKS prezesem sekcji Tenisowej). Górnicy, sztygarzy dbali o swoje korty obok kopalni i chętnie grali, rywalizując z hutniczym klubem „Baildonem”, gdzie grała Jadwiga Jędrzejowska, sławna polska tenisistka.

Najtrudniej było mu dogadać się z własnym ojcem, bo na ogół z każdym potrafił rozmawiać na temat bliski dla rozmówcy. Taka umiejętność, to jakby dar, talent, bo nie każdy tak potrafi dostosować się z szacunkiem do każdego rozmówcy, a to znaczy, bez kompleksów i bez wywyższania się, o nim nikt nie powiedział *wyżej sro niż dupa mo*. Szukał rozwiązań optymalnych i kompromisowych. Dziś nazywamy to win-win.

Oficjalnie Hrabicz miał urzędnicze pochodzenie, ponieważ jego ojciec nie figurował w księgach tabularnych jako właściciel ziemski. Miał natomiast przeszłość żołnierza września, 39 i partyzanta we „właściwej” partyzantce, co było zasługą przypadku. Z sąsiadem z przeciwka, nawet się dogadali, że byli w tym samym lesie pod Miechowem, lecz w innych oddziałach. Miał taki świstek, pół kartki, poświadczanie dwóch świadków i dowódcy. Nazywał to swoim żelaznym listem. „Tur” – to jego pseudonim partyzancki. Częściowo ów świstek papieru ułatwiał życie w socjalistycznym kraju, lecz nie otwierał drogi na studia uniwersyteckie. Udało mu się wpisać na trzyletnią Wyższą Szkołę Ekonomiczną. Pracował najpierw jako kierownik PKS w Bielsku, a potem bazy transportowej. Ceniono go jako doskonałego organizatora. Wśród pracowników miał posłuch, gdyż nieraz ujawnił umiejętność prowadzenia różnych maszyn i pojazdów mechanicznych, którą nabył będąc przymusowym robotnikiem w Wiedniu. Zaraz po wojnie, jego koledzy szkolni byli już w PPS i wciągnęli go również w szeregi partyjne.

Jako szef transportu, był w milicji drogowej. Mimo że sowiecka linia partii była już jasno określona, chciał odbudować kraj, stworzyć lepsze warunki bytowe swoim rodzicom, innym ludziom. Przecież Polska znów była na mapie! „Głodna i chłodna, ale była” – jak mówiła jego matka urodzona z nazwiskiem z Trylogii Sienkiewicza.

Absolutnie nigdy nie uważał się za komunistę, przeciwnie, miał ogromny żal do komunistów za szereg błędów i bezlitosnych posunięć na szkodę i krzywdę ludzi. Nigdy też nie bał się powiedzieć głośno tego co robi i co myśli. Nie narzekał, tego nie potrafił, aczkolwiek umiał krytykować.

– Wydaje mi się, że wiara jest potrzebna ludziom, bo jednym konieczna jest nadzieja, a innym wiara, że nie są samotni, bo Bóg jest przy nich. Tego uczą w szkołach na lekcjach religii, dlatego likwidacja tych lekcji może mieć niepożądane konsekwencje. A zresztą, jedna godzina na tydzień? Nikomu nie zaszkodzi. – Tak skomentował dyskusję na zebraniu partyjnym. A w domu: – Anka, spakujcie się. Jutro zawiozę was do Świerklańca. Pupi, chwilowo nie masz szkoły. Przyjadę po Was jak się uspokoi i wyjaśni sytuacja. Pamiętajsz mój kolega z Grudziądza [Podchorążówka kawalerii] pracuje teraz w PTTK i objął pałacyk myśliwski. Dostaniecie pokój na jaskółce i poczekacie aż przyjadę.

– Co się stało?

– Nic, tylko od poniedziałku zamiast godziny religii w szkołach będzie godzina wychowawcza. Ustalono, że lekcje religii mogą odbywać się tylko w parafii. Obawiam się, że ludzie będą się buntować...

Nie buntowali się aż tak bardzo. Reforma przeszła, mimo hałasu bez większych protestów.

Dziewięć mieszkań pod jednym numerem klatki schodowej, dziewięć rodzin... Każda ze swoją historią, tragediami i sukcesami. Wszystko słychać przez dwa piętra. Podniesione głosy, kłótnie, awantury oraz bicie dzieci, a właściwie ich wrzask.

– *Cygareta w kabzie?! Kaj bykowiec? Oberwiesz synek, że niy siedniesz na rzici.*

Codziennie rano przed szóstą mleczarka stawiała pod drzwiami butelkę mleka, albo waliła pięścią w drzwi upominając się o pustą... Nie pod każde drzwi, bo niektórzy chodzili z bańką do sklepu, aby zaoszczędzić przez miesiąc na kostkę masła. Kierowca, pan Staszek, dzwonił do drzwi o 6:45, że już czekał pod domem. Podwórko się budziło. To było przede wszystkim słychać i czuć. Górnicy wracali z szychty i kąpali się, inni się myli, więc spadało ciśnienie gazu. Sąsiad, gruzlik (*miól tubera*) urządził swój poranny koncert *charlania*. Przez wentylacyjne kanały wciskał się zapach przypalonego mleka i papierosów „Sport”. Przez ścianę słychać było śpiewającego Kurtycza „Cicha woda brzegi rwie”. Krzyk przez okno: *dziołcha klapsznytą mosz w kapsie*. Wszystko powtarzało się codziennie z dokładnością co do pięciu minut, tylko teraz śpiewa Koterbska „Czerwony autobus”. ■

cdn. Rozdział II

Fot. arch. Aut.

Barbara Romer Kukulka urodziła się w Bielsku-Białej. Ukończyła wydział Prawa i Administracji na Uniwersytecie Śląskim. Była prawnikiem górniczym, radcą prawnym, adwokatem, tłumaczem dla sądownictwa szwajcarskiego. Publikowała w „Kobiecie i Życiu”, „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”, w wiedeńskim miesięczniku „Polonika”, wadowickim miesięczniku „W górach”, oraz w portalu Wiadomości24.pl i innych.

Autografy: niezbywalny symbol bytu

JAN MALICKI

Wszystko zaczęło się przed półwieczem, kiedy w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie otrzymałem do rąk niezwykle rękopis o sygnaturze nr 1403. Był swoistym znakiem przemijania, nie tylko ludzi; to naturalne, instytucji – bywa, ale i niekonwencjonalnych, osobliwych a równocześnie inspirujących idei. Jego autorem był młodszy o jedno pokolenie od czarnoleskiego Jana, dworzanin królewski, pisarz, a z czasem arianin, antytrynitariusz, żyjący na przełomie XVI i XVII wieku, przeważnie w Krakowie – Andrzej Lubieniecki. Pozostawił on, obok innych materiałów, tzw. Pamiętnik przyjaciół, bogato zdobiony, wielojęzyczny manuskrypt, w którym można znaleźć wpisy przebywających w „sarmackich Atenach” Niemców, Francuzów, Włochów, Węgrów, Czechów, Szwedów, Holendrów, Rosjan, no i oczywiście Ślązaków, między innymi braci Paludiusów, z których jeden, Salomon, swoim nieroztropnym czynem doprowadził do likwidacji tego ośrodka. Są tam też autografy Tomasza Gejżanowskiego, szlachcica śląskiego, Tomasza Piseckiego z Martowic, Jana Liciniusa z Namysłowa i Szymona Pistoriusa z Opola, ciekawego poety łacińskiego z kręgu koszęciańskich Kochcickich. Były to często jedyne namacalne ślady osób, które stały się ikonycznymi znakami wielkiej kultury europejskiej, kręgu ariańskiego, braci polskich, „sekt filozofów, którą z deizmem dzieli bardzo niewielka różnica”, jak pisali francuscy encyklopedyści w XVIII stuleciu.

Taka była geneza przedsięwzięcia, trwającego w Bibliotece Śląskiej przez niemal ćwierć wieku, a efektem – ogromny zbiór autografów, wpisów, rysunków osób odwiedzających mury, jak wówczas mawiałem, „Matki Żywicielki śląskiej humanistyki”. Tak powstała nasza śląska księga przyjaciół. Przebogata. Są tam wpisy – a jakże – elit politycznych różnych opcji, poczynając od Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniew-

skiego, kilku premierów i wicepremierów: Jerzego Buzka, otwierającego nowy gmach ksiąźnicy, Marka Belki, Donalda Tuska, Włodzimierza Cimoszewicza, który w swoisty sposób wsparł budowę biblioteki, czy też Leszka Balcerowicza, pytającego o kraj, z którego wywodzą się jej budowniczowie. Wpisało się też wielu ministrów, tak z kraju, jak też zza granicy, z uroczą słowacką panią minister kultury sprzed lat i japońskim ministrem gospodarki, z uznaniem patrzącemu na zwiedzany wówczas nowy budynek.

Moja wizja biblioteki odbiegała od obowiązującego wówczas wzorca. Biblioteka miała mieć charakter otwarty. Zyskiem – również kolekcją autografów. I tak się stało. W naszej księdze przyjaciół znalazły się wpisy: Wandy Wilkomirskiej, Lidii Grychtolówny, Andrzeja Jasińskiego, Piotra Beczawy, Anny Dymnej, Aloszy Awdiejewa. . . Wielu, bardzo wielu pisarzy i poetów: Ernesta Brylla, Juliana Kornhausera, Andrzeja Sapkowskiego, ks. Jana Twardowskiego, Eustachego Rylskiego, Andrzeja Stasiuka, Krzysztofa Vargi i przeuroczy wpis Adama Zagajewskiego: „Podziwiam Bibliotekę – może ją przeniesić do Krakowa? Dziękuję za zaproszenie. 7 stycznia 2004”. Pierwszą część śląskiej księgi przyjaciół opublikowaliśmy. Przyszłaję, z premedytacją. To satysfakcja dla wpisujących się, a zarazem często dopełnienie lub egzemplifikacja głoszonych też przyszłych badaczy. Podobnie zresztą jak wpisujących się laureatów ogólnopolskich konkursów literackich. Być może wśród nich kryją się następcy największych? Nie rozumiała tego moja następczyni, nieznająca historii i współczesnej kultury Śląska – czego zresztą nie ukrywała – wymieniając niezwykle godną kandydatkę do Nagrody Karola Miarki, znakomitego prof. Jana Miodka na wikarego z Katowic. Dziś współkieruje ona Muzeum Śląskim.

Ale w zasobach Biblioteki Śląskiej w Katowicach znajduje się też, zdawać by się mogło, nikły, niepozor-

ny zbiór liczący zaledwie 15 wpisów. Ale jakich! To rodzaj karnetu, gatunku głęboko osadzonego w polskiej tradycji kulturowej. Bardziej kojarzy się z balami, tańcami, rautami, na których panowie zamawiając taniec u pań, wpisywali się właśnie do karnetu. Oczywiście, konsekwentnie przestrzegający kolejności swoich tańców. Z czasem jego funkcja się zmienia; staje się ledwie miłą pamiątką sprzed lat, znakiem upływającej szybko młodości. Zatem nasz literacki karnet jest unikatowy; zawiera bowiem nazwiska osób, bez których trudno sobie wyobrazić polską kulturę. Przypomnijmy niektórych: dwoje noblistów – Wisława Szymborska i Czesław Miłosz; wybitnych literatów – Zygmunt Kubiak, Adam Zagajewski, Ryszard Kapuściński, Janusz Głowacki, Tadeusz Różewicz; znakomitych uczonych: Leszek Kołakowski, Norman Davies, Stefan Chwin, Władysław Bartoszewski, Dorota Simonides. Wszyscy wpisujący się w jednym czasie, w roku 2000, i w jednym miejscu, podczas europejskiego karnawału polskiej literatury we Frankfurcie nad Menem, kiedy to nasi pisarze byli gośćmi i jedynymi prelegentami. To wszak przywilej państwa – gościa honorowego Międzynarodowych Targów Książki, najstarszej, bo od XV wieku i największej tego typu imprezy na świecie. Liczby budzą szacunek; 7 tysięcy wystawców z ponad 100 krajów; 377 tysięcy tytułów, z czego jedną trzecią stanowią nowości. A jeśli powiemy, że na targach przyznawana jest najbardziej ceniona w środowisku Pokojowa Nagroda Księgarzy Niemieckich, to mamy w pigułce niepowtarzalną atmosferę, nastroj i temperaturę zażartych dyskusji, wrzeszczące szaleństwo owego jednego jedynego tygodnia, przerywane kawą z przyprawami wschodnimi, czy bawarskimi kielbaskami z cydrem. Nasza reprezentacja była nadzwyczaj silna; nie tylko liczbą wydawnictw, przebojem targów, jakim było tłumaczenie Tuwimowskiej „Lokomotywy”, ale doбором prelegentów, na których wykłady przychodziły tłumy. Biblioteka Śląska miała własne stoisko, reprezentując wiele wydawnictw z naszego województwa. Dla mnie jednak ważny był inny jeszcze epizod związany z małą uroczystością wręczenia statuetki Śląskiego Wawrzynu Literackiego, nagrody naszej ksiąźnicy, Tadeuszowi Różewiczowi za znakomity tom „Matka odchodzi”. Umówiliśmy się z Panem Tadeuszem, że wręczymy mu ją przed spotkaniem. Zaskoczenie. Ogromny tłum napierający na Poetę. Wręczymy; a kątem oka widzę Jego przerażenie, by statuetka się nie przewróciła. Mówię cichym głosem, niemal do ucha, że ją przechowam i przywieziemy do Wrocławia. Szum, gwar, ścisk i głos Pana Tadeusza: – Moja statuetka! Powtórzyłem swoją propozycję. Po raz trzeci wręczaliśmy statuetkę Poeście już we Wrocławiu.

Byliśmy też na wszystkich wykładach. A po nich prosił się o autograf dla czytelników Biblioteki Śląskiej i zapraszając ich doń. A o skuteczności naszych słów świadczy nasza śląska księga przyjaciół. ■



Donka Simonides
Zygmunt Kubiak
Władysław Bartoszewski
Stefan Chwin
Norman Davies
Adam Zagajewski
Dla Biblioteki Śląskiej
Norman Davies
Hanelwell

Balcerowicz
Czesław Miłosz
Leszek Kołakowski
Zygmunt Kubiak
Janusz Głowacki
Władysław Bartoszewski
Tadeusz Różewicz

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

Apel o dotację

KATOWICE – TARNOWSKIE GÓRY. Sejmik Województwa Śląskiego podjął uchwałę w sprawie przyjęcia apelu dotyczącego wpisania „Kopalni rud ołowiu, srebra i cynku wraz z systemem gospodarowania wodami podziemnymi w Tarnowskich Górach” – zabytku wpisanego na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO – do ustawy o dotacji przeznaczonej dla niektórych podmiotów. „Jako radni Województwa Śląskiego uważamy, że znajdująca się na naszym terenie «Kopalnia rud ołowiu, srebra i cynku wraz z systemem gospodarowania wodami podziemnymi w Tarnowskich Górach» zasługuje na wsparcie ze strony państwa doskonale wpisując się w zadanie jakim jest «utrzymanie, zabezpieczenie i ratowanie zabytkowych części kopalń»”. „Kopalnia (...) to największy, najbardziej znaczący i najbardziej reprezentatywny w Polsce zespół podziemi historycznych kopalni rud ołowiu, srebra i cynku oraz zintegrowany podziemny system gospodarowania wodą, który zawiera pionierski system zaopatrywania w wodę, największy tego rodzaju na świecie. Obiekty te zachowane i udostępniane są zwiedzającym dzięki ponad 60-letniemu zaangażowaniu lokalnego stowarzyszenia – „Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Tarnogórskiej”. Dzięki determinacji członków Stowarzyszenia, które jest zarządcą tych obiektów, zaangażowaniu społeczności lokalnej, po kilkunastu latach starań w 2017 roku „Kopalnia (...) została wpisana na listę światowego dziedzictwa kulturalnego i naturalnego. Wpis na Listę UNESCO jest potwierdzeniem wyjątkowej, powszechnej wartości dobra kulturowego lub przyrodniczego, które zasługuje na ochronę dla dobra całej ludzkości. Pogórnice tarnogórskie zabytki są pierwszym i jedynym jak do tej pory obiektem w województwie śląskim wpisanym na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO.

Koszty utrzymania zabytków, którymi opiekuje się samodzielnie od kilku pokoleń Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, są wysokie. Dodać należy, że te obiekty światowego dziedzictwa kulturowego utrzymywane są wyłącznie z biletów wstępu. Ze względu na pandemię i wprowadzone obostrzenia zamknięta została Sztolnia Czarnego Pstrąga oraz Zabytkowa Kopalnia Srebra – obiekty światowego dziedzictwa UNESCO – co spowodowało, że Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, podobnie jak i wiele innych podmiotów branży turystycznej, boryka się z dużymi problemami finansowymi. Miejsca wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa stanowią wspólne dobro ludzkości. Wpisanie na Listę UNESCO obciąża państwa człon-

kowskie do ochrony tych miejsc i ma pozwolić na zachowanie ich w możliwie niezmienionej postaci dla przyszłych pokoleń. (...) ze względu na swoją wyjątkową, powszechną wartość, bogactwo natury, przepisy prawa geologicznego i górniczego, którym podlega kopalnia, zasługuje na wsparcie finansowe ze strony państwa.

„Europejski Region Przedsiębiorczości”

KATOWICE – BRUKSELA. Województwo zostało wyróżnione za najlepszą strategię w zakresie wspierania przedsiębiorczości w trudnym okresie walki z pandemią

Nagroda „Europejski Region Przedsiębiorczości” została wręczona podczas sesji plenarnej Komitetu Regionów. Wyróżnienie zostało przyznane sześciu regionom, a jego laureaci zostali uhonorowani marką ERP na okres dwóch lat (2021 i 2022), co umożliwi im zaplanowanie i wdrożenie strategii udanej odbudowy gospodarczej i społecznej. W imieniu województwa śląskiego nagrodę odebrał marszałek Województwa Śląskiego Jakub Chelstowski.

Przewodniczący Komisji Polityki Gospodarczej Europejskiego Komitetu Regionów, Michael Murphy, w specjalnym oświadczeniu pogratulował województwu śląskiemu otrzymania tytułu. Co więcej, podkreślił, że jury konkursu było jednogłośnie w pozytywnej ocenie złożonego w ramach konkursu wniosku. Dodał, że śląskie zaproponowało ambitną, perspektywiczną wizję wspierania przedsiębiorczości. Regiony, które przedstawią najbardziej wiarygodny, przyszłościowy i obiecujący plan działania, otrzymują w danym roku tytuł ERP. Nagroda ERP została ustanowiona przez Europejski Komitet Regionów (KR) wspólnie z Komisją Europejską, przy wsparciu podmiotów na poziomie UE, takich jak SME United, Eurochambres oraz Social Economy Europe.

Oprócz województwa śląskiego, nagrodę ERP otrzymało jeszcze pięć innych europejskich miast i regionów: Region Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże (Francja), Region Wspólnota Madrytu (Hiszpania), Region Helsinki-Uusimaa (Finlandia), Miasto Castelo Branco (Portugalia) i Miasto Gabrovo (Bułgaria).

Konkurs.

KATOWICE. Ogłoszono Otwarty konkurs ofert na zadania publiczne Województwa Śląskiego w dziedzinie edukacji publicznej z uwzględnieniem obchodów Stulecia Wybuchu III Powstania Śląskiego, które będą realizowane w 2021 roku.

Celem konkursu jest podtrzymywanie i upowszechnianie tradycji narodowej i regionalnej, pielęgnowanie polskości oraz rozwoju świadomości narodowej, obywatelskiej i kulturowej.

Na realizację konkursu przeznacza się kwotę: 56 000,00 zł.

Setna rocznica wybuchu III Powstania Śląskiego

ŚLĄSK. Długi weekend majowy w regionie zbiegł się z obchodami przypadającej 2 maja setnej rocznicy wybuchu III Powstania Śląskiego. Przedstawiciele rządu, władz wojewódzkich i samorządowych, a także delegacje instytucji kultury i organizacji samorządowych złożyli wieńce i oddali hołd bojownikom o polski Górny Śląsk. Główne obchody rocznicowe zorganizowano na Górze Św. Anny. W dniach 21 – 26 maja odbyła się tam jedna z najbardziej krwawych i zażartych bitew III powstania. Znicze i wiązanki kwiatów pojawiły się pod powstańczymi miejscami pamięci w całym regionie – także pod tymi mniej znanymi i często nie zauważanymi – na co dzień – na zdjęciu kwia-



ty pod tablicą ku czci kolejarzy poległych w powstaniach śląskich na katowickim głównym dworcu PKP.

KATOWICE. W niedawnym czasie dzięki staraniom Instytutu Pamięci Narodowej i Związku Harcerstwa Polskiego odsłonięto w Katowicach tablicę upamiętniającą zamordowanego przez hitlerowców Józefa Pukowca (podczas okupacji pseudonimy „Chmura”, „Pukoc”, „Gary”). Pukowiec przed wojną był nauczycielem i wybitnym działaczem harcerstwa, podczas wojny organizował na Śląsku tajne struktury harcerskie. Aresztowany przez gestapo został stracony w 1942 roku w więzieniu przy ul. Mikołowskiej, na murze którego umieszczono tablicę.



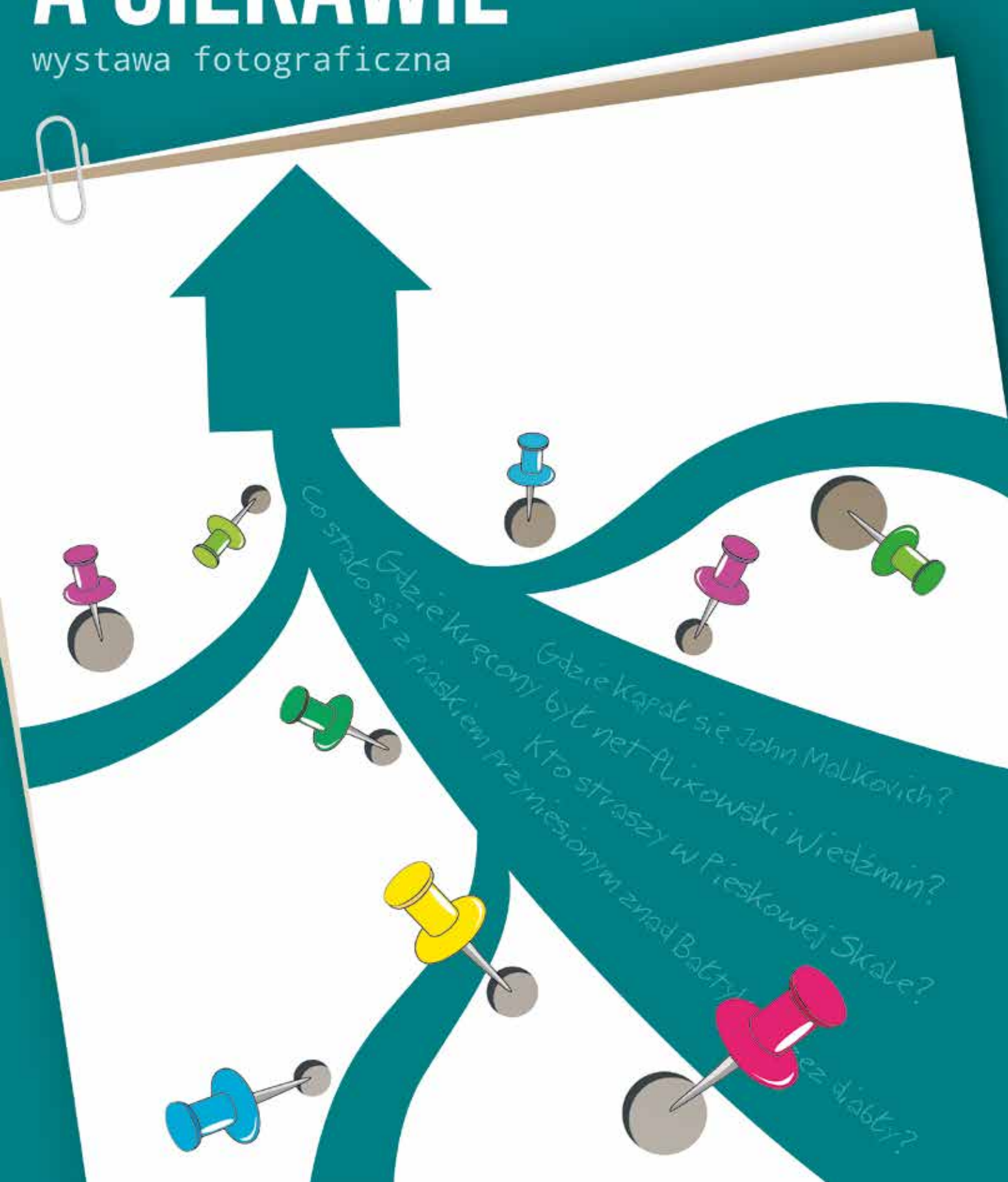
BLISKO DOMU, A CIEKAWIE

wystawa fotograficzna

Zagłębiowska
MEDIATEKA

12.04 – 24.05.2021

Pasaż Zagłębiowskiej Mediateki
Sosnowiec, ul. Kościelna 11
wstęp wolny



Co stało się z naszym przyniesionym z nad Bałtyku przez diabły?
Gdzie kęsał się John Malkovich?
Gdzie kęsał się net-flixowski Wiedźmin?
Kto straszy w Pieskowej Skale?



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu

WYSTAWA MALARSTWA WIESŁAWY MICHALSKIEJ

„WITAM CIĘ WIOSNO!”

6 kwietnia – 8 maja 2021 r.
Galeria „Pod świetlikiem”

ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA Sosnowiec, ul. Kościelna 11

wstęp wolny